



s.14-15

• **Piekło zwierząt w schroniskach. Na 368 kontroli, nieprawidłowości stwierdzono w 40 z nich. A w niektórych miejscach miał prawdziwy horror**

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682



magazyn **POLSKA**
Puls METROPOLIA WARSZAWSKA

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl

FOT. ADAM JANKOWSKI / POLSKA PRESS, TB



Piątek-niedziela, 30.01-01.02.2026 • Nr 9 (2520) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

s.8
Czy armada Trumpa jest gotowa do ataku na Iran?

s.18-19
Kardynał Konrad Krajewski: Miłość jest „stuknięta”

s.4-5
Były minister sprawiedliwości, choć jest na Węgrzech, cały czas ma kłopoty w Polsce. Tym razem związane z finansami
Zbigniew Ziobro w opałach

W poniedziałek magazyn

● Powiatowa jatka, czyli jak cudowne medaliki nie ocaliły Antoniego Macierewicza ● Pracownicy Dino protestują, a dyrekcja milczy jak zaklęta

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Beata Busz
publicystka



WSZYSTKO BĘDZIE PO STAREMU?

Doda, niczym Joanna d'Arc, wstąpiła na barykady w polskich schroniskach i stała się symbolem walki o prawa zwierząt. I nagle minister na polecenie premiera zarządza kontrole. Wojewodowie z przykazania ministra wysyłają w teren powiatowych lekarzy weterynarii. Czasami tych samych, którzy wcześniej - przez długie lata - nie widzieli w nadzorowanych przez siebie placówkach żadnych nieprawidłowości. Nagle włodarze gmin są zobowiązani do przeprowadzenia „kontroli realizacji umów” przez właścicieli schronisk. Dlaczego wcześniej nie było nadzoru z prawdziwego zdarzenia?! Czy siedzących w ciepłych gabinetach urzędników musiała wykurzyć do marznięcych psów dopiero artystka estradowa-Doda?! Po wielkim zrywie, jak w przypadku wielu innych ogólnopolskich afer, sprawa przycichnie i wsunie się pod dywan. Znow jakis wójt, gdzieś tam w Polsce, podpisze umowę i da - a także legalnie - kasę jakiemuś właścicielowi schroniska. Znow zwierzęta będą wegetowały w „mordowniach”. Jest też oczywiście druga strona medalu, schroniska, fundacje, które zapewniają najlepszą opiekę i godne życie. Może właśnie ich głos warto posłuchać - jak oni to robią, a nie tylko pyskatej - choć trzeba przyznać, że skutecznej w docieraniu do mas - Dody. I najistotniejsza rzecz: nie byłoby wcale tematu, gdyby każdy z nas traktował zwierzęta po ludzku.

W PIĄTEK SZÓSTA ROZNIKA BREXITU

Jutro, 31 stycznia 2026, minie szósta rocznica wyjścia Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. To wydarzenie polityczne nastąpiło mimo licznych przesłanek, które wskazywały, że do niego nie dojdzie. Ja sam w felietonie 22.06.2016 relacjonowałem wyniki analiz prowadzonych z wykorzystaniem sztucznej inteligencji, aby przewidzieć wynik głosowania. Wniosek wskazywał: ludzie Brexit odrzuca.

Stało się inaczej. 23.06.2016 w referendum, które ogłosił premier David Cameron prawie 52% głosujących wypowiedziało się za wystąpieniem Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Jak do tego doszło? Głównym „rozgrywającym” był Dominic Cummings. Wypuścił on na ulice Londynu czerwony autobus z napisem, że po wyjściu z Unii co tydzień brytyjski fundusz zdrowia otrzyma 350 mln funtów. Było to nieprawdziwe, ale skuteczne!

Rzymianie w rozważaniach prawnych mieli skuteczną dewizę: cui bono, qui prodest (czyja korzyść, tego sprawka).

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



Zatem popatrzmy, kto na Brexicie skorzystał.

Brytyjczycy nie. Oczywiście tych 350 mln funtów tygodniowo na rozwój lecznictwa nie dostali, a na utracie różnych korzystnych kontraktów z krajami Unii Europejskiej zdecydowanie stracili. Unia Europejska też została osłabiona, co z pewnością nie było korzystne.

A więc kto? Przy kampanii przekonywania Brytyjczyków do Brexitu wykorzystano dane na temat ich przekonań i preferencji dostarczone przez firmę Cambridge Analytica. A skąd ta firma miała dane? Otóż dostarczył je Aleksander Kogan, Rosjanin pracujący w Cambridge, który zdobył je sprytnymi sztuczkami na Facebooku. Miał dane 50 mln osób.

Dane te wykorzystano w ten sposób, że do użytkowników Facebooka wysłano

wiadomości dostosowane do ich wykrytych (przez Kogana) fobii i preferencji. Np. człowiek, który obawiał się imigrantów, dostawał wiadomości, że Unia zamierza pozbyć się napływających masowo muzułmanów, ułatwiając im wjazd do Wielkiej Brytanii. Osoby troszczące się o zdrowie dostawały fotografie czerwonego autobusu z wiadomym napisem. Wykorzystano wiedzę o sympatiach między użytkownikami oraz o ich zaufaniu do osób publicznych (na przykład polityków czy aktorów), powołując się na ich rzekome opinie. Cummings wydał na tę akcję w sumie 3,9 mln funtów, czyli większość funduszy, jakie miał do dyspozycji (7 mln funtów). Resztę wydał na usługi firmy AggregateIQ pracującej na rzecz Cambridge Analytica.

Firmie Cambridge Analytica wytoczono proces, w trakcie którego okazało się, że z jej szefami komunikowali się przedstawiciele rosyjskiego koncernu naftowego Łukoil. Czy to miało jakieś znaczenie? Wykluczyć nie można.

Firma Cambridge Analytica podlegała spółce SCL, w której władzach zasiadał między innymi generał Michael Flynn. Był on szefem wywiadu USA w Iraku i Afganistanie, a potem doradcą Trumpa do spraw bezpieczeństwa narodowego. Ale tym doradcą był tylko niecały miesiąc, bo kontrwywiad USA szybko ujawnił jego liczne kontakty z rosyjskim ambasadorem w Waszyngtonie. Same kontakty pewnie by jeszcze nie spowodowały tej drastycznej dymisji, ale Flynn sam się pogryził, składając na temat tych kontaktów kłamliwe zeznania. W USA krzywoprzysięstwo jest karane szczególnie drastycznie, więc dostojny doradca z dnia na dzień stał się nikim.

O sprawy Brexitu go nie pytano. Zresztą pewnie też by skłamał...

0011470407

Naszemu Koledze

Agatonowi Kozińskiemu

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają

koledzki i koleżdy
z Polska Press Grupy

SENTYMENTEM MISKI NIE NAPEŁNISZ

Jeśli wszystko dobrze pójdzie, w skorupce po Zakładach Cegielskiego w przyszłości będzie produkowany polski ciężki bojowy wóz piechoty. Albo jakieś pancerne drony. I to jest wiadomość tygodnia, z którą może konkurować to, że doktor Bartosz Naskręcki z Uniwersytetu Adama Mickiewicza pomógł pewnemu 17-latkowi z Zurychu rozgryźć przy pomocy sztucznej inteligencji nierozwiązalny dotąd problem matematyczny. Państwo wybaczą, że nie wyjaśnię jaki, bo z trudem go czytam, a co dopiero rozumiem.

Można też uznać, że wydarzeniem jest upadek zakładów Stomil w Poznaniu. Ale jak to często z klęskami bywa, ta jest sierota. Dlaczego o tym piszę? Bo wbrew pozorom te trzy

Leszek Waligóra
publicysta



sprawy mają ze sobą wiele wspólnego. Mamy dwa bardzo podobne zakłady - Cegielski i Stomil. Oba koszmarnie przestarzałe technologicznie, oba w obszarze miasta, oba związane z sentymentalnym podziemieniem ludzi, którzy w nich przez lata pracowali, idealizując ich obraz. I oba nie chciały upaść, choć wbrew pozorom już dawno powinny. Cegielski - ten od pojazdów szynowych, który sobie radzi - to wielka fabryka, która zatrudniała dziesiątki tysięcy osób, ale od lat nie wyprodukowała żadnego silnika okrętowego,

ani produktu, którym mogłaby podbijać rynki. Rządzący co jakiś czas ogłaszają dla niej plany. Miała produkować auta elektryczne - i nie produkuje. Miała produkować koreańskie czolgi - i nie produkuje. A związkowcy krzyczą, że trzeba legendę ratować przed połączeniem z Wojskowymi Zakładami Motoryzacyjnymi. Bo upadnie. Ale gdyby to była prywatna firma, to właściciel zamknąłby ją już dawno. Stomil - jest nierentowny od 2012 roku. 13 lat! Według związków zawodowych w 2016 roku zawarł umowę, według której swoje

produkty musiał sprzedawać powyżej kosztów produkcji. I jest przestarzały. I oczywiście wielki żal, że nic z tej firmy już nie będzie, ale też wielki żal, że sentymenty tak bardzo stały na straży zmian w tej firmie, że ich nie było, gdy były potrzebne. A teraz już za późno.

Czy dla Cegielskiego nie będzie za późno? Ciągłe oglądanie się na przeszłość, to bardzo niebezpieczny zaułek. Bo gdy my próbujemy znaleźć miejsce dla ponad 50-letnich obrabiarek z zakładu pełnego duchów przeszłości, doktor z UAM szlifuje sztuczną inteligencję, która nie jest już przyszłością, z biznesowym graalem sporej części świata. Umieemy już na niej zarabiać, tworzyć miejsca pracy i uczyć o niej, czy przesyłamy kolejny ważny moment?

Z czego jutro ...? NATURY DOŚWIADCZEŃ BLISKICH ZAŁAMANIA, CZYLI DAŁ NAM SYGNAŁ KANCLERZ NIEMIEC, ŻE ODREGULOWAĆ I OBNIŻAĆ PODATKI MAMY!

Na światowych szczytach ekonomicznych w Davos padają słowa, niezależnie od ich wartości moralnych i logicznych, z których później czerpana jest moc do czynienia dobra lub zła. Dekady rozsiewania słów po świecie z miejsca, gdzie rozgrywała się „Czarodziejska góra” Thomasa Manna potwierdziły, że „Idee mają konsekwencje” Richarda M. Weavera. W czasie wzbierającej pod koniec lat 90 fali bezrobocia w Polsce będącego konsekwencją błędnych decyzji oraz najzwyczajniej złego rządzenia w Davos przedstawiono raport, z którego wynikało, że kapitały będą płynąć nie tam, gdzie jest tania praca, tylko gdzie są jakiekolwiek jej zasoby. W tym samym niemalże czasie główny doradca ekonomiczny premiera publikuje artykuł, że w Polsce mamy „zbędnych ludzi” jak w Drugiej Rzeczypospolitej i najlepiej byłoby tę nadwyżkę demograficzną na rynku pracy najlepiej „zamrozić” i „odmrozić” w przyszłości jak będzie brakowało rąk do pracy. Autor sam stwierdził, że to niemożliwe, ale że nie ma rozwiązania dla narastają-

Andrzej Sadowski
Centrum. im. Adama Smitha



cego bezrobocia. Bezradność grup sprawujących władzę wobec bezrobocia wywoływała nie tylko falę protestów, ale i ożywioną debatę publiczną. W „Liście społecznym” Episkopatu Polski na temat bezrobocia w roku 2001 jednoznacznie wskazano, że „bezrobocie nie jest wynikiem „wyroków boskich” ani nieuchronnych praw natury, lecz konsekwencją konkretnych decyzji ludzkich, systemowych błędów i braku solidarności społecznej”.

Z konsekwencjami konkretnych decyzji ludzkich i systemowych błędów zmierzył się w styczniu 2026 w Davos kanclerz Niemiec, któremu nie pozostawało już nic innego jak wydanie okrzyku dziecka z „Nowych szat króla” Hansa Christiana Andersena. W ostatnich kilkunastu latach w Davos, tej czarodziejskiej góry można było usłyszeć baśnie dotyczące przyszłości tzw. inkluzywnego kapitalizmu. Wzmożenie regulacyjne Komisji Europejskiej

doprowadziło do sytuacji, w której w Strategii Bezpieczeństwa Narodowego USA (NSS) biurokracja unijna odpowiedziałna jest nie tylko za niszczenie bogactwa, ale oskarżona o tłumienie wolności politycznej i ingerencję w suwerenność państw narodowych, a dotychczasowe elity europejskie zostały wskazane jako przeszkoda dla „prawdziwej demokracji”. USA wzywały Unię do porzucenia „regulacyjnego duszenia” (regulatory suffocation). Unia stała się „instytucją tłumiącą innowację”, co prowadzi według diagnozy przedstawionej w NSS do gospodarczego upadku kontynentu, bowiem to właśnie nadmiar regulacji jest przyczyną drastycznego spadku jej udziału w światowym PKB.

Kiedy przebrzmiały odczytanie rytuały świętego oburzenia wśród europejskich decydentów i tromtadrackie groźby zerwania z USA w Davos przemówił kanclerz Niemiec oraz

Sekretarz generalny NATO w Brukseli nie pozostawiając jakiegokolwiek niedomówień co do położenia w jakim znajdują się dziś państwa europejskie. Słowa kanclerza miały taką moc jaką używa się w USA do wykonywania nadal wyroków śmierci na krześle elektrycznym. Samo stwierdzenie, że „świat wokół nas zmienia się w bezprecedensowym tempie” jest przyznaniem się do rosnącego zapóźnienia chociażby technologicznego Unii. Stąd wskazania konieczności radykalnej zmiany, aby „bezpieczeństwo i przewidywalność miały pierwszeństwo przed nadmiernymi regulacjami i nietrafioną doskonałością”. Kanclerz potwierdził diagnozę Unii postawioną w NSS przyznając, że „w Europie musimy znacznie ograniczyć biurokrację. Jednolity rynek został kiedyś stworzony, aby stworzyć najbardziej konkurencyjny obszar gospodarczy na świecie, ale zamiast tego zostaliśmy mistrzem świata w nadmiernej regulacji. To musi się skończyć”. Polska jest pionierem w zakończeniu przeregulowanego systemu, bowiem jednego dnia roku 1988 i jedną ustawą zwaną

Wilczka doszło do bezprecedensowego w skali świata demontażu systemu. Ustawa Wilczka dla Unii mogłaby być rozwiązaniem kanonicznym dla rozmontowania systemu stając się wzorcem wolności gospodarczej jak wzorec metra w Sèvres. Propozycja kanclerza Niemiec nie poszła mimo powagi sytuacji tak daleko, bowiem proponuje tylko „przerwę nadzwyczajną dla biurokracji”. Iluzją jest jego pogląd, że to „zmodernizowany budżet UE (...) stanowi centralne miejsce dla konkurencyjności”. Odpowiadając na pytania przyznał, że wydajność niemieckiej gospodarki jest od dekady niska, a wzrost gospodarczy 0,2% w roku 2025 jest niezadawalającą i stwierdził, że „przed nami są cztery przeszkody pod względem kosztów. Ten jest energią, drugi to ciężary biurokratyczne, trzeci to podatki, a czwarty to koszty pracy”.

Nie inaczej od dekad jest w Polsce, z tą dziś różnicą, że rządzący Niemcami kanclerz publicznie to wyznał i zapowiada poprawę, wskazując, że „koszty podatkowe zostały już obniżone przez mój rząd”, a „koszty biurokratyczne” o 3

miliardy, a energii o około 10 miliardów. Gęsto padało w wystąpieniu orzeczenie czasownikowe „musimy” jak to, że „musimy zreformować nasz system bezpieczeństwa, emerytury, zdrowie, ale także czas pracy. Niemcy są przyzwyczajeni do pracy tylko 200 godzin mniej niż np. pracują szwajcarskie firmy i pracownicy. Musimy się tym zająć”. Muszą, bo jak w Davos wytknął im prezydent USA „Niemcy produkują o 22% mniej energii niż w 2017 roku, a ich ceny prądu wzrosły o 64%”.

Błędy ludzkie w rządzeniu mają konsekwencje niemożliwe do ukrycia, bo coraz bardziej widoczna staje się powiększająca przepaść rosnącą przepaść Unii wobec innych centrów cywilizacyjnych. Skoro już sam kanclerz Niemiec musiał przyznać, że koniecznością jest zredukowanie kosztów podatkowych, a tym samym kosztów pracy i energii oraz odregulowanie gospodarki, to w Polsce mamy w tym największe doświadczenie. Wystarczy z niego skorzystać, zwłaszcza że dał nam przykład kanclerz Niemiec, że obniżyć i zredukować mamy.

MATERIAL INFORMACYJNY ORLEN

Morskie wiatraki pod lupą

W tym roku na Bałtyku znacznie działać powinna polska morska farma wiatrowa – Baltic Power. To ważny krok w rozwoju krajowej energetyki i projekt, który budzi duże zainteresowanie. Wraz z nim pojawia się wiele obiegowych opinii. Sprawdzamy, które z nich mają potwierdzenie w faktach, a które są tylko mitami – oraz co morska energetyka wiatrowa oznacza dla gospodarki, środowiska i odbiorców energii.

Czy morska energetyka wiatrowa jest stabilna i efektywna?

Zanim wyznaczyć się lokalizację morskich farm wiatrowych, prowadzone są wielomiesięczne badania wietrzności. Pozwalają sprawdzić, jak zmieniają się warunki w różnych porach roku i czy dana lokalizacja jest stabilna oraz opłacalna. Dlatego opinie niestabilności morskiej energetyki trudno uznać za uzasadnione. W rzeczywistości warunki na morzu są bardziej przewidywalne niż na lądzie, a nowoczesne turbiny mogą być nawet dwa razy bardziej wydajne niż lądowe. Nie ma też ryzyka, żeby turbiny „kradły sobie wiatr”. Takie kwestie są eliminowane już na etapie

projektu, m.in. dzięki odpowiednim odległościom. Stabilny i mocny wiatr na morzu umożliwia produkcję dużej ilości energii przez większość roku. Dlatego Baltic Power nie zastąpi w całości dotychczasowych źródeł energii, ale jest ważnym elementem miksu energetycznego.

Z punktu widzenia fizyki, nie ma też możliwości, aby energia, która pochodzi z farm wiatrowych – morskich i lądowych – była słabsza niż ta z elektrowni węglowych. Elektrycy dostarczane do gniazdek odbiorców są identyczne, niezależnie od miejsca wytworzenia.

Koszty prądu z morskich elektrowni wiatrowych

Często podnoszony argument o wysokich kosztach morskiej energetyki wymaga rozróżnienia dwóch perspektyw. Pierwsza to cena energii dla odbiorcy. Gdyby Baltic Power już dziś dostarczała prąd do sieci, jego cena byłaby o około 10 proc. niższa niż ta notowana na rynku SPOT. Drugi poziom to bilans dla całej gospodarki – nowe miejsca pracy, rozwój krajowego przemysłu, napływ kapitału oraz uniknięte emisje, które zmniejszają koszty związane z opłatami klima-

tycznymi. Przykładem jest fabryka gondoli turbin Vestas w Szczecinie.

Skąd naprawdę pochodzą turbiny Baltic Power?

Wokół inwestycji pojawił się także mit o wykorzystywaniu „używanych turbin z Niemiec”. W rzeczywistości takie rozwiązanie nie wchodzi w grę. Turbiny są projektowane od podstaw pod konkretne warunki lokalizacji i nie mogą być przenoszone z jednej farmy na drugą. W Baltic Power zastosowano nowe turbiny duńskiego producenta Vestas, a ich kluczowe elementy – gondole – produkowane są w Szczecinie. To przykład tego, jak globalna technologia zaczyna być realnie osadzona w polskim przemyśle.

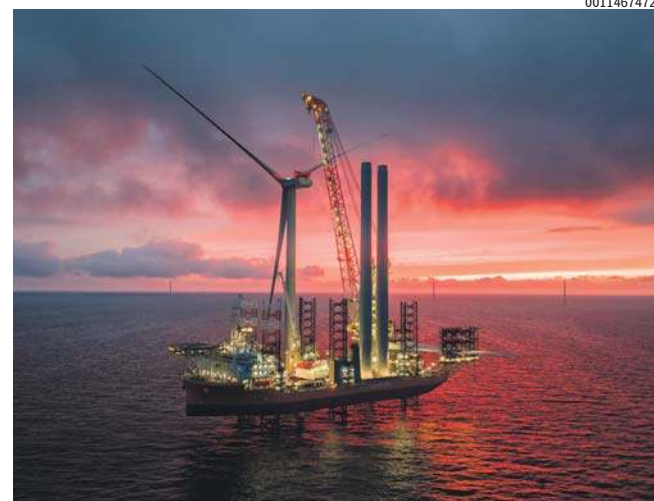
Baltic Power a turystyka, środowisko i lokalne społeczności

Obawy dotyczące wpływu farm wiatrowych na turystykę i środowisko naturalne pojawiają się niemal zawsze. Tymczasem Baltic Power powstaje aż 23 km od brzegu, co oznacza, że turbiny dla wypoczywających na plażach turystów będą ledwo widoczne. Ich pracy nie będzie słychać z plaży. To oznacza, że obecność

farm nie wpłynie na ich doświadczenia, a finalnie na ruch turystyczny w pobliskich miejscowościach. Co więcej, inwestycja nie koliduje też z miejscami uwielbianymi przez windsurferów czy kitesurferów, którzy coraz chętniej wybierają właśnie polskie wybrzeże jako swój kierunek.

Nie tylko turyści są w tej inwestycji brani pod uwagę. Na etapie budowy projekt objęty jest szczegółowymi badaniami środowiskowymi, a prace na morzu monitorują wyspecjalizowane jednostki. Stosowane są rozwiązania m.in. ograniczające hałas pod wodą w trakcie instalacji fundamentów, takie jak kurtyny powietrzne, które chronią życie morskie oraz zapewniają komfort życia mieszkańców. Na farmie będzie również zainstalowany monitoring ruchu ptaków migrujących. Jak to działa? Jeśli radar wykryje stado ptaków zbliżających się do turbin, system na czas ich spodziewanego przelotu wstrzyma pracę turbiny, by ptaki mogły bezpiecznie przelecieć przez teren farmy.

Projekt od początku rozwijany jest też w dialogu z branżą rybacką. Z początkiem 2026 wystartowała druga runda naboru wniosków



o rekompensaty dla rybaków, których działalność została ograniczona w trakcie prac instalacyjnych, wyprzedzając obowiązujące regulacje.

Kto korzystana energii z morza?

Choć morska energetyka wiatrowa to sektor o międzynarodowym charakterze, w Baltic Power znaczący udział mają polskie firmy. Lokalny wkład do projektu wynosi co najmniej 21 proc. w całym cyklu życia farmy – od projektowania i budowy, po 30 lat eksploatacji. W Polsce wyprodukowano elementy konstrukcyjne, gondole, części turbin, kable lądowe, komponenty stacji elektroenergetycznych, a krajowe firmy odpowiadały za budowę lądowej

stacji elektroenergetycznej w gm. Choczewo i bazy serwisowej w Łebie. Zapewniały także usługi logistyczne, transportowe, realizowały badania geotechniczne.

Baltic Power nie jest więc jedynie inwestycją energetyczną. To projekt, który realnie wzmacnia bezpieczeństwo energetyczne Polski, wspiera rozwój nowego przemysłu i sprzyja długofalowej stabilizacji cen energii – niezależnie od narracji krążących dziś w debacie publicznej. Co więcej, Baltic Power to dopiero pierwszy projekt tego typu w naszym kraju. Jego moc – blisko 1,2 GW – to ważny krok, a potencjał polskiej części Bałtyku sięga nawet ponad 30 GW, z czego na 18 GW są już przyznane koncesje.

Ziobro w opałach. Jego majątek zabezpieczony

Nieruchomości Zbigniewa Ziobry zostały właśnie obciążone przymusową hipoteką, jego konta zabezpieczone. Z kolei marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty chce obniżyć Ziobrze uposażenie do jednej dziesiątej i odebrać dietę. Były minister sprawiedliwości nie bierze udziału w pracach polskiego parlamentu, wciąż przed wymiarem sprawiedliwości ukrywa się na Węgrzech, gdzie miał otrzymać azyl polityczny

Dorota Kowalska

Zbigniew Ziobro ma kłopoty, nie od dzisiaj zresztą. Teraz jeszcze większe, bo Sąd Rejonowy w Rawie Mazowieckiej obciążył właśnie przymusową hipoteką nieruchomości należące do byłego ministra sprawiedliwości. Jako pierwszy informację tę podał dziennikarz RMF FM Tomasz Sikora, który ustalił, że wyżej wymieniony sąd uwzględnił trzeci już wniosek Prokuratury Krajowej w tej sprawie.

Wcześniej ten sam sąd oddalił dwa wnioski PK związane z majątkiem Ziobry, w obu przypadkach powodem były błędy formalne. Śledczy od listopada starali się o wpisanie hipoteki w wysokości ponad 143 milio-

nów złotych. Ich zdaniem, taki mógł być koszt przestępstw zarzucanych Zbigniewowi Ziobrze.

13 stycznia rzecznik Prokuratury Krajowej Przemysław Nowak poinformował, że do sądu w Rawie Mazowieckiej trafił zmodyfikowany wniosek w tej sprawie. I wygląda na to, że tym razem się udało.

- Też chciałbym tutaj wyjaśnić, bo to tak brzmi „zabezpieczenie majątkowe na nieruchomości”. My tej nieruchomości fizycznie nie zabezpieczyliśmy. Ona jest dostępna, Pan Zbigniew Z. może z niej korzystać dowolnie. Teoretycznie może nawet sprzedać. My ją obciążyliśmy poprzez dokonanie wpisu o hipotece przymusowej i ten wpis będzie ujawniony w czterech

księgach wieczystych - tłumaczył prok. Przemysław Nowak.

Dziennikarze dopytywali także o to, czy Ziobro ma dostęp do pieniędzy. Prokurator przyznał, że nie ma wiedzy na ten temat.

- Na rachunkach nie było pieniędzy, a więc żadne pieniądze de facto zabezpieczone nie zostały - poinformował. Dodał, że jeżeli jakieś środki wpłyną na konto, to zostaną zabezpieczone.

- Zabezpieczenie majątkowe ma zapewnić wykonalność przyszłych orzeczeń sądowych o charakterze majątkowym, takich jak grzywna, obowiązek naprawienia szkody, zwrot korzyści, poprzez uniemożliwienie podejrzanemu wyzbycia

się, obciążenia lub ukrycia majątku - tłumaczył dalej rzecznik Prokuratury Krajowej.

Ale to nie koniec finansowych kłopotów byłego ministra sprawiedliwości.

Wcześniej, marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty przekazał, że pod koniec stycznia - w związku z nieobecnościami Ziobry - skieruje pismo do odpowiedniej komisji i zaproponuje, by obniżyć mu uposażenie do jednej dziesiątej i odebrać dietę. Tak też zrobił.

Czarzasty podkreślił, że kary finansowe są naliczane Ziobrze już teraz, ale docelowy plan marszałka idzie znacznie dalej. Po przejściu drogi przez Komisję Regulaminową, która może udzielić posłowi uwagi, upo-

mnienia lub nagany, sprawa trafi do Prezydium Sejmu.

- Komisja może podjąć następujące decyzje: zwrócić posłowi uwagę, udzielić upomnienia oraz naganę. Jeżeli jedna z tych trzech decyzji zostanie podjęta, to mam możliwość skierowania na posiedzenie Prezydium Sejmu wniosku o utratę diety parlamentarnej w całości oraz o obniżeniu uposażenia posła do jednej dziesiątej uposażenia - przekazał Czarzasty.

Zgodnie z prawem Zbigniew Ziobro ma 14 dni na odwołanie się od uchwały komisji do Prezydium Sejmu i siedem dni na odwołanie od ostatecznej decyzji Prezydium o obniżeniu uposażenia.

Marszałek podkreślił, że zdaje sobie sprawę, że ta procedura trochę trwa, ale chciałby, żeby wszystko odbyło się na podstawie przepisów, by nie było powodów do kwestionowania decyzji.

Ziobro tym wszystkim wydarzeniom przygląda się z Budapesztu. W połowie stycznia był minister sprawiedliwości przyznał, że otrzymał na Węgrzech azyl polityczny, choć zarzekał się, że nie będzie się o niego ubiegał.

Podobną ochronę otrzymała jego żona, Patrycja Kotecka. Tym samym para dołączyła do Marcina Romanowskiego, bliskiego współpracownika Ziobry, byłego wiceministra sprawiedliwości, który też dostał

REKLAMA

0011470386



SOLANKI

Uzdrowisko Inowrocław

Czas na zdrowie



Zakwaterowanie



**3 posiłki dziennie
w formie bufetu szwedzkiego**



Konsultacja lekarska



**4 zabiegi dziennie
(oprócz niedziel i dni świątecznych)**



**90 min. dziennie w Strefie Relaksu
(sauna, jacuzzi, grota solna, siłownia)**



Voucher do Integracja Cafe



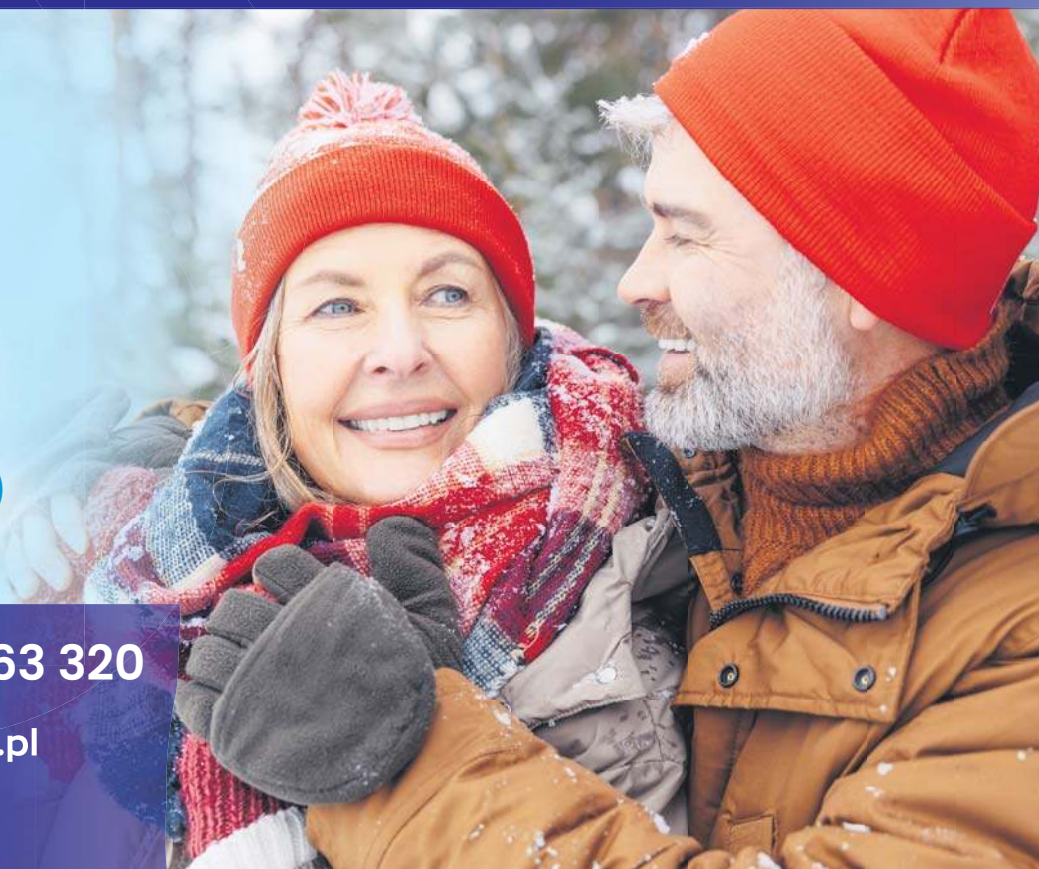
52 35 63 101, 52 35 63 100, 52 35 63 320



medicals@solanki.pl, recepcja@solanki.pl



www.solanki.pl



azył od Orbana i od miesiąca ukrywa się na Węgrzech.

I właśnie z Węgier Ziobro postanowił skomentować decyzję o zajęciu jego kont bankowych oraz zabezpieczeniu hipoteką nieruchomości.

- Nie przestraszam mnie, nie dam się złamać, [...] jestem przekonany, że finał będzie zły, ale dla Tuska i tej zgrai, która wykorzystuje prokuraturę nielegalnie przejętą do zemsty, do odwetu - mówił Zbigniew Ziobro na antenie TV Republika. - Zabezpieczenie to dalszy ciąg zemsty Tuska za liczne śledztwa, które ujawniły ogromną korupcję i złodziejstwo w jego najbliższym otoczeniu. Wystarczy przypomnieć Nowaka, Giertycha, Grodzkiego, Gawłowskiego, Karpińskiego, cały gronek najbliższych współpracowników wysokich funkcjonariuszy państwa z jego ramienia - wyliczał.

Rozmowę nagrano na tle węgierskiego parlamentu, przy pomniku upamiętniającym powstanie węgierskie z lat 1848-1849, czyli jednym z najważniejszych wydarzeń Wiosny Ludów.

Przypomnijmy: śledczy postawili byłemu ministrowi sprawiedliwości 26 zarzutów, w tym zarzut założenia i kierowania zorganizowaną grupą przestępczą. Ziobro miał wskazywać podwładnym, kto ma wygrać niektóre konkursy na pieniądze z Funduszu Spra-



FOT. ADAM JANKOWSKI

Śledczy postawili byłemu ministrowi sprawiedliwości 26 zarzutów, w tym zarzut założenia i kierowania zorganizowaną grupą przestępczą

wiedliwości, zanim jeszcze te konkursy zostały ogłoszone. Prokuratorzy twierdzą, że mają mocne dowody: oficjalne dokumenty (zarówno te publiczne znane, jak i dotąd nieznanne), pendrive'y używane

przez urzędników resortu Ziobry, grafik spotkań ministra Ziobry, nagrania rozmów między byłymi urzędnikami, korespondencję elektroniczną, zeznania świadków i wyjaśnienia podejrzanych. Swoje ustalenia

poczyniła też Najwyższa Izba Kontroli.

Problem w tym, że Ziobro, kiedy śledczy stawiali mu zarzuty, przebywał w Budapeszcie. Spotkał się tam między innymi z Wiktorem Orbaniem. Obaj panowie bez pardonowo atakowali polski rząd i Donalda Tuska. Teraz okazuje się, że Ziobro zostanie za granicą. Co będzie robił na Węgrzech?

- Uruchomię kanał na YouTube, na którym będę pokazywał kłamstwa tej władzy - zapowiedział w RMF FM polityk. Wydał też obszernie oświadczenie.

„Wybieram walkę z politycznym bandytyzmem i bezprawiem. Stawiam opór postępującej dyktaturze. Czynię to w imię zasad, którymi zawsze się kierowałem i z powodu których stałem się dziś celem osobistej zemsty Donalda Tuska i jego środowiska. Stałem się obiektem polowania i nagonki dlatego, że jako Prokurator Generalny zainicjowałem liczne śledztwa dotyczące ich korupcji i złodziejstwa” - napisał Ziobro w serwisie X.

I dodał, że podjął decyzję o pozostaniu za granicą do czasu, „gdym w Polsce zostaną przywrócone rzeczywiste gwarancje praworządności”.

Tyle że jego sprawa to spory kłopot dla Prawa i Sprawiedliwości.

- Zbigniew Ziobro to jest polityk, który nie cieszy się specjalną sympatią w Polsce. Co

więcej, nienajlepsza opinia czy nienajlepszy stosunek, czy wprost negatywny stosunek do niego nie jest tylko i wyłącznie domeną wyborców koalicji 15 października. Jest całkiem spora grupa osób sceptycznych wobec Ziobry i jego poczyniń jako ministra sprawiedliwości, które są jednocześnie wyborcami Prawa i Sprawiedliwości, Konfederacji czy Grzegorza Brauna, czego skrajnym przykładem są transparenty na stadionach, które jeszcze pół roku temu uderzały w Trzaskowskiego, a dzisiaj krytykują Ziobrę - mówił mi ostatnio Marcin Duma, były szef Instytutu Badań Rynkowych i Społecznych IBRiS. I dodał, że sprawa Ziobry to obciążenie dla Prawa i Sprawiedliwości, bo nawet jeśli Ziobro nie powoduje samych spadków notowań Prawa i Sprawiedliwości, to na pewno uniemożliwia odbudowę poparcia, czy tamowanie ucieczki wyborców Prawa i Sprawiedliwości do Brauna czy do Konfederacji.

Politycy Prawa i Sprawiedliwości doskonale zdają sobie z tego sprawę i choć oficjalnie bronią kolegi, nieoficjalnie przyznają, że ta historia im ciąży.

- Cała sprawa z Ziobrą jest męczącą i na pewno obciążająca dla całego Prawa i Sprawiedliwości. Wiadomo, publicznie mało kto chce to przyznać, ale dla naszego obozu politycznego ta sprawa

nie jest korzystna. Myślę, że ażyl dla Ziobry też nie będzie dobrze odbierany przez wyborców - ocenił w rozmowie z PAP parlamentarzysta ze środowiska Mateusza Morawieckiego. Według niego, jeśli były szef MS unika kontaktu z wymiarem sprawiedliwości, „to jednak coś jest nie tak”.

Wcześniej, inny rozmówca PAP związany z PiS zwracał uwagę, że rząd stosuje wobec byłego szefa MS te same narzędzia, które uprzednio „forsował i przy których się upierał” sam Ziobro.

- Ziobro ucieka przed tym, co sam wcześniej wymyślił i stworzył, więc to ludzi denerwuje - ocenił wtedy polityk. Więc w PiS nie ma „entuzjazmu i chęci rozdzierania sobie koszuli w obronie Zbigniewa Ziobry”, mimo że politycy z byłej Suwerennej Polski oczekują, by „wszyscy zaangażowali się w narrację obronną wobec Ziobry”.

Niektórzy zresztą, nie owijają w bawełnę, czym sprawa Ziobry jest dla Prawa i Sprawiedliwości.

- To oczywiście nas topi - stwierdził Ryszard Terlecki, wiceprzewodniczący PiS o ucieczce Zbigniewa Ziobro przed polskim wymiarem sprawiedliwości na Węgry.

Może dlatego, dzisiaj partyjni koledzy Zbigniewa Ziobry nie komentują decyzji sądu ani tej marszałka Czarzastego. PAP

REKLAMA

0011460132

Katowice stolicą architektury i designu.

Jubileuszowa edycja 4 Design Days przyciągnęła ponad 5 tysięcy uczestników

Ponad 5 tysięcy uczestników, blisko 250 prelegentów, 42 debaty i sesje tematyczne oraz dwa dni intensywnych rozmów o przyszłości architektury, miast i jakości przestrzeni - tak wyglądała jubileuszowa, dziesiąta edycja 4 Design Days, która odbyła się w Międzynarodowym Centrum Kongresowym w Katowicach.

Wydarzenie od lat gromadzi architektów, projektantów, urbanistów, przedstawicieli samorządów, inwestorów, deweloperów, administrację publiczną oraz środowiska biznesowe. Tegoroczna edycja po raz kolejny potwierdziła, że 4 Design Days to dziś jedna z najważniejszych w Polsce platform debaty o przestrzeni, mieście i odpowiedzialnym projektowaniu.

Program jubileuszowej odsłony skoncentrowany był wokół wyzwań, z którymi mierzy się współczesna architektura: odporności na kryzysy klimatyczne i energetyczne, projektowania regeneracyjnego, adaptacji



istniejącej zabudowy, wpływu przestrzeni na relacje społeczne, a także roli nowych technologii - od danych po sztuczną inteligencję - w procesach projektowych i inwestycyjnych.

- Architektura nie może być dziś wyłącznie estetyczną odpowiedzią na potrzeby rynku. Musi stać się narzędziem budowania jakości życia i odporności miast - podkreślał podczas jednej z sesji David Sim, jeden z gości specjalnych wydarzenia i autor książki Soft City.

Wśród międzynarodowych prelegentów znaleźli się również m.in. Jonas Norsted z norweskiej pracowni Atelier Oslo, Jeanette Frisk - współzałożycielka kopenhaskiego arki_lab, specjalizująca się w projektowaniu partycypacyjnym oraz Roger Riewe - współtwórca uznanego biura Riegler Riewe Architekten. Towarzystwo im szerokie grono polskich architektów, urbanistów i ekspertów, których dorobek realnie kształtuje współczesną przestrzeń.

Integralną częścią programu było także wydarze-



nie towarzyszące Property Forum: Pomysł na Miasto, poświęcone rynkowi nieruchomości oraz wyzwaniom stojącym przed polskimi miastami. Dyskusje dotyczyły m.in. rewitalizacji terenów poprzemysłowych, współpracy samorządów z sektorem prywatnym, długofalowego planowania przestrzennego oraz odpowiedzialności inwestycyjnej.

- Miasta potrzebują dziś nie doraźnych decyzji, lecz spójnej wizji rozwoju, która łączy interes publiczny, ekologię i jakość przestrzeni -

mówiła podczas jednej z debat Jeanette Frisk.

Jednym z najważniejszych momentów jubileuszowej edycji była Gala Property Design Awards, podczas której nagrodzono najlepsze realizacje architektoniczne i wnętrzarskie w Polsce. Jury doceniło projekty biurowe, mieszkaniowe, hotele, obiekty publiczne oraz przestrzenie komercyjne, podkreślając znaczenie jakości, odpowiedzialności środowiskowej i społecznej w projektowaniu. Z okazji 10-lecia przyznano nagrody specjalne dekady.

Tytuł Projektu Miastotwórczego Dekady otrzymała Strefa Kultury w Katowicach, Budynkiem Dekady został Varso Tower w Warszawie, a Rewitalizacją Dekady - Hala Koszyki. Architektem Dekady został Przemek Łukasik, a Designerm Dekady - Oskar Zięta. Specjalne wyróżnienie przyznano Davidowi Simowi.

Drugiego dnia wydarzenia odbył się finał prestiżowego konkursu Dobry Design, promującego marki i projektantów, którzy łączą estetykę z funkcjonalnością, trwałością produktów oraz troską o zrównoważony rozwój. Konkurs od lat wskazuje kierunki, które wyznaczają standardy współczesnego polskiego wzornictwa.

Jubileuszowa edycja 4 Design Days po raz kolejny pokazała, że Katowice stały się jednym z kluczowych miejsc w Polsce dla rozmowy o architekturze, designie i mieście. To nie wydarzenie o chwilowych trendach, lecz o długofalowych kierunkach, które realnie wpływają na to, jak projektujemy przestrzeń, w której żyjemy, pracujemy i funkcjonujemy na co dzień.

Donald Trump jeszcze czymś pana zaskakuje?

Dobre pytanie (śmiech). A mówiąc bardzo krótko i syntetycznie: tak, potrafi mnie jeszcze zaskoczyć.

Ostatnio ocenił Afganistan i sojuszników z NATO. Polscy weterani czują się oburzeni. Pana zdaniem słusznie?

Tak, moim zdaniem, słusznie. O ile dobrze pamiętam, polski kontyngent w Afganistanie liczył 33 tys. żołnierzy, 44 z nich zginęło. I pierwszy raz w historii NATO miał zastosowanie punkt 5 Traktatu Północnoatlantyckiego. Więc tego typu lekkieżąca wypowiedź, nie tylko o polskich żołnierzach, bo tych żołnierzy było z różnych krajów w Afganistanie wielu: z Wielkiej Brytanii, Danii, Niemiec, Francji, była najdelikatniej mówiąc, nie na miejscu. Zresztą Keir Starmer dość stanowczo zareagował, Emmanuel Macron również. Czytałem wypowiedź ambasadora amerykańskiego w Polsce, który łagodzi tę wypowiedź Trumpa. Ona niczemu nie służy i ta retoryka, którą stosuje Trump, brak dyscypliny myślowej, ale i emocjonalnej tworzy niepotrzebne zgrzyty, które chociażby w kontekście wojny w Ukrainie działają tylko i wyłącznie na korzyść Rosji.

Polscy weterani domagają się bardziej stanowczej odpowiedzi Karola Nawrockiego, mówią, że zachowuje się jak podwładny Trumpa. Pana zdaniem reakcja Nawrockiego na wypowiedź prezydenta USA była zbyt łagodna?

Wiemy, jaką Trump i jego administracja przyjęli strategię - stosują klasyczną, unilateralną politykę, w której najważniejsze jest hasło: America First. Zresztą strategia bezpieczeństwa narodowego USA pokazuje wyraźnie, że interesy amerykańskie są dla Trumpa i jego ludzi priorytetem. Natomiast sojusznicy, nawet ci, których się poklepuje po plecach i opowiada, że są cudowni, wspierali i wydają pięć procent PKB na zbrojenia, w określonej sytuacji nie tyle nie stają się sojusznikami, co mają drugorzędne znaczenie. Natomiast Polska jest krajem, który ma swój ograniczony potencjał i współpraca ze Stanami jest konieczna. To nie znaczy jednak, że prezydent Polski musi reagować tak a nie inaczej, bo Trump, podobnie jak wielu tego typu przywódców, ceni tych, którzy są asertywni, którzy potrafią stanowczo mu się przeciwstawić, co pokazała sytuacja z Grenlandią. W tym wypadku stanowczo zareagowali zarówno przywódcy europejscy, jak i część Republikanów, choćby znany i wpływowy kongresmen Ted Cruz. Ci ludzie uznali, że grenlandzka awantura Trumpa jest kompletnym nonsensem i rozbija jedność NATO, bo gdyby

rzeczywiście amerykańscy żołnierze wylądowali na Grenlandii, byłby to koniec tego paktu. To, jak mówię, jest absolutnie katastrofalne z perspektywy również bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Więc myślę, że prezydent Nawrocki mógł zareagować bardziej stanowczo, aczkolwiek dyplomatycznie. Chociaż Trump wymyka się dyplomatycznym konwenansom i konwencjom. Politycy, w tym także polscy, nie tyle muszą się do tego przyzwyczaić, co powinni umieć z Trumpem postępować.

Nie ma pan wrażenia, że Donald Trump powoli staje się problemem dla przywódców konserwatywnych, często populistycznych partii, zwłaszcza w Europie i dla samych Republikanów, którzy bardzo często są zmuszeni tłumaczyć czy łagodzić jego wypowiedzi?

Tak, spójrzmy na akcję w Caracas, kiedy to Marco Rubio musiał tłumaczyć z trumpowego na amerykański. Sekretarz stanu jest doświadczonym politykiem i widać różnicę zarówno w sposobie komunikacji, ale też myślenia strategicznego między nim a Trumpem. Trump jest mieszanką showmmana, inwestora na rynku nieruchomości, a czasami takiego dobrego wujka na weselu, co też wprawia w osłupienie zarówno europejskich przywódców, jak i amerykańskich. Natomiast nie należy tego sprowadzać tylko do personalnych kwestii, trzeba na to spojrzeć systemowo i strukturalnie. Na zapleczu Trumpa działa więcej ludzi, nazwijmy to lebskich czy myślących, i oni przestawili wajchę, zmienili zupełnie optykę. Widzimy to wyraźnie, jeżeli chodzi o kwestie chociażby powrotu do doktryny Monroe, mówiącej o tym, że półkula zachodnia jest miejscem, w której Amerykanie dzielą i rządzą, co pokazała interwencja w Wenezueli i porwanie prezydenta Maduro. Druga sprawa to kwestia Rosji i wojny w Ukrainie, gdzie widzimy z jednej strony starania Trumpa o to, aby ten konflikt łagodzić, ale z drugiej strony Trump wysłał na negocjacje z Putinem Steve'a Witkoffa, swojego kolegę od golfa, który nie zna języka rosyjskiego, nie zna Rosji i jest koncertowo ogrywany przez absolwentów jeszcze posowieckiej szkoły dyplomacji. Amerykanie, nie chcąc powiedzieć, że wycofują się z Europy, ale ich uwaga jest skoncentrowana na rejonie Pacyfiku.

Nie od dzisiaj zresztą!

Zgoda, to nie jest żadna nowość, to się dzieje mniej więcej od czasów prezydenta Obamy. Tylko że administracje zarówno Obamy, jak i Bidena robiły to zupełnie inaczej, w innym stylu, szanując przynajmniej na poziomie deklaracji

DR TOMASZ SŁUPIK: POLITYKA TRUMPA JEST BARDZO CHAOTYCZNA, BRAKUJE W NIEJ ELEMENTARNEJ SPÓJNOŚCI

– Styl Trumpa charakteryzują nadmiarowo emocjonalne wypowiedzi, które z rzeczywistością nie mają nic wspólnego. Myślę, że jednak i Pentagon, i tzw. amerykański big state kontrolują, przynajmniej w ograniczonym zakresie, chaos, który wprowadza do polityki amerykańskiej i zagranicznej Donald Trump – mówi dr Tomasz Słupik, politolog z Uniwersytetu Śląskiego

Dorota Kowalska

sojuszników z NATO. Natomiast Trump porusza się z gracją słonia w składzie porcelany, co, tak jak mówiłem, często budzi osłupienie i zdziwienie. I to nie tylko w przypadku sojuszników europejskich. Podobnie rzecz ma się z Koreą Południową, gdzie pojawiły się głosy, że Amerykanie mogą również stamtąd wycofać część swojego personelu. Więc obecna jest narracja, że tak naprawdę Korea Południowa ma już na tyle rozwinięte zarówno przemysł zbrojeniowy, jak i armię, że spokojnie poradzi sobie z Koreą Północną. Kiedy patrzę na politykę Trumpa, ona jest bardzo chaotyczna, brakuje w niej elementarnej spójności. Wiemy, że Chiny też coraz bardziej się rozpychają, są coraz bardziej asertywne, co pokazała kwestia ceł, które próbował Trump na nie nałożyć. Z kolei Tajwan jest dla Amerykanów strategiczny, ponieważ powstaje tam 80 proc. mikroprocesorów, które są zarówno kluczowe dla przemysłu zbrojeniowego, jak i teraz dla AI. Więc tutaj Trump też jest zakładnikiem gigantycznych korporacji amerykańskich, które wspierały go finansowo nie tylko w kampanii. A jest jeszcze Bliski Wschód, kolejny teatr, w którym działa Trump. Nie chcę powiedzieć, działa bez ładu i składu, ale nie widać tu jakiegokolwiek spójnej koncepcji. I to, co on odtrąbił jako sukces a propos

Gazy, czy to, co mówi o Syrii czy o Iranie - to jest polityka, chciałoby się powiedzieć, od Sasa do Lasa.

Co w tej sytuacji powinna zrobić Europa?

Europa ma proste zadanie - musi się zbroić. W tej chwili to niemożliwe, ale stworzyć namiastkę armii europejskiej, w każdym razie koordynować działania w ramach NATO. To się już dzieje. W Niemczech właśnie ruszyły największe w tym roku ćwiczenia NATO, w których uczestniczą siły europejskie. Widzimy wyraźnie, że wzrastają wydatki na zbrojenia, zarówno w Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech, ale też i w krajach skandynawskich jest pełna mobilizacja. Rosyjski wywiad zdaje sobie z tego sprawę. Jeżeli porównamy potencjały tylko i wyłącznie europejskich armii i Rosji, w tej chwili właściwie wykrawionej konfliktem w Ukrainie, to ta konfrontacja wypada miądzę dla Putina. A jeśli weźmiemy pod uwagę, że cztery lata wojny w Ukrainie przyniosą oplakane skutki dla Rosji nie tylko w sferze ekonomicznej, ale też w sferze społecznej - to ta sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Więc Putin, wbrew wszystkiemu, wbrew logice brnie w wojnę, która, moim zdaniem, w dłuższej perspektywie w najlepszym wypadku doprowadzi do głębokiego kry-

zysu tego państwa, a w najgorszym mogą się dziać najróżniejsze rzeczy, łącznie z tym, że znacznie mu to państwo pękać czy to na Kaukazie, czy w innych republikach.

Na razie krwawi Kijów. Wiadomo, że ludzie tam nie mają prądu, nie mają tam często wody, ogrzewania. Sytuacja Ukrainy jest zła po prostu.

Tak, to prawda. Tylko z drugiej strony oglądałem ostatnio na Twitterze Jarosława Wołoskiego, to politolog, dziennikarz, publicysta oraz cywilny analityk zajmujący się wojskiem i obronnością. On pokazał, o ile przesunęły się pozycje rosyjskie od 24 lutego 2022 roku. Ktoś skrzętnie z instytutu brytyjskiego, który zajmuje się analizą wojny w Ukrainie, policzył też, że jeżeli armia Putina w takim tempie próbowałaby podpiąć Ukrainę, to zajęłoby jej to 100 lat. Ukraińcy też sobie z tego zdają sprawę, wywiad ukraiński jest bardzo sprawny. Kyryło Budanow to absolutny arcy mistrz, autor wielu udanych akcji dywersyjnych i niedywersyjnych. Więc Ukraina zdaje sobie sprawę, w jakiej sytuacji jest Rosja. Rosja też doskonale to wie. Oczywiście Ukraina krwawi, bo w tej chwili Putin próbuje złamać opór społeczeństwa ukraińskiego, ale jak widzimy, w Kijowie organizowane są już spotkania oporu. Ludzie wychodzą z tych nie-

ogrzewanych bloków i pokazują wyraźnie, że wola oporu w nich istnieje. Wiemy, że wielu młodych ludzi z Ukrainy ucieka, że są dezercje głównie na wschodnim czy południowo-wschodnim odcinku frontu, ale z drugiej strony Ukraińcy nadrabiają właśnie sprytem, wolą walki, niezłomnością. Mają też drony. W samej Ukrainie istnieje przecież przemysł zbrojeniowy, często wspierany przez kraje europejskie. Na pewno, tak jak mówię, postępy armii rosyjskiej przez te cztery lata są, z perspektywy zaangażowanego potencjału rosyjskiego, więcej niż mame.

Ale końca tej wojny nie widać. Wydaje się, że Trump Ukrainę po prostu odpuścił.

Styl Trumpa charakteryzują nadmiarowo emocjonalne wypowiedzi, które z rzeczywistością nie mają nic wspólnego. Moim zdaniem, Trump mimo wszystko ma dość ograniczoną orientację i często ulega wpływom różnego rodzaju lobby ludzi, których też bardzo często zmienia. Natomiast myślę, że jednak i Pentagon, i tzw. amerykański big state kontroluje, przynajmniej w ograniczonym zakresie, chaos, który wprowadza do polityki amerykańskiej i zagranicznej Donald Trump. To pokazała właśnie akcja w Caracas. To była koronkowa robota, widać tutaj amerykańską potęgę. Amerykanie wy-



FOT. PAPPEA

Dr Słupik: Trump porusza się z gracją słoniu w składzie porcelany, co często budzi osłupienie i zdziwienie

dają prawie bilion dolarów na zbrojenia. To jest tyle, ile wydaje razem kolejnych dwadzieścia państw w tym rankingu. Teraz słyszymy amerykańskich wojskowych, którzy mówią o budowie całego kompleksu przemysłowo-zbrojeniowego, więc pieniędzy na zbrojenia będą wydawali jeszcze więcej. To pokazuje ich siłę, przewagę zbrojeniową. Amerykanie są imperium morskim, a chcąc być hegemonem, muszą kontrolować właściwie wszystkie szlaki morskie, w ogóle kwestie przepływów nie tylko towarów, ale też finansów. Dolar jest walutą rezerwową. Kiedy porównamy znaczenie dolara dla światowego handlu, w ogóle finansów i euro, to zdecydowanie działa to na korzyść dolara, z czego Amerykanie czerpali i czerpią korzyści. Część administracji Trumpa jakoś średnio zdaje sobie z tego sprawę, ale lobby biznesowe to wszystko wie. Kwestia cel w dłuższej perspektywie, jak mówią specjaliści, właściwie okazuje się nieskuteczna, ponieważ to może napędzać chociażby tak skutecznie tłumioną inflację przez Rezerwę Federalną. Zresztą tam była kuriozalna sprawa: Trump grozi paluszkami szefowi Rezerwy Amerykańskiego Banku Centralnego i generalnie go strofuje, chce, żeby obniżał

stopy procentowe, czego ten oczywiście nie zrobił. Ta sytuacja pokazuje wyraźnie, że Trump wielu rzeczy po prostu nie rozumie.

Trump zaczyna mieć powoli kłopoty w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza po działaniu służb antyimigracyjnych. Dokładnie. Widać opór społeczeństwa amerykańskiego. Prędzej czy później dojdzie tam do poważnych starć i demonstracji sprzeciwu. Nowa służba migracyjna jest w jakimś stopniu wyjęta spod prawa, a część liderów MAGA dowartościowuje tych najbardziej okrutnych funkcjonariuszy służby migracyjnej, mówiąc, że to bohaterowie, którzy bronią Amerykę przed napływem migrantów. W jakimś stopniu utrudnia się, chociażby policji lokalnej czy lokalnym prokuratorom, prowadzenie dochodzenia. To rys państwa autorytarnego. To mi przypomina takie państwo, bo zamazuje się ślady przestępstw, uniemożliwia zarówno policji, jak i organom ścigania zabezpieczenia miejsca zdarzenia, prowadzenie śledztw, w pewnym sensie próbuje się wpływać na sądy, co w takiej klasycznej demokracji jest absolutnie niedopuszczalne. Ten trójpodział władzy jest święty i amerykańska kon-

stytucja z żelazną konsekwencją go realizuje.

A zostając trochę w Polsce, nie ma pan wrażeń, że widzimy próbę dogadania się między prezydentem a rządem, że te stosunki troszkę się ocieplają, przynajmniej w kwestiach bezpieczeństwa?

Mam nadzieję, że tak będzie. Na początku niezłe te stosunki wyglądały, potem pojawiły się nieoficjalne informacje, że Kaczyński zainteresował, że Nawrocki jest jakby zbyt spolegliwy, zbyt łagodny w relacjach z małym pałacem. Natomiast myślę, że część otoczenia Nawrockiego znakomicie zdaje sobie sprawę, że to jest stapanie po bardzo cienkim lodzie. Zabawa bezpieczeństwem milionowego narodu w środku Europy, który jest zagrożony, chociażby wojną hybrydową przez Rosję, jest przyszłościową zabawą zapałkami. Więc myślę, że kontekst zmusza Kancelarię Prezydenta do tego, żeby się z premierem dogadać. Z drugiej strony konstytucja wyraźnie mówi, że politykę zewnętrzną prowadzi rząd oraz minister spraw zagranicznych. Dwutorowość tej polityki jest fatalna i z perspektywy wewnętrznej, ale i zewnętrznej. Polska z różnych powodów jest traktowana - szczególnie w Eu-

ropie, to tylko zasługa Tuska - jako poważny partner, a Nawrocki jest traktowany jako niepoważny lider. A to, że spotka się z Trumpem, poklepie go po ramieniu, zrobi sobie z nim zdjęcie, to nie jest poważna dyplomacja.

Myśli pan, że to jest koniec Polski 2050?

Tak, po klęsce wyborczej i po tym, jak Hołownia spotkał się z Kaczyńskim i z Bielanem, mówiłem, że to początek końca tej formacji. To, co dzieje się w niej teraz, porów-

nałbym do PZPR-u i słynnego ostatniego zjazdu, kiedy to Rakowski wygłosił swoje sakramentalne wtedy słowa, które przeszły do historii: „Sztandar wyprowadzić”. Działania Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz i Hennig-Kloski niczego tak na prawdę nie zmieniają. Myślę, że ci, którzy są w Polsce 2050 prawdopodobnie w Koalicji Obywatelskiej, a ci z tak zwanych tylnych ław będą musieli szukać swojego szczęścia poza polityką. Natomiast to jest o tyle niebezpieczne, że zagraża stabilności rządu. Jeśli w Polsce 2050 rzeczywiście dojdzie do rozłamu i jakiegoś chaosu, to Tusk, Kosiniak-Kamysz i Czarzasty będą mieli nie lada pasztet. Na razie na to się nie zapowiada. Na 31 stycznia zapowiedziano dokończenie wyborów w Polsce 2050, ale absolutnie niczego to nie zmieni. Ci ludzie działają w bańce, jakby nie rozumieli, że ich czas się skończył, a sondaże są tego najlepszym dowodem.

Ostatnio Jarosław Kaczyński dość ostro odniósł się do Grzegorza Brauna, pojawiły się głosy, że to Amerykanie wymusili na Kaczyńskim, żeby odciął się od Brauna. Ale z drugiej strony politycy PiS-u mówią o przyszłej ewentualnej koalicji z Konfederacją Korony Polskiej: czemu nie.

Nie takie rzeczy widziała polska polityka. Odwołam się tylko do słynnej umowy między Kaczyńskim, Lepperem i Giertychem w 2006 roku. Nikt sobie nie wyobrażał, że Lepper może zostać wicemarszałkiem Sejmu, prawda? Wiem, że to może dzisiaj dla niektórych brzmieć co najmniej prowokacyjnie, że Grzegorz Braun zostaje wicemarszałkiem Sejmu, ale z różnych powodów ten scenariusz jest jak najbardziej realny. Chociaż byłbym ostrożny - w Konfederacji konflikt między Bosakiem a Mentzenem cały czas się tli, a efekt Brauna, nie chcę powiedzieć wygasa, ale ten peak sondażowy właściwie się kończy. A z różnych po-

wodów interwencja amerykańska ze względu na antysemicką narrację Brauna jest jak najbardziej zrozumiała. Naciski na Kaczyńskiego będą, ale Kaczyński jest znany ze swojego pragmatyzmu. Więc podsumowując: scenariusz koalicji Konfederacji, Konfederacji Korony Polskiej i PiS-u jest w jakimś stopniu realny, ale do wyborów zostało jeszcze ponad 18 miesięcy, byłbym więc ostrożny z ostatecznymi prognozami. Akurat ekipie rządzącej koniunktura gospodarcza sprzyja: inflacja spada, konsumpcja rośnie, wzrost gospodarczy łokuje nas w pierwszej trójce krajów europejskich. Nawet prywatnie obserwowałem, jak przed świętami Polacy wręcz rzucili się do sklepów, wskaźniki ekonomiczne wyraźnie to pokazywały i pokazują. Jeżeli nie stanie się coś naprawdę fundamentalnego, myślę tutaj o kierunku rosyjskim, co odbije się na całej gospodarce światowej i europejskiej, to tak jak mówię, na tę chwilę koniunktura, przynajmniej w najbliższych dwóch latach gospodarczo ekipie rządzącej będzie sprzyjać. A to z perspektywy wyborów jest najważniejsze.

Czyli jeszcze nic nie jest przesądzone? To nie jest tak, że na pewno będzie rządziła prawica?

Wie pani, PiS efektu Nowackiego właściwie nie skonsumował. Sondaże stoją na poziomie 27 proc., a ostantacyjny konflikt między tak zwanymi masłarzami a Morawieckim i Szydło pokazuje, że w PiS-ie też trzeszczy. Jarosław Kaczyński z walką frakcji zupełnie sobie nie radzi i wewnętrznie, i komunikacyjnie. A jeszcze o dogmacie Kaczyńskiego, realizowanym przez lata z żelazną konsekwencją, że po prawej stronie jest tylko ściana, możemy zapominąć, bo kiedy policzymy sobie w takim najbardziej ostrożnym szacunku wyniki Konfederacji i Konfederacji Korony Polskiej, to jest jedna piąta wyborców. Więc żaden wynik wyborczy nie jest jeszcze przesądzony.

REKLAMA

0011461412

Karnawałowe szaleństwo w Centrum Mody Nadarzyn 2026

Czynne w każdą NIEDZIELĘ niektóre sklepy

Al. Katowicka 51, Nadarzyn tel. 22 739 55 00

DOBRY WYBÓR

ELEGANCJA

Zabił swoje dziecko, zaatakował całą rodzinę. Funkcjonariusz SOP z zarzutami

Prokurator postawił zarzuty zabójstwa i usiłowania czterech zabójstw 44-letniemu funkcjonariuszowi Służby Ochrony Państwa i złożył wniosek o jego tymczasowe aresztowanie. Mężczyzna zaatakował nożem swoją żonę, dzieci i teściów. Jego 4-letnia córka w wyniku odniesionych obrażeń zmarła

Dorota Kowalska

Polska
Piątek-niedziela, 30.01-1.02.2026

Piotr K. z żoną i dziećmi przebywał od kilku dni w Ustce na urlopie u teściów. W poniedziałek około godz. 21.30 nieoczekiwanie zaatakował nożem rodzinę. Czteroletnia córka mężczyzny zmarła na miejscu. Żona napastnika, on sam, jego teściowie i syn trafili do szpitali w Słupsku, Lęborku i Sławnie. W szpitalu wojewódzkim w Słupsku nadal przebywają obie kobiety. Teść jest w szpitalu w Sławnie.

Szef Prokuratury Okręgowej w Słupsku Patryk Wegner przekazał jeszcze we wtorek, że funkcjonariuszom policji udało się przesłuchać pokrzywdzonych teściów 44-latką. Mężczyzna składał zeznania w Sławnie, hospitalizowana kobieta w Słupsku. Prokurator przyznał, że było to „ciężkie przesłuchanie” dla obojga. Zeznań teściów 44-letniego Piotra K. wynika, iż „nic nie wskazywało na to, że nastąpi awantura, nie mówiąc już o takiej tragedii”.

- Tego wieczora grali w karty, 44-latek wypił śladowe ilości alkoholu. W pewnym momencie wyszedł do kuchni, wrócił z niej i zaatakował ich. Nie było żadnego „stresora”, „zapalnika”, który by wywołał taką jego reakcję. Zaatakował nagle - opowiadał prok. Wegner.

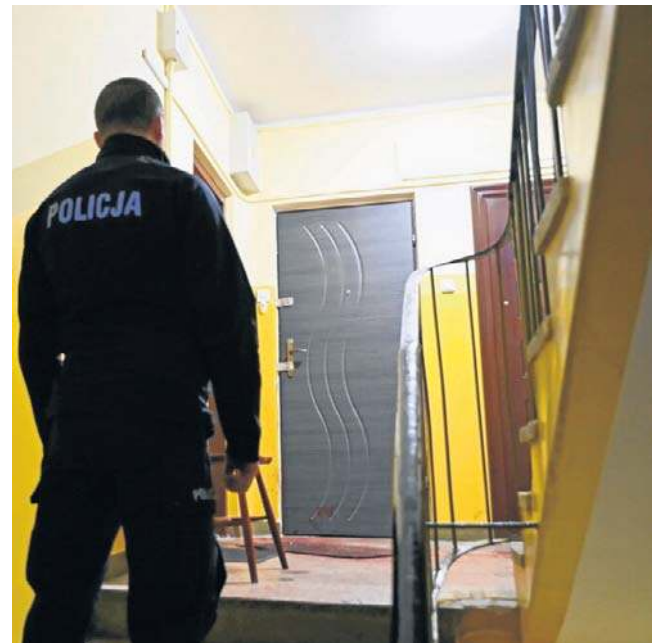
Pytany, czy świadkowie wskazali, kto był celem ataku 44-latką, odpowiedział, że „w odczuciu jednego ze świadków głównym celem była żona mężczyzny”, przy czym „intensywność oddziaływania na innych pokrzywdzonych też była mocna i duża”.

- Ilość zadanych ciosów wskazuje na bardzo silne wzburzenie, nie wiadomo, czym wywołane. Liczba tych ciosów jest niewytłumaczalna. Podobnie jak liczba osób, które sprawca zaatakował i które usiłował zaatakować, bo chłopcu udało się uciec. Tam była próba zadania ciosów w plecy - powiedział prok. Wegner. Dodał, że przesłuchani świadkowie ze względu na traumę, a także dynamiczność zdarzenia nie są w stanie określić chronologiczności kolejnych sekwencji. W ich ocenie „tam nie było wcześniej kłótni, denerwujących, stresujących sytuacji, grali w karty, przestali i taka sytuacja się wydarzyła”.

W środę Piotrowi K. prokurator postawił zarzut zabójstwa córki i usiłowania zabójstwa czworga członków rodziny.

- Podejrzany przyznał się do zarzucanych czynów. Złożył krótkie wyjaśnienia, będą one weryfikowane - poinformował prok. Wegner

I dodał, że 44-latek jest w pełnym kontakcie słowno-logicznym. Jednak ze względu na charakter czynów, o popełnienie których jest podejrzany, mężczyzna zostanie skierowany na badania psychiatryczne. W ocenie prokuratury powołanie w tym celu zespołu specjalistów jest niezbędne.



W poniedziałek około godz. 21.30 mężczyzna nieoczekiwanie zaatakował swoją rodzinę

W środę prokuratura wystąpiła też do Sądu Rejonowego w Słupsku o trzymiesięczny areszt dla podejrzanego.

- Główną przesłanką jest groźba wysokiej kary. Za zbrodnię zabójstwa grozi kara dożywotniego pozbawienia wolności - powiedział szef słupskiej prokuratury okręgowej.

Poinformował, że nie ma jeszcze wyników badań toksykologicznych i na obecność alkoholu w organizmie z pobranej 44-latkowi krwi po jego zatrzymaniu w poniedziałek wieczorem. Są za to wstępne wyniki sekcji zwłok czteroletniej córki podejrzanego.

- Przyczyną zgonu dziecka były rany kłute klatki piersiowej - przekazał.

Stan żony napastnika jest już stabilny. Kobieta we wtorek odzyskała przytomność. Jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Wcześniej jej stan był ciężki - doznała urazów wielonarządowych i ran kłutych. Wciąż przebywa na oddziale intensywnej terapii. Stabilna i przytomna pozostaje także teściowa 44-latką. Ona także nadal wymaga jednak hospitalizacji.

Co wiemy o Piotrze K.? Mężczyzna jest pirotechnikiem w stopniu majora. Jak ustalili dziennikarze tvn24.pl Grzegorz Łakomski i Robert Zieliński, mężczyzna ostatnio nie zajmował się bezpośrednio ochroną VIP-ów. Jego główna odpowiedzialność była obecnie związana z pionem pirotechniki, gdzie nadzorował pracę innych funkcjonariuszy. Wiadomo również, że był na misji w Afganistanie.

Jak przekazało MSWiA, funkcjonariusz służył w formacji od 23 lat.

Reporter Grzegorz Łakomski w rozmowie na antenie TVN24, mówił, że osoby, które znały 44-latką, określały go mianem „oazy spokoju”.

- Nie dostrzegli żadnych niepokojących sygnałów - mówił na antenie TVN24.

Do incydentu w Ustce odniósł się rzecznik prasowy SOP

płk Bogusław Piórkowski, który poinformował, że zostanie wszczęta procedura mająca na celu wydalenie funkcjonariusza ze służby.

- Musimy zgromadzić wszystkie dokumenty z policji i prokuratury, przeanalizować je i wtedy zostanie uruchomiona procedura, a mężczyzna wydany ze służby, najprawdopodobniej dyscyplinarnie - wyjaśnił.

Dodał, że funkcjonariusz miał ważne badania okresowe, na które składają się także badania psychologiczne.

- Gdyby nie miał tych badań, bo na przykład nie zdążyłby ich wykonać lub o nich zapomniał, musiałby zostać zawieszony w służbie. W tym przypadku tak się nie stało, mężczyzna był w służbie czynnej - wytłumaczył Piórkowski, dodając, że do zdarzenia doszło w czasie, kiedy 44-latek wraz z rodziną był na urlopie wypoczynkowym.

- Badania psychologiczne funkcjonariusz przechodził w październiku 2025 roku - poinformował Tomasz Kułakowski z Kancelarii Prezesa Rady Ministrów.

Decyzją ministra spraw wewnętrznych Marcina Kierwińskiego całą sprawą - przebiegiem jego służby, a także jakością badań, które przeszedł mężczyzna, zajmie się w specjalnej kontroli Biuro Nadzoru Wewnętrznego.

Piórkowski ponadto podkreślił, że rodzina zatrzymanego funkcjonariusza otrzyma pomoc psychologiczną. Na takie wsparcie mogą też liczyć pozostali funkcjonariusze SOP.

- Przez komendanta została wszczęta odpowiednia procedura. Mamy tutaj zespół psychologów, który działa, z którego pomocy mogą skorzystać pracownicy naszej formacji, którzy tego potrzebują - powiedział płk Piórkowski.

W sprawie trwają czynności procesowe pod nadzorem prokuratora. PAP

REKLAMA

0011470057

 **Provident**



**Dołącz do
Doradców
Klienta**



600 400 383

koszt połączenia wg taryfy operatora



Stany Zjednoczone zgromadziły w regionie Bliskiego Wschodu wystarczające siły, by przeprowadzić uderzenie na Iran. Do Zatoki Perskiej zbliżyła się grupa uderzeniowa z lotniskowcem na czele, ścignięto myśliwce z baz w Wielkiej Brytanii, a do tego jest jeszcze potencjał amerykańskich baz na Bliskim Wschodzie.

Wielka armada przybyła

O przybyciu na Bliski Wschód grupy uderzeniowej na czele z lotniskowcem USS Abraham Lincoln w poniedziałek 26 stycznia oficjalnie poinformowało Centralne Dowództwo USA. Jaką siłą dysponuje ta eskadra?

Na lotniskowcu może stacjonować do 90 samolotów i helikopterów. Oprócz niego oraz okrętów ochronnych i pomocniczych, w skład grupy wchodzi trzy niszczyciele, uzbrojone między innymi w pociski manewrujące Tomahawk.

Potwierdziły się też doniesienia z mediów społecznościowych o wylocie amerykańskich myśliwców F-15 z bazy Leake Heath w Wielkiej Brytanii 18 stycznia. Następnie samoloty te – pojawiły się nad Kretą we wschodniej części Morza Śródziemnego.

Według danych z otwartych źródeł, Stany Zjednoczone mają w regionie osiem stałych baz wojskowych (największa to baza lotnicza i floty Al-Udeid w Katarze) i kilkanaście tymczasowych. Eksperti szacują, że liczba personelu w tych bazach wynosi 40-50 tysięcy osób.

Uderzenie pod osłoną ćwiczeń

Główny ciężar uderzenia weźmie na siebie grupa lotniskowca z dziesiątkami samolotów i rakiet. Ponadto w ataku mogą wziąć udział strategiczne bombowce, które nie wymagają przenoszenia do regionu: mogą one wystartować ze swoich stałych baz w USA i po zatankowaniu w powietrzu dotrzeć do obszarów wystrzeliwania rakiet.

Centralne Dowództwo USA, którego obszar odpowiedzialności obejmuje rozległy obszar od Afryki Północnej po Azję Południowo-Wschodnią, ogłosiło w poniedziałek o wielodniowych ćwiczeniach lotniczych w całym tym regionie. Kiedy ćwiczenia się rozpoczną i kiedy się zakończą, wojsko nie sprecyzowało.

Czy dojdzie do ataku USA?

W światowej prasie pojawiają się spekulacje, że skoro Amerykanie zebrali już w regionie odpowiednie siły, atak może nastąpić już pod koniec

CZY ARMADA TRUMPA ZAATAKUJE IRAN?

Amerykańska armada jest już na Bliskim Wschodzie. Prezydent Donald Trump rozważa – wraz z czołowymi doradcami Białego Domu – możliwości przeprowadzenia ataku na Iran. Z jaką reakcją musi się liczyć Waszyngton?

Grzegorz Kuczyński



USS Abraham Lincoln przybył w rejon Zatoki Perskiej na początku tygodnia pod pretekstem ćwiczeń

tego tygodnia. Jednak wielu komentatorów, dziennikarzy i polityków, a także obserwatorów wojskowych przyznaje, że nie da się przewidzieć, czy dojdzie do ataku, czy nie. Wszystko zależy od decyzji prezydenta USA, a on jest mało przewidywalny.

W poniedziałek, tego samego dnia, kiedy ogłoszono przybycie grupy lotniskowców, prezydent USA Donald Trump powiedział portalowi Axios, że teraz „w pobliżu Iranu znajduje się wielka armada”, ale Teheran jest gotowy do porozumienia. - Chcą zawrzeć umowę. Wiem to. Dzwonili wiele razy - powiedział Trump.

W ostatnich dniach irańscy urzędnicy wielokrotnie oświadczyli, że jeśli Stany Zjednoczone zdecydują się na atak, Iran jest gotowy do odpowiedzi.

Obserwatorzy wojskowi są przekonani, że głównymi celami tej odpowiedzi mogą stać się Izrael i amerykańskie bazy

w pobliżu granic Iranu: w Katarze, Iraku, Kuwejcie, Bahrajnie, Omanie, Arabii Saudyjskiej i innych krajach regionu.

Trump wielokrotnie groził na początku tego miesiąca, że uderzy na rząd Iranu za brutalne stłumienie masowych protestów antyrządowych. Prezydent wydaje się być niezdecydowany, czy zezwolić na ataki. - Być może nie będziemy musieli z nich korzystać, ale zobaczymy - powiedział o grupie uderzeniowej lotniskowca USS Abraham Lincoln.

Admirał Brad Cooper z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, najwyższy dowódca Pentagonu w regionie, spotkał się w poprzedni weekend z wysokimi rangą izraelskimi wojskowymi, w tym z szefem sztabu Sił Obronnych Izraela, generałem dywizji Eyałem Zamirem.

- Trump mówi za dużo, ale zapewniamy go, że spotka się z odpowiedzią na polu bitwy -

powiedział w piątek w wywiadzie dla państwowej telewizji dowódca Sił Powietrznych Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC) generał brygady Majid Mousavi. Irańscy urzędnicy grożą, że w przypadku ataku na Iran uderzą na amerykańskie bazy na sąsiednim Półwyspie Arabskim. Czy to jedyna opcja odwetu irańskiego na możliwe uderzenie USA?

Cieśnina Ormuz

Prawdopodobna reakcja Islamskiej Republiki na atak USA nie będzie przypominała konwencjonalnej wojny między państwami. Strategia Teheranu od dawna opiera się na asymetrii, zaprzeczaniu i stopniowej eskalacji, czyli modelu mającym na celu podwyższenie kosztów dla przeciwników, przy jednoczesnym uniknięciu decydującej konfrontacji, której Iran może nie być w stanie całkowicie wygrać.

Jednym z najczęściej wymienianych źródeł przewagi Iranu jest Cieśnina Ormuz, wąska droga wodna, przez którą przepływa znaczna część światowych dostaw ropy naftowej. Chociaż Iran prawdopodobnie nie podejmie próby całkowitego i trwałego zamknięcia cieśniny, co prawie na pewno wywołałoby zdecydowaną reakcję międzynarodową, zachowuje on możliwość sporadycznego zakłócania żeglugi. Miny morskie, szybkie łodzie bojowe, drony i ataki rakietowe mogą spowodować wzrost kosztów ubezpieczenia, wywołać niepokój na rynkach i zaszykalizować zdolność Iranu do zagrożenia globalnym przepływem energii bez nieodwracalnego przekroczenia czerwonej linii.

Takie działania byłyby raczej wyważone niż maksymalistyczne. Teheran rozumie, że całkowite zablokowanie cieśniny Ormuz spowodowałoby zrażenie nie tylko mocarstw zachodnich, ale także Chin i innych państw, na których opiera się dyplomatycznie i gospodarczo. Zakłócenie, a nie zamknięcie, pozostaje bardziej prawdopodobnym narzędziem, jakim dysponuje Teheran.

Oś oporu

Oprócz presji morskiej Iran prawie na pewno będzie dążył do aktywizacji swojej regionalnej sieci sprzymierzonych grup zbrojnych. Chociaż ci sojusznicy zostali osłabieni przez niepowodzenia wynikające z wojny między Izraelem a Hamasem, nadal zapewniają Teheranowi pewną strategiczną głębię i elastyczność, umożliwiając ataki na interesy USA i sojuszników, przy jednoczesnym zachowaniu pewnego stopnia wiarygodnego zaprzeczenia.

Milicje szyickie w Iraku należą do najbardziej prawdopodobnych uczestników odwetowej operacji. Sekretarz generalny wspieranej przez Iran irackiej milicji Kataib Hezbollah, Abu Hussein al Hamidawi, oświadczył, że oś oporu będzie wspierać Iran przeciwko Izraelowi i Stanom Zjednoczonym. Wezwał bojowników Kataib Hezbollah do „przygotowania się”. Ataki na bazy amerykańskie w regionie wiążą się z mniejszym ryzykiem eskalacji niż ataki na Izrael lub państwa Zatoki Perskiej, a grupy te wykazały już wcześniej gotowość do atakowania personelu amerykańskiego za pomocą rakiet i dronów w okresach wzmożonego napięcia.

W dalszej perspektywie ruch Huti w Jemenie mógłby również wnieść swój wkład, atakując transport morski lub infrastrukturę regionalną, zwiększając presję na kluczowych szlakach handlowych. Huti opublikowali 25 stycznia film przedstawiający ich atak z stycznia 2024 r. na brytyjski

tankowiec z podpisem „wkrótce”.

Strażnicy rewolucji

W centrum każdej irańskiej odpowiedzi znalazłby się sam IRGC (Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej) - nie tylko jako siła zbrojna, ale jako ideologiczny i gospodarczy filar Islamskiej Republiki.

Iran posiada zarówno regularną armię, jak i Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej (IRGC). Regularna armia, znana jako Artesh, ma za zadanie bronić integralności terytorialnej Iranu i utrzymywać porządek. Działa pod zwierzchnictwem najwyższego przywódcy i jest dowodzona przez generała dywizji Abdolrahima Mousawiego. Tymczasem IRGC, założony w 1979 r. w celu ochrony islamskiej rewolucji, stał się jedną z najpotężniejszych instytucji w kraju. Dowodzony przez generała dywizji Mohammada Pakpoura, Korpus podlega bezpośrednio najwyższemu przywódcy i całkowicie pomija prezydenta.

Szacuje się, że aktywny personel IRGC liczy około 120 000 osób, a dziesiątki tysięcy osób stanowią rezerwy powiązane. Poprzez swoje zewnętrzne ramie, Siły Quds, dowodzone przez Esmaila Qaaniego, IRGC wspiera grupy proxy, w tym Hezbollah w Libanie i Huti w Jemenie, oraz stanowi podstawę tego, co Islamska Republika nazywa „osią oporu”, luźną siecią podmiotów państwowych i niepaństwowych sprzymierzonych z Iranem, walczących z wpływami Stanów Zjednoczonych i Izraela w regionie.

Wpływy IRGC rozciągają się na bezpieczeństwo wewnętrzne Iranu poprzez Basidż, paramilitarne siły ochotnicze, które w 2007 r. zostały podporządkowane bezpośrednio IRGC. Pierwotnie utworzone po rewolucji w 1979 r. w celu egzekwowania norm społecznych i religijnych, Basidż służy obecnie jako siły szybkiego reagowania dla rządu, zajmujące się monitorowaniem i tłumieniem protestów oraz nadzorowaniem zachowań publicznych, w tym przestrzeganiem obowiązkowych przepisów dotyczących noszenia hidżabu. Szacuje się, że to „irańskie ORMO” liczy od 90 000 do 12 milionów członków, ale liczba aktywnych członków prawdopodobnie bliższa jest temu niższemu pułapowi.

Atak zewnętrzny niemal na pewno wzmocniłby pozycję IRGC w kraju. Instytucje cywilne i frakcje technokratyczne zostałyby jeszcze bardziej odsunięte na bok, a narracja o obronie narodowej została wykorzystana do uzasadnienia zaostrzenia kontroli wewnętrznej. Historycznie rzecz biorąc, IRGC reagowało na presję zewnętrzną spójnością, a nie fragmentacją.

PRZEWORSK CZY WROCŁAW? WIELKA AWANTURA O OBRAZ

Ten obraz wygląda zjawiskowo. A i zjawiskowa jest jego historia. „Madonna z Dzieciątkiem” to dzieło, które zostało zrabowane przez Niemców w czasie II wojny światowej. Wrócił do Polski z Japonii w 2023 r.

Robert Migdał



FOT. PRZEMYSŁAW ŚLIWIŃSKI/INSTYTUT POLSKI W TOKIO

– Do połowy roku ma się wyjaśnić, czy cenny obraz „Madonna z Dzieciątkiem” pozostanie na stałe w muzeum w Przeworsku. Ministerstwo kultury jest „za”, musi tylko przeprowadzić analizy prawne zawartych umów – poinformował „Nowiny” poseł Bartosz Romowicz (Polska 2050). Na zdjęciu obraz w Instytucie Polskim w Tokio

Dzieło pojawiło się na chwilę w Nowym Jorku, by znów zapaść się pod ziemię, a kilka lat temu zostało wystawione na sprzedaż na aukcji w... Japonii. Na szczęście obraz udało się odzyskać i powrócić do Polski. Koniec historii? Zakończenie z happy endem? A gdzie tam! Tu się dopiero zaczyna prawdziwa akcja... Będzie walka o obraz? „Madonna z Dzieciątkiem” zostanie w Przeworsku czy przeprowadzi się do Wrocławia?

Autorstwo obrazu przypisywane jest włoskiemu artyście Alessandro Turchiemu (1578-1649). Jego powstanie datowane jest na koniec XVI lub początek XVII wieku.

Rok 1940. Obraz zostaje zagrabiony przez Niemców i wywieziony z Przeworska na Podkarpaciu. Ślad po nim ginie.

Koniec lat 90. XX wieku. Dzieło pojawia się na aukcji w Nowym Jorku.

I w końcu rok 2022, Tokio. „Madonna z Dzieciątkiem” znów jest wystawiona na sprzedaż przez japoński dom aukcyjny Mainichi Auction Inc. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego reaguje i walczy o odzyskanie dzieła.

Natychmiast nawiązaliśmy kontakt, jednak ze względu na okres pandemii był on utrudniony. Barierą okazała się też kwestia kulturowa i historyczna. Wszystko udało się jednak doprowadzić do szczęśliwego zakończenia - mówił w lipcu 2023 roku ówczesny minister kultury prof. Piotr Gliński.

Dom aukcyjny Mainichi Auction Inc. - po zapoznaniu się z historią dzieła i jego losami - w porozumieniu z posiadaczem obrazu „Madonna z Dzieciątkiem” zdecydował się zwrócić dzieło do Polski bez żadnych kosztów. Obraz został przekazany nad Wisłę.

Ministerstwo zdecydowało wtedy, że „Madonna z Dzieciątkiem” trafi - co trzeba podkreślić, na stałe - do powstającego we Wrocławiu Muzeum Książąt Lubomirskich (tę inwestycję realizuje Zakład Narodowy im. Ossolińskich, spadkobierca - na mocy specjalnego porozumienia - za bytków należących wcześniej do Ossolineum.

Tymczasowo obraz trafił do muzeum w Przeworsku. Przypadek? Niekoniecznie, wszak tamtejsze muzeum mie-

ści się w pałacu należącym kiedyś do rodu Lubomirskich - tych samych, dzięki którym Ossolineum we Lwowie wzbogaciło się o bezcenne dzieła sztuki (przeniesione po II wojnie światowej na Ziemię Odzyskaną do Wrocławia).

W określeniach: „tymczasowo”, „na chwilę”, „w określonym czasie”, „do 2027” - mieszkańcy Podkarpacia widzą problem. I to duży.

Akcja „Nowin”

„Nowiny” z Grupy Polska Press z Podkarpacia rozpoczęły akcję na rzecz pozostawienia obrazu w muzeum w Przeworsku. „Wierzmy, że dzięki poparciu mieszkańców wspólnie zrealizujemy ten cel” - pisze redakcja. „Madonna z Dzieciątkiem” jest jednym z najcenniejszych dzieł sztuki znajdujących się w polskich zbiorach. Na razie dzieło wystawiane jest w muzeum w Przeworsku i owo »na razie« budzi poważne obawy o jego przyszłość” - podsumowuje Piotr Samolewicz, dziennikarz „Nowin”, w artykule „Madonna z Dzieciątkiem» powinna zostać na Podkarpaciu”.

Dyrektor tegoż muzeum, Łukasz Mróz, w przesłanym do „Nowin” oświadczeniu napisał, że od początku zabiegał, aby obraz był używany do muzeum w Przeworsku na podstawie obowiązujących umów depozytowych i użyczenia długoterminowego. Obraz od 2 sierpnia 2023 roku eksponowany jest w Salonie Różowym Pałacu Lubomirskich (siedzibie mu-

zeum) i pozostanie tam co najmniej do dnia 30 lipca 2027 roku. Dzieło jest dostępne dla zwiedzających w ramach stałej ekspozycji muzealnej”. I dodaje: „Pozostawienie obrazu w Przeworsku znajduje uzasadnienie w jego ścisłym związku historycznym z Pałacem Lubomirskich oraz dziedzictwem Ordynacji Przeworskiej. Obraz znajduje się w dobrym stanie zachowania i jest eksponowany oraz zabezpieczony zgodnie z obowiązującymi standardami. Umowa użyczenia długoterminowego nie przesądza o przyszłym, stałym miejscu ekspozycji dzieła po jej zakończeniu, a ewentualne dalsze decyzje w tym zakresie pozostają w gestii właściciela i właściwych organów administracji publicznej”.

Sejmik podkarpacki: obraz musi być u nas

19 stycznia 2026 roku muzeum zwróciło się z wnioskiem do starosty powiatu przeworskiego o kontynuowanie „działań i rozmów z właściwymi organami do stworzenia warunków do dalszej prezentacji obrazu w muzeum w Przeworsku”.

Dodatkowo w ostatni poniedziałek - 26 stycznia - sejmik podkarpacki zdecydował, że „Madonna z Dzieciątkiem” powinna być na stałe - a nie tylko tymczasowo - pokazywana w Przeworsku.

Umowa użyczenia tego obrazu podkarpackiemu muzeum jest zawarta do końca lipca 2027 roku. Po tym czasie minister

może podjąć decyzję o przejściu na własność obrazu przez Muzeum Książąt Lubomirskich, będącego integralną częścią Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu. Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu podlega ministrowi kultury i dziedzictwa narodowego i jest spadkobiercą lwowskiego Ossolineum, założonego także przez książąt Lubomirskich z Przeworska. Z rejestrów wynika, że ten obraz widnieje jako własność Muzeum Ossolińskich. Natomiast regułą muzealną jest to, aby obraz był tam eksponowany, skąd został zabrany. I obraz ten może wrócić do Przeworska. Komisja edukacji, kultury i kultury fizycznej wnosi, aby sejmik zaapelował do ministra o pozostawienie tego obrazu jako stałego depozytu w Muzeum Zespołu Pałacowo-Parkowego w Przeworsku - tłumaczyła „Nowinom” Ewa Draus, przewodnicząca komisji edukacji, kultury i kultury fizycznej podkarpackiego sejmiku.

Czy obraz - gdyby został na stałe w obecnym miejscu - będzie odpowiednio zabezpieczony?

Starosta powiatu przeworskiego Dariusz Łapa mówi „Nowinom”, że obraz jest bezpieczny, ale żeby był jeszcze bezpieczniejszy, powiat zapewni dodatkowe pieniądze na ten cel. - Jeśli będą potrzebne dodatkowe środki na zabezpieczenie obrazu przed kradzieżą i przed pożarem całego obiektu, to my je znajdziemy, tak by dzieło było bezpieczne - mówi starosta.

Co na to Ossolineum?

„Decyzja o przekazaniu cennego depozytu należy jednak wyłącznie do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego” - informuje Ossolineum. I czeka na rozwój wypadków. Będzie wojna między Wrocławiem a Przeworskiem? O obraz? Zobaczmy, co w tej sprawie postanowi ministerstwo i jaka jest determinacja tamtejszych mieszkańców.

DZIEŁO BYŁO WYKONANE DLA NAS!

Oto stanowisko dykcji Zakładu Narodowego im. Ossolińskich przesłane do „Gazety Wrocławskiej”: „Obraz „Madonna z Dzieciątkiem”, polska strata wojenna, zrabowany z Przeworska przez Niemców i odzyskany w 2023 r., trafił do Muzeum Książąt Lubomirskich - Oddziału Zakładu Narodowego im. Ossolińskich decyzją Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego jako depozyt Skarbu Państwa. Dzieło było prezentowane we Wrocławiu w 2024 r., w ramach wystawy jubileuszowej „Historia nuka/oczywista. 200 lat Muzeum Książąt Lubomirskich”, po której zakończeniu trafiło do Muzeum w Przeworsku, gdzie ma być wystawiane do czasu otwarcia wystawy stałej w Muzeum Książąt Lubomirskich. Obraz wpisany jest w jej scenariusz jako kontekst trudnej historii odzyskiwania polskich strat wojennych.

Zakład Narodowy im. Ossolińskich od lat współpracuje z Muzeum w Przeworsku, którego dyrektor, Łukasz Mróz, był - obok dyrektora Ossolineum - obecny podczas uroczystego przekazania obrazu na Zamku Królewskim w Warszawie 7 lipca 2023 r. Obie instytucje współdziałają na wielu polach, dążąc do upamiętnienia roli ordynatów przeworskich jako kuratorów literackich lwowskiego Ossolineum. Dykcja Ossolineum z uwagą śledzi dyskusję na temat obrazu „Madonna z Dzieciątkiem”, jaka toczy się w podkarpackich mediach. Ossolineum stoi na stanowisku, że wszelkie decyzje w tej sprawie powinny być podejmowane na podstawie argumentów merytorycznych. Za pozostawieniem obrazu „Madonna z Dzieciątkiem” w zbiorach Ossolineum przemawia np. fakt, że zapisy w dziewiętnastowiecznych dokumentach mogą wskazywać, że dzieło było przeznaczone do lwowskiego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich. Decyzja o przekazaniu cennego depozytu należy jednak wyłącznie do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego”.



FOT. MINISTERSTWO KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

W 2022 roku, po ponad 80 latach od wywiezienia z Polski, obraz odnaleziono na aukcji w Tokio przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PULS
#201



Na psa los...

Arlena Sokalska

JAK ZOSTAĆ KRÓLEM WSZECHŚWIATA



Do Rady Pokoju wymyślonej przez Donalda Trumpa przyłączyło się już kilkanaście państw, Biały Dom ujawnił aktualną listę – od Albanii i Arabii Saudyjskiej po Węgry, Wietnam i Zjednoczone Emiraty Arabskie. Nie, Belgii na tej liście już nie ma. I nigdy nie było, po prostu Biały Dom pomylił Belgię z Białorusią, która przystała do rady. Oj tam, oj tam, Belgia czy Białoruś, kto w Ameryce przejmowałby się takimi drobiazgami.

Nie wiadomo, kto z wielce szanownych członków Rady Pokoju zapłacił ten miliard dolarów, który ma gwarantować stałe członkostwo w tym ciele, a kto tylko się zapisał. Zapewne, jak już się ktoś zapisze, może spodziewać się nacisków, by jednak zapłacił. Bo bez tego cała idea rady się rozpada, bo za coś trzeba przecież funkcjonować.

A czym ma być Rada Pokoju? Zastąpić skostniały i właściwie działający bez ładu i składu ONZ, który nie jest w stanie działać ani przyjmować nawet żadnych rezolucji, bo przecież Rosja wszystko blokuje. Jak twierdzą złośliwi, Rada Pokoju ma uczynić z Donalda Trumpa króla wszechświata, po tym, jak już przestanie być prezydentem. Stanami Zjednoczonymi miałyby kierować nowy prezydent – według pomysłu Trumpa – oczywiście republikanin. A kto kierowałby nowym prezydentem? Tak, zgadliście – szef Rady Pokoju, czyli Donald Trump.

Inni twierdzą, że poprzez działania agentów ICE, którzy zabijają Amerykanów, Trump zamierza doprowadzić Stany Zjednoczone do wrzenia, a może nawet do czegoś w rodzaju wojny domowej. O to nietrudno, wszak bronni tam mają dostatek. A to z kolei doprowadziłoby do wprowadzenia stanu wyjątkowego, kiedy to można nie organizować wyborów. I kto rządziłby dalej? Oczywiście Donald Trump, na dodatek mający za sobą całą Radę Pokoju. Scenariusze fantastyczne? Zdecydowanie, ale to, co dzieje się w ostatnich latach sprawia, że z uwagą należy rozpatrywać nawet takie political fiction.

Ale większą obawę budzi sztuczna inteligencja w służbie polityki. Nie tak dawno grupa naukowców połączonych sił z Berkeley, Harvardu, Oksfordu, Cambridge i Yale (na czele grupy stoi laureatka Pokojowej Nagrody Nobla i aktywistka na rzecz wolności słowa Maria Ressa) ostrzegła, że roje agentów AI (sztucznej inteligencji) naśladujących ludzi, mogą zmienić opinię publiczną w sposób zagrażający demokracji. Artykuł opublikowany w prestiżowym „Science” pokazuje przykłady, jak to działa. Roje botów zalewają media społecznościowe tonami nieprawdziwych treści, biorą udział w dyskusjach, a nawet cytują nieprawdziwe artykuły. - To po prostu przerażające, jak łatwo jest stworzyć kod i mieć małą armię botów, które potrafią poruszać się po platformach społecznościowych i korzystać z poczty elektronicznej oraz używać tych narzędzi – mówi Daniel Thilo Schroeder, naukowiec z instytutu badawczego Sintef w Oslo, który symulował roje w warunkach laboratoryjnych.

Bajka dla grzecznych dzieci? A gdzie, tam! To nasza codzienność. Niedawno agencja badawcza Smartscope, na zlecenie stowarzyszenia Praktyków Transformacji Cyfrowej Praktycy.eu przeprowadziła badania, z których wynika, że aż 45 procent respondentów przyznaje, że widzi nieprawdziwe treści w serwisach, takich jak Facebook, Instagram czy TikTok, z czego co piąty – stale. Ale większość badanych przyznaje, że bardzo często nie jest w stanie odróżnić fałszu od prawdy.

W tej sytuacji wizja jakiejś Rady Pokoju i jakiegoś „króla wszechświata” jest znacznie mniej niepokojąca, niż wizja wyborów np. w jakimś kraju średniej wielkości w centrum Europy, przed którymi roje botów zewnętrznych (Rosja) i wewnętrznych prowadziłyby kampanie oparte na kłamstwie i dezinformacji.

Adam Bula

GORĄCZKA ZŁOTA ZMIATA PORZĄDEK ŚWIATA



Nadchodzi moment, gdy świat zmusi nas, byśmy się przestali zajmować dupelami w stylu kłótni pogrobowców Hołowni albo kwestii, kto pójdzie, a kto nie do prezydenta. Trwa największa w historii gorączka złota, która na naszych oczach zmienia światowy porządek. Na naszych oczach, choć uparcie na to nie patrzymy.

Złoto drożeje od kilkunastu miesięcy, w styczniu robiąc już pionową kreskę na wykresach. Nie ma sensu podawać jego aktualnej ceny, bo z dnia na dzień rośnie ona o kilka procent. To są szalone liczby i szalone rzeczy dzieją się w świecie finansów – a ten zawsze wyprzedza to, co zobaczymy w realnej gospodarce. I wtedy na pewno tego nie przeoczymy.

Technicznie to, że za uncję złota płacimy ponad 5500 dolarów, a dwa lata temu kosztowała ona 2 tys., tłumaczy się tym, że banki centralne pozbywają się obligacji, zwłaszcza amerykańskich i lokują je w kruszcu (bo srebro odpaliło podobnie, drożając w rok z ok. 30 dolarów za uncję do poziomu 117 dolarów). Z amerykańskich obligacji odpłynęło już pół biliona dolarów wycofywanych tylko przez inne kraje – i to ta kasa poszła w złoto i srebro. A to było jeszcze, zanim Trump wywołał awanturę o Grenlandię, na co kraje Europy zagroziły, że wyjdą z amerykańskich obligacji „po całości”. Bo Ameryka, której gigantyczne zadłużenie (35 bilionów dolarów) finansowane jest przez resztę świata, dokłada od roku przeciwko sporu, żeby ich papiery przestały być uważane za bezpieczną lokatę. Więc równoległe z drożącym złotem widzimy osłabienie dolara do wszystkich innych walut, zwłaszcza do euro. Ale i w Polsce za 1 \$ już tylko 3,5 PLN.

Takie rzeczy działy się na światowych rynkach od zawsze, ale niemal nigdy w tak gigantycznej skali, która może oznaczać realną zmianę paradygmatu. Mówiąc po ludzku: musimy przypomnieć sobie, co to jest pieniądź fiducjarny i zrozumieć, że właśnie nie bardzo wiadomo, co z nim będzie dalej.

No dobra, nie będę udawał mądrzejszego, mając wujka Googla pod palcem; pieniądź fiducjarny to środek płatniczy, nieposiadający pokrycia w do-

brach materialnych (np. złoto). Era pieniądza mającego jakiegokolwiek pokrycie w czymkolwiek namacalnym skończyła się w 1971 r., gdy Nixon uwolnił dolara z parytetu złota (pokrycia przynajmniej części jego wartości w realnie posiadanych sztabkach). Dzisiaj 100 złotych to paperek trochę ładniejszy od opakowania batonów, którego wartość opiera się na umowie, że on jest wart 100 zł. Dolar ma tak samo. I dopóki wierzymy prezesowi naszego banku centralnego, że on też będzie uważał jutro, że ten paperek jest wart 100 złotych, to system się kręci.

Wiele wskazuje na to, że świat przestaje wierzyć Amerykanom, że ich 100 dolarów będzie za chwilę dalej warte 100 dolarów, więc się go pozbywa. I dlatego dziś 100 dolarów jest warte o 13% mniej niż rok temu (o tyle dolar potaniał wobec innych głównych walut). Co... tym bardziej zachęca wszystkich do jego sprzedaży, co... osłabia dolara jeszcze bardziej, jeszcze bardziej nakręcając popyt na realny kruszec. Tylko że skala tego zjawiska właśnie przebija sufit.

Na razie Donald Trump oficjalnie ze słabego dolara się cieszy, bo na krótką metę mu to pasuje. Zwłaszcza na amerykańskiej giełdzie, która w jego propagandzie jest głównym odniesieniem, czy coś idzie dobrze czy źle. A główny indeks S&P500 (500 największych firm notowanych na giełdzie USA) pobija rekordy, pokonując barierę 7 tys. punktów. Tyle że jeśli nałożyć na to zmianę wartości dolara, to indeks będzie... tysiąc punktów niżej. No ale tego nie usłyszysz ichniejszy Kowalski.

Aha, a jeszcze nie dodaliśmy najważniejszego. Świat opiera się na kolorowych papierkach, co do których umawiamy się, ile są warte. Ale to było dawno. Bankierzy wymyślili, że na każdy taki paperek, który mają w skarbcu, mogą w księgach dodać sobie 30 papierków, których nie mają, ale które nam pożyczą na procent. Dziś sumę tych „pieniędzy”, które są tylko dłużnym zapisem i nie mają pokrycia nawet w papierze, szacuje się na 500 bilionów dolarów.

Chodzi o to, że wielki kryzys z 2008 r. zaczął się od malutkiego wycinka tego wirtualnego szaleństwa. Amerykańskie banki produkowały papiery „wartościowe”, mające mieć pokrycie w wartości amerykańskich nieruchomości, tylko tyle ich nie produkowały, że to pokrycie całkowicie zniknęło (polecam genialny film „Big short”).

Dzisiaj wiele wskazuje na to, że nadchodzi kolejny wielki reset, tym razem dotyczący całego systemu światowych finansów. W każdym razie wszyscy, którzy wiedzą więcej, jak szaleni kupują złoto.

Sytuacja jest - nie tylko wokół Polski, ale w wymiarze globalnym - bardzo dynamiczna i ta niepewność strategiczna, która towarzyszy nam od wielu, wielu miesięcy, wywołana wojną w Ukrainie, (...) także innymi dramatycznymi zdarzeniami, wymaga bardzo poważnej geopolitycznej refleksji i bardzo adekwatnego myślenia o polskiej dyplomacji

FOTOkomentarz tygodnia



MINNEAPOLIS, 28 STYCZNIA

Legendarny muzyk Bruce Springsteen opublikował piosenkę, którą napisał na znak protestu przeciwko operacji służb imigracyjnych w Minneapolis, pod tytułem „Streets of Minneapolis”. 76-letni artysta śpiewa o „prywatnej armii króla Trumpa” i kłamstwach władz. „Wypuszczam ją dla was dzisiaj w odpowiedzi na państwowy terror, który dotknął miasta Minneapolis” - napisał. W sobotę z rąk agentów federalnych zginął w Minneapolis 37-letni pielęgniarz Alex Pretti. Wcześniej w styczniu zabita została przez agenta służb migracyjnych (ICE) Amerykanka Renee Good

FOT. PAPIEPA.



AUSTRALIA, 28 STYCZNIA **Australian Open już bez Igi Świątek. Polka przegrała z Jeleną Rybakiną. Nasza tenisistka była wyraźnie sfrustrowana porażką. Na konferencji prasowej narzekała, że podczas turnieju, podobnie jak inne zawodniczki, nie ma praktycznie żadnej prywatności**

FOT. HU JINGCHEN/XINHUA NEWS/EAST NEWS



MALTA, CIRKEWWA, 28 STYCZNIA **Ratownicy znaleźli w środę ciało 13-letniej Polki, porwanej przez morze, gdy była na spacerze z ojcem i bratem. Ojciec uratował syna, córki nie zdołał wyciągnąć**

FOT. CIVILPROTECTIONMALTA



SYCYLIA, NISCEMI 26 STYCZNIA **Cyklon Harry, który pustoszył Sycylię i Kalabrię, miał poważne skutki. W Niscemi osunęła się skarpa. Mieszkańcy zostali ewakuowani, bo budynki mogą runąć**

FOT. PAPIEPA.

Najpierw był Bytom, potem Sobolew, teraz Ostrowite (gmina Golub-Dobrzyń). Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt w Bytomiu sprawuje opiekę nad stu pięćdziesięcioma psami i setką kotów. Jest prywatne, wcześniej przez lata działało jako placówka publiczna.

Kilka dni temu pod schroniskiem pojawiła się Dorota Rabczewska, wcześniej do Bytomia zjechała celebrytka Laluna, znana chociażby z programu „Królowe życia”. Wtedy sytuacja wymknęła się spod kontroli. Wolontariusze chcieli wtargnąć do placówki siłą i zabrać zwierzęta. Wezwano policję.

Doda też podgrzewała atmosferę. - Moi fani to również mieszkańcy Bytomia. Zawsze pomagam swoim fanom, bo oni też mi pomagają. Zwierzęta są dla mnie numer jeden. Pani Ania, która jest kierowniczką, nie ma ani pół emocji na twarzy - mówiła.

Dalej było o tym, że mieszkańcy miasta muszą zareagować, że taka osoba nie może prowadzić schroniska. - To powinno być miejsce, w którym zwierzęta nie wegetują, nie cierpią, nie są narzędziem do interesów, tylko gdzie mogą znaleźć ukojenie i adopcję. A ja wysyłam ciuchy tydzień temu, a ona ich jeszcze nie ubrała. Teraz na szybko je ubiera - tłumaczyła Rabczewska.

Wcześniej spotkała się z prezydentem Mariuszem Wołoszem oraz wspomnianą już wcześniej kierowniczką schroniska. Wołosz zapewnił, że umowa z operatorem została rozwiązana 15 stycznia, że teraz najważniejsze jest to, aby zaopiekować się zwierzętami.

W międzyczasie Doda pokazywała na zdjęciach psiaki: zaniedbane, chude, pokaleczone. Miały pochodzić z bytomskiego schroniska.

- Proszę się rzec stanowiska. Jesteś okropna, w piekle spłoniesz. Mi się chce płakać - mówiła piosenkarka w kierunku kierowniczkę schroniska.

Ta zdecydowanie odpięła zarzuty. Podkreślała, że takich psów nigdy u niej nie było.

- Mam na wszystko dokumenty. Spotkamy się w sądzie - rzuciła w stronę Dody.

I dodała, że od kontroli i wydawania ocen są odpowiednie instytucje.

Ale według raportu, który przygotowało dwoje bytomskich radnych - Beata Adamczyk-Nowak z Koalicji Obywatelskiej i Maciej Bartków z Prawa i Sprawiedliwości - w bytomskim schronisku dochodziło do nieprawidłowości.

- Pojawiły się informacje o eutanazji zwierząt w celach zarobkowych, przemocy i zaniedbaniach w opiece. Zwierzętazymane były we własnych odchodach - twierdzi Maciej Bartków. Z notatki, którą pod koniec grudnia podczas wizyty w schro-

PRAWDZIWIY HORROR? A MOŻE SMUTNA SCHRONISKOWA RZECZYWISTOŚĆ?

Schroniska dla zwierząt to miejsca, w którym jedni zostawiają serce i czas. Dbają, doglądają i tak po ludzki przytulają. Dla innych to sposób na zarabianie pieniędzy. Umożliwia im to system, bo ten preferuje oszczędzanie, a na zwierzętach oszczędzać się nie da. Trzeba im zapewnić kojce, jedzenie, pomoc weterynaryjną, po prostu - godne życie

Dorota Kowalska

nisku sporządzili pracownicy Wydziału Inżynierii Środowiska Urzędu Miejskiego w Bytomiu, wynika, że zaobserwowali przypadki biegunki u psów w wielu kojcach, skrajnie niezadawalający stan sanitarny kwarantanny, rażący brak czystości w szczelnikarni, widoczne urazy u zwierząt.

Ale Powiatowy Inspektorat Weterynarii w Katowicach poinformował, że przeprowadzane w ostatnich latach kontrole wykazywały jedynie uchybienia infrastrukturalne.

„Warunki bytowania zwierząt są zgodne z obowiązującym prawem. To nie ulega żadnej wątpliwości. Niezgodne z naszymi ustaleniami są stwierdzenia, które pojawiają się w mediach społecznościowych, że była to mordownia, że dochodziło do znęcania się nad zwierzętami, że psy stamtąd znikają itd. Liczne kontrole nigdy tego nie wykazały” - podkreślił Powiatowy Inspektorat Weterynarii w Katowicach.

Właściciel z zarzutami

Kilka dni później przyszedł czas na Sobolew. W sobotę, 26 stycznia, o zamknięciu Schroniska dla Zwierząt „Happy Dog” poinformowali premier Donald Tusk i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji. Powód? Nieusunięcie uchybień przez właściciela placówki. W azylu przebywało wówczas około sto osiemdziesiąt psów i kilka kotów.

Grunt, na którym znajduje się schronisko, należy do gminy. Dzierżawca, czyli prowadzący placówkę Marian D., został jakiś czas temu oskarżony o znęcanie



się nad zwierzętami. Proces trwa wiele lat i wciąż się nie zakończył. Mężczyźniemu zarzuca się m.in. stosowanie przemocy wobec zwierząt, trzymanie ich w za ciasnych kojcach oraz niedokarmianie.

Mieszkańcy i aktywiści od dawna apelowali do wójta Sobolewa Macieja Błachnio o rozwiązanie umowy z Marianem D. Bezskutecznie.

W sobotę sforsowali płot i zaczęli spontanicznie zabierać psy. Część z nich trafiła do prywatnych domów. W sieci pojawiły się pytania, dlaczego zwierzęta były wydawane bez żadnych procedur. Niektórzy obawiali się, że trafiły w ręce osób, które nie będą umiały poradzić sobie z czworonogami.

I tu do akcji wkroczył poseł Łukasz Litewka, od początku zaangażowany w to, co działo się wokół schroniska w Sobolewie.

„Nikt nie był w stanie zapanować nad tłumem, ale to tłum ludzi, którzy kochają zwierzęta. One przeszły piekło, nigdzie nie będzie im gorzej. Weszliśmy do obozu i zobaczyliśmy maszynkę do mielenia mięsa, pałki do bicia zwierząt, na których była krew. Guzy, rany, ropy. Ludzie wchodziłi do klatek, przytulali psy, błagali o smycz - wynosili je, bo nie wyobrażali sobie, by te zwierzęta zostały tam jeszcze nawet jedną noc” - napisał na platformie X. „Nie wińcie ich, wińcie tych, którzy przez lata nie otworzyli drzwi schroniska. Bo to miejsce nigdy schroniskiem nie było, było mordownią” - dodał, publikując przy okazji zdjęcie jednej z kobiet, która błagała go o smycz, by móc wyprowadzić z klatki przerażonego psa.

Jak poinformował potem wojewoda mazowiecki Mariusz Frankowski, sto czterdzieści sześć psów, które zostały, przekazano do schroniska w Wojtyszkach prowadzonego przez Instytut Ochrony Zwierząt.

A miejsc, które budzą wątpliwości, przybywa. Bo podobne sceny miały miejsce w ostatni weekend w prywatnym schronisku Zielone Pole w Ostrowitem (gmina Golub-Dobrzyń). W wyniku kontroli zleconych przez MSWiA stwierdzono tu uchybienia. Obiekt znalazł się pod szczególnym nadzorem wojewody, na miejsce przyjechali wolontariusze oraz celebryci, w tym Doda.

Na reakcję polityków nie trzeba było długo czekać. Tym bardziej że wszystko dzieje się w środku zimy, wyjątkowo mroźnej i śnieżnej. I tak, kilka dni po medialnym szumie wokół zwierzaków, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji zwróciło się do wojewodów o przekazanie informacji na temat liczby schronisk w ich regionach.

Podsekretarz stanu w MSWiA Wiesław Leśniakiewicz zaapelował też o zwrócenie uwagi podczas kontaktu z właścicielami schronisk na potrzebę odpowiedniego zabezpieczenia zwierząt.

Trochę faktów

W Polsce funkcjonuje ponad 200 zarejestrowanych schronisk dla bezdomnych zwierząt. W 2022 roku przebywało w nich ponad 84 tysiące psów i 34 tys. kotów.

W Aleksandrowie Łódzkim radzą sobie ze zwierzakami świetnie: każdy psiak w ich gminie musi zostać zaszczepiony, to obowiązek. Bo bez identyfikacji nie ma odpowiedzialności. Dopóki pies jest niczyj, można go porzucić bez żadnych konsekwencji. Od lat bezpłatnie sterylizują i kastrują zwierzęta. Rozmawiają z ludźmi, tłumaczą, dlaczego to się opłaca.

- Rocznie korzysta z tej możliwości wielu właścicieli psów i kotów, w każdym razie około sześciuset zwierząt w ciągu roku jest sterylizowanych i kastrowanych. Jak na gminę z 35 tysiącami mieszkańców to całkiem dobry wynik - mówi Katarzyna Rezler, działaczka prozwierzęca, pełnomocnik burmistrza Aleksandrowa Łódzkiego ds. zwierząt i realizacji programu przeciwdziałania bezdomności. A tak na marginesie, mają bardzo mało bezdomnych zwierząt w swojej gminie.

Tak, oczywiście słyszała o schroniskach w Bytomiu i Sobolewie. Jak takim sytuacjom przeciwdziałać?

- Przede wszystkim trzeba określić minimalną stawkę dzienną, jaką otrzymują schroniska za psa czy kota. To mogłoby być na przykład 12 złotych plus koszty weterynaryjne, które oczywiście pokrywa gmina jako właściciel zwierzę-

W Polsce funkcjonuje ponad 200 zarejestrowanych schronisk dla bezdomnych zwierząt

FOT. MARGARZATA GENCA

cia. Zwierzę powinno być czipowane przy przyjęciu do schroniska, a jego wizerunek publikowany. Każde schronisko powinno prowadzić rejestr zwierząt, które do niego trafiły w ciągu na przykład ostatniego miesiąca. Wtedy właścicielom łatwiej byłoby znaleźć swojego psa, co dzisiaj wcale nie jest takie proste - tłumaczy Katarzyna Rezler.

Bo problem jest systemowy. Bytom czy Sobolew nie są wyjątkami - zwierzęta cierpią także w innych schroniskach. Chodzą oczywiście o pieniądze.

- Gmina ma ustawowy obowiązek opieki nad bezdomnymi zwierzętami, ale bardzo często ogranicza swoją rolę do zlecenia tego zadania w drodze przetargu. W praktyce wygrywa najtańsza oferta, a kryterium ceny dominuje nad jakością opieki, zapleczem weterynaryjnym czy doświadczeniem kadry - wyjaśnia Katarzyna Rezler.

Wiadomo - system premiuje oszczędzanie, a nie dobro zwierząt. I nie jest to często winną konkretnych ludzi, ale obowiązującego modelu. Gmina znajduje schronisko, które oferuje najlepszą dla niej ofertę, czyli najtańszą.

- Widzimy stawki rzędu 8, 10 czy 15 zł dziennie za psa, często z deklaracją, że obejmują również opiekę weterynaryjną. To są stawki całkowicie nierynkowe. Za takie pieniądze nie da się zapewnić diagnostyki, leczenia, dobrej karmy, ogrzewania czy pracy ludzi. Leczenie bywa wtedy symboliczne albo odkładane w czasie - opowiada Katarzyna Rezler.

Ale bywa jeszcze gorzej. Zdarza się, że gmina płaci jednorazowo 1200, 2000 czy 2500 zł za konkretnego zwierzęcia. W tej kwocie ma się zmieścić dożywotnia opieka nad zwierzęciem: wyżywienie, leczenie, praca opiekunów, utrzymanie infrastruktury. Ci, którzy mają zwierzęta, doskonale wiedzą, że to niewykonalne, nie da się za takie pieniądze utrzymać zwierzęcia. Więc dobrze, gdy zwierzę żyje krótko albo najzwyczajniej w świecie znika.

Kontrolę schronisk problemu nie rozwiązują.

- Bardzo często są zapowiadane i koncentrują się na infrastrukturze i dokumentach. Sprawdza się ogrodzenia, metraż boksów, zgodność papierów, a nie to, czy pies jest faktycznie leczony, czy eutanazja była zasadna, czy dokumentacja medyczna nie jest fikcją. Papier przyjmie wszystko, zwierzę głosu nie ma - tłumaczy Katarzyna Rezler.

I dodaje, że kiedy w schroniskach dzieje się źle, odpowiedzialność za nieprawidłowości powinny ponosić schronisko i gmina. Schronisko jest niejako wykonawcą zlecenia, ale gmina opiekunem prawnym zwierzęcia. Jeżeli wie, a powinna wiedzieć, że w schronisku dzieje się źle i nic z tym nie robi, ponosi



Pikieta przed schroniskiem w Sobolewie. To jeden z przypadków, gdy piekło zwierząt nagłośniła Doda

współodpowiedzialność za taki stan rzeczy.

Psów i kotów jest za dużo

Niby coraz bardziej rozumiemy zwierzęta. Większość Polaków wierzy, że te odczuwają ból tak jak ludzie. Stajemy się też coraz bardziej wrażliwi na krzywdę wyrządzaną psom i coraz chętniej im pomagamy. Ponad 36 procent badanych, którzy wzięli udział w ankiecie „Jak Polacy traktują zwierzęta?“, przeprowadzonej w 2019 roku, zadeklarowało, że gdy widzi psa przywiązanego do łańcucha, próbuje rozmawiać z jego właścicielem. Niemal tyle samo osób - blisko 35 procent - powiadomia lokalną organizację pomocową o blakającym się po ulicy czworonogu. Aż 87 procent ankietowanych na pytanie „Czy pomagasz zwierzętom?“ odpowiedziało twierdząco, a 10 procent zadeklarowało, że jest wolontariuszem w schronisku dla zwierząt.

To deklaracje. Wszyscy kochają zwierzęta w internecie. Rzeczywistość jest jednak zupełnie inna.

- Prawda jest taka, że traktujemy zwierzęta gorzej niż rzeczy. Zwierzę można kupić, sprzedać, oddać, zostawić w spadku, zabić, zjeść. Wszystko można ze zwierzęciem zrobić. Gdyby zwierzęta mówiły, byłoby o tyle dobrze, że usłyszeliśmy prawdę, bo my tej prawdy nie przyjmujemy, my jej nie akceptujemy. Uważam, że jesteśmy hipokrytami do potęgi, a one nie są - mówi Dorota Sumińska, lekarz weterynarii, publicystka, autorka książek i propagatorka dobrego traktowania zwierząt.

I pyta, dlaczego walczyliśmy o zdjęcie łańcuchów z psich szyi. Te psy mają przecież opiekunów. Czy powinni z nimi być? A psy w boksach metr na metr na końcu działki, na której stoi pałac - czy powinny tam być? Nie. Mamy dużą prowincję, na której psy traktowane są bez nadziei - tak mówi. Choć zdarzają się przypadki w miastach, kiedy pies jest zamykany na balkonie. Żyjemy w naszych bańkach. Nasi znajomi mają psy, kochają je, my kochamy swoje i wydaje nam się, że cały świat taki jest. Nie jest.

- Uważam, że trzy czwarte ludzi, jeśli nie więcej, którzy mają zwierzęta, nie powinni ich mieć. W Polsce, niestety, jest za dużo zwierząt. Stąd wynika cały szereg problemów, dotyczących między innymi również psów i kotów, bo ciągle mamy jakieś debaty: łańcuchowe, nie łańcuchowe. Tego by nie było, gdyby zwierząt było mniej. Wtedy mieliby te zwierzęta ci, którzy powinni je mieć. I to nie chodzi o to, żeby ktoś robił łaskę, zabierając zwierzę ze schroniska, tylko chodzi o to, żeby to był swego rodzaju zaszczyt, że można mieć psa - uważa Dorota Sumińska.

Schronisk wciąż przybywa, bezdomność wśród zwierząt rośnie. Mamy coraz więcej psów i kotów, których nikt nie chce.

- Trzeba radykalnie zmniejszyć populację zwierząt. Jest to możliwe wyłącznie przez obowiązkową kastrację psów i kotów nieprzeznaczonych do reprodukcji. Dopóki się tego nie zrobi, dopóty będzie coraz gorzej, bo zwierząt będzie coraz więcej - ocenia Sumińska.

I tłumaczy, że Fundacja Karuna stworzyła program „Ka-

strujemy bezdomność”. Niestety, nie ma woli politycznej, żeby taką kastrację przeprowadzić obowiązkowo. Dlaczego?

- Dlatego, że to się wiąże z pieniędzmi. Proszę pomyśleć, choćby tacy wytwórcy karm dla zwierząt - im jest wszystko jedno, czy sprzedają swój produkt schronisku, czy prywatnym opiekunom. Są rolnicy, którzy poubojowe odpady mogą sprzedać producentom karm dla zwierząt, a tak musieliby je utylizować i jeszcze za to płacić. Jest cała rzesza instytucji, które czerpią korzyści z tego, że zwierząt jest dużo, bo na nich naprawdę można robić duże pieniądze - odpowiada.

Więc obowiązkowa kastracja i sterylizacja, czipowanie zwierząt, minimalna stawka dzienna, jaką otrzymują schroniska za psa czy kota, publikowanie wizerunków zwierzątek, które trafiają do schronisk, wreszcie rzetelne kontrole tych placówek - to pierwszy krok do tego, aby porzuconym zwierzętom żyło się choć trochę lepiej.

Najważniejszy jest człowiek

Schronisko w Korabiewicach, gmina Puszczka Mariańska, godzinę drogi od Warszawy. Zwierząt mają tu teraz około trzysta pięćdziesiąt, w tym około sto dziewięćdziesiąt piesków, trzydzieści trzy koty. Mają dwadzieścia sześć koni, prawie trzydzieści kóz, krowy, świnię, drób. Schronisko należy do Fundacji Międzynarodowy Ruch na Rzecz Zwierząt Viva.

- Fundacja Viva przejęła je w 2012 roku. Wcześniej schroni-

sko było w opłakanym stanie, działały się tu potworne rzeczy: znęcano się nad zwierzętami, nie karmiono ich, nie wydawano do adopcji, nie było żadnej opieki weterynaryjnej. Zwierzęta przechodziły gehennę. Nam udało się to schronisko wykupić i od 2012 roku prowadzimy je najlepiej jak potrafimy - mówi Karolina Wiewiórkowska, kierowniczka placówki.

Podpisali umowy z kilkoma gminami. Ale pieniądze, które dostają od gmin, mają pokrywać wyłącznie koszty odłowienia i przetrzymywania zwierzęcia w schronisku. To nie są duże kwoty. Tak naprawdę często dokładają do utrzymania, a przede wszystkim do opieki weterynaryjnej, więc nawet tu, jak tłumaczy, nie wychodzą na zero.

- Pomagają nam przede wszystkim darczyńcy, którzy są z nami od wielu, wielu lat. Chętnie reagują na nasze apele, wspierają w kryzysowych sytuacjach, ale też w codziennym utrzymaniu schroniska - opowiada Wiewiórkowska.

Sami też nie siedzą z założonymi rękami. Organizują dni otwarte, przeróżne imprezy i tak najbliższa odbędzie się 8 lutego - 14. urodziny schroniska, 9 kwietnia - trzecia edycja gry terenowej (to trochę taki bieg przełajowy z miejscami, w których odpowiada się na pytania, wykonuje wyznaczone zadania). Wygrywa ta ekipa, która zdobędzie najwięcej punktów. Fajna rodzinna zabawa. Można przyjechać na cały dzień i się nie nudzić. 7 czerwca będzie Dzień Dziecka - stawiają wtedy na najmłodszych, przygotowują dla nich mnóstwo atrakcji.

- Potem we wrześniu mamy „Jesień życia w schronisku”. Wtedy skupiamy się na starszych pieskach, pokazujemy je gościom, a 18 października czwartą edycję „Biegu po karmę”. To ogromna impreza, bierze w niej udział coraz więcej biegaczy. Ina koniec, w grudniu, robimy kiermasz świąteczny - można na nim zjeść bigos, kupić jakieś drobiazgi - tłumaczy.

Podczas każdej imprezy oprowadzają gości po schronisku, przedstawiają im zwierzęta, opowiadają o nich i o tym, jak funkcjonują.

- Jeżeli chociaż jedna osoba zakocha się w jakimś psiku i będzie chciała wziąć go do domu, to dla nas wielka radość - mówi Wiewiórkowska. To się zresztą często zdarza, a przy okazji zbierają datki na schronisko, edukują, tłumaczą, jak dbać o zwierzęta, jak zapobiegać bezdomności. U nich każdy pies ma imię, każdego znają od pyska po ogon. Psy są porządnie przebadane, zaopiekowane.

- Najważniejszy jest zespół, bez niego nie ma dobrego schroniska - tłumaczy Karolina Wiewiórkowska. - Na umowach o pracę bądź na umowach zlecenie pracuje u nas ponad dwadzieścia osób. To fenomenalni, empatyczni, oddani zwierzętom ludzie, żadne przypadkowe osoby. Chcą tutaj być i wiedzą, po co tutaj są. Schronisko to smutne miejsce, prawda? Więc oni chcą nieść tym zwierzętom jak najlepszą opiekę, uczynić ich życie lepszym - dodaje.

Pomagają im wolontariusze: prawie dwieście osób. Przyjeżdżają bardzo regularnie: wyprawiają psy, a przede wszystkim promują zwierzęta do adopcji. Wykonują kawał dobrej roboty, na którą oni, pracownicy, nie mają czasu. Wszyscy tworzą zgrany team, wszyscy kochają zwierzęta.

I tak na koniec

Szum wokół schronisk ma swoje dobre i złe strony. Zwraca uwagę na problem, ale i przeszkadza.

- Emocje są zrozumiałe, ale hejt, próby samosądu często szkodzą zwierzętom. Paraliżują adopcje, zamykają schroniska na wolontariuszy, tworzą chaos. Potrzebujemy kontroli obywatelskiej opartej na wiedzy i dokumentach - mówi Katarzyna Rezler.

Tak naprawdę najważniejszy jest człowiek. Na zmiany systemowe przyjdzie nam pewnie jeszcze poczekać, jeśli w ogóle do nich dojdzie. Więc, póki co, dobrze by było, aby zwierzętami w schroniskach zajmowali się tylko ci, którzy naprawdę tego chcą, rozumieją, że pies czy kot to żywa istota, która odczuwa ból, strach, smutek, potrafi się cieszyć, przywiązać, na swój psi czy koci sposób kochać. I jest całkowicie od nas zależna.

PAP
Współpraca: Ireneusz Stajer

PRZEMOC W REKAWICZKACH. KARETKA MIAŁA BYĆ RATUNKIEM, A STAŁA SIĘ SCENĄ TRAGEDII OLKA

Miał 19 lat i plany: matura, studia... Błagał ratowników: „Nie chcę do taty!” Usłyszał: „A gdzie jest tata?”. Odpowiedział: „Nie żyje”. Medycy byli niewzruszeni. Chwilę później... Olek był u taty

Aleksandra Pasis

Wolał o tlen, a dostał milczenie i gniew. To nie był film. Grudziądź pamięta, prawda ma twarz. Śmiech zamiast pomocy, słowa jak nóż - to fragment tekstu piosenki Emasyka, która powstała spontanicznie, w czasie marszu pamięci tragicznie zmarłego Olka, który odbył się tydzień temu. Ulicami Grudziądza przeszło kilkaset osób.

Parę dni później przechodzę w miejscu, gdzie doszło do feralnej interwencji: przy przystanku obok I LO. Robię zdjęcia mnóstwa zniczy, które płoną pod murem poświęconym Olkowi. Słyszę, jak obok mnie pasażerowie czekający na autobus żywo dyskutują: - Panie, był pan na marszu? - kobieta pyta starszego mężczyznę. Senior odpowiada: - Nie byłem. Wzburzona grudziądzanka opowiada: - Ja byłem. To milczenie było głośniejsze niż krzyk. Czy pan sobie wyobraża, że ci lekarze, zamiast do tchawicy, intubowali Olka do przewodu pokarmowego?

Za chwilę słyszę znajome dźwięki „The Sound of Silence”. Kątem oka widzę, że inna pasażerka ogląda w telefonie wideo-relację z marszu opublikowaną przeze mnie na portalu naszej gazety. Wybrałam do niej właśnie ten podkład muzyczny...

Widać, że mimo upływu czasu mieszkańcy Grudziądza pozostają poruszeni tą sprawą.

„To nigdy nie powinno się wydarzyć”

- Tarana wciąż krwawi. To nigdy nie powinno się wydarzyć - powtarza zrozpaczona mama Olka, Małgorzata Shahbazyan.

Choć od śmierci Olka minęły dwa lata, to dopiero teraz cała Polska dowiedziała się o dramacie jej syna. - Nie miałam innego wyjścia - tłumaczy. - Czekam już dwa lata na sprawiedliwość. Winni śmierci mojego syna wciąż nie stanęli przed sądem, dlatego postanowiłam działać i zwróciłam się do mediów.

Nagrania z monitoringu karetki oraz z kamer nasobnych policjantów opublikowała telewizja TVN. To był zapis brutalnego potraktowania cierpiącego z bólu 19-latkę, który potrzebował natychmiastowej pomocy po tym, jak uciekając policjantom, nadział się na metalowy pręt ogrodzenia boiska



Nagrania z karetki, w której Olek prosił o tlen, a dostał pogardę i był szarpany przez medyków, obiegły całą Polskę

I LO przy ul. Sienkiewicza w Grudziądzu.

Policjanci próbowali pomagać rannemu chłopakowi, ale robili to dość chaotycznie. Jeden z nich krzychał „krwawi w...uj”. Wezwali karetkę. Patrol, który zatrzymał Olka, a powodem miało być popełnienie wykroczenia i wyrzucenie „czegoś” podczas ucieczki. Policjanci byli z Bydgoszczy, nie znali Grudziądza, więc o adres pytali przechodniów. Wreszcie, gdy ambulans dojechał (bez sygnałów, choć wezwanie było pilne), mundurowi, przekazując skutego w kajdankach Olka, stwierdzili, że „pajacuje”.

Przysięgali okazywać pacjentom szacunek

To, co działo się w karetce, którą przyjechało dwóch ratowników i lekarz, trudno zrozumieć, a jeszcze trudniej wytłumaczyć. To były sceny, jakich nikt nie mógł się spodziewać: znęcania, męczenia, poniżania.

„Przyjmuję z szacunkiem i wdzięcznością dla moich Mistrzów nadany mi tytuł lekarza i w pełni świadomy związanych z nim obowiązków przyrzekam: (...) służyć życiu i zdrowiu ludziemu; według najlepszej mej wiedzy przeciwdziałać cierpieniu, a chorym nieść pomoc bez żadnych różnic, takich jak: rasa, religia, narodowość, poglądy polityczne, stan majątkowy i inne, mając na celu wyłącznie ich do-

bro i okazując im należyty szacunek (...).”

Powyższe to tekst przysięgi lekarskiej. Lekarze, którzy stanęli na drodze Olka, bez wątpienia nie wypełnili jej słów.

Na nagraniach zobaczyliśmy chłopaka wielokrotnie błagającego o tlen, mówiącego, że dusi się. Bez reakcji ratowników. Za to szarpano go za ucho, ubranie, szydzo. Jeden z medyków wytarł zakrwawione rękawiczki o ubranie 19-latkę i z ironią w głosie stwierdził: „pobrzdziło się”. Załoga karetki nie reagowała na poruszające do szpiku kości słowa Olka: „Nie chcę do taty”. Jeden zapytał „A gdzie jest tata?”. Usłyszał: „Nie żyje”.

Tę gehennę młodego chłopaka mogli przerwać lekarze z SOR-u szpitala w Grudziądzu, którym został przekazany. I oni nie pomogli.

Sekcja zwłok wykazała, że bezpośrednią przyczyną zgonu Olka było wykrawanie. Wykazała też, że chłopak nie zażył żadnych zakazanych substancji.

Powołani przez prokuraturę biegli wydali druzgocące opinie, wytykające zaniedbania medyków. Aktem oskarżenia objęto trzech lekarzy. Redakcja „Gazety Pomorskiej” informowała o tym jako pierwsza już w sierpniu ub. roku. O narażenie rannego Aleksandra na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia bądź ciężkiego uszczerbku na zdrowiu zostali oskarżeni:



W miejscu tragedii przyjaciele Olka wykonali mural. Po marszu pamięci zapłonęło tu mnóstwo zniczy

● Sławomir B. jako lekarz zespołu ratownictwa medycznego odstąpił od zebrania prawidłowego wywiadu, w tym obejrzenia miejsca zdarzenia i obrażeń rannego, a także podczas transportu do szpitala odstąpił od niezbędnych czynności medycznych. Sławomir B. nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu, złożył wyjaśnienia, które oceniono jako w większości sprzeczne ze zgromadzonym materiałem dowodowym.

● Maksim D., lekarz SOR-u, który odstąpił od samodzielnej oceny sytuacji rannego oraz od wykonania USG uda.

● Marek O., anestezjolog z SOR-u; dopuścił do nieprawidłowej intubacji rannego (zamiast do tchawicy został intubowany do przewodu pokarmowego).

Maksim D. i Marek O. nie przyznali się do winy i odmówili składania wyjaśnień. Z informacji uzyskanych z Prokuratury Okręgowej w Toruniu wynika, że dowodami przemawiającymi za sprawstwem oskarżonych były m.in. dokumentacja medyczna, zeznania świadków, opinie medyczne, zapisy korespondencji.

Medycy są oskarżeni z art. 160 paragrafy 2 i 3 Kodeksu karnego. Grozi im do pięciu lat pozbawienia wolności.

Agata Kurkowska, dyrektor szpitala w Grudziądzu, poproszona przez nas w sierpniu ub. r. o zajęcie stanowiska wobec aktu

oskarżenia trzech lekarzy, odpowiedziała jednym zdaniem: „Szpital nie jest stroną postępowania i nie komentuje spraw dotyczących indywidualnych pracowników”.

Proces miał ruszyć w listopadzie 2025 r. Nie rozpoczął się do dziś.

Gdy w styczniu br. cała Polska zobaczyła wstrząsające nagrania z karetki, dyrektor Kurkowska na drugi dzień współpracę z zespołem ratownictwa medycznego zakończyła. Takich konsekwencji nie wyciągnęła wobec anestezjologa i lekarza SOR-u.

W ludziach zawrzało

Pod adresem medyków wyłała się fala krytyki, ale i hejtu. W sieci padały surowe oceny:

Ewa: - Widziałam nagranie z karetki. To zwykli zwyrolę, a nie ratownicy.

Piotr: - Cały czas wierzę, że winni poniosą surową karę.

Madzia: - Tu zawiniли ludzie, którzy mieli nieść pomoc. Bezdušność, obojętność w tych ratownikach.

Maria: - Bólu po stracie dziecka nic nie ukoł. STOP przemocy! Nie ma zbrodni bez kary! Nie ma zgody na takie traktowanie drugiego człowieka!

Szpital zwołał konferencję prasową, na której nie pojawiła się dyrektor Kurkowska, a przyszedł prezydent Grudziądza Maciej Glamowski i kilku lekarzy. Wygłosili oświadczenia, których

głównym przesłaniem było to, że na medyków i szpital wylała się hejt. Prezydent Glamowski wyszedł z sali, migając się od pytań dziennikarzy. Wyszli też lekarze.

Szpital i prezydent ratują wizerunek

Do dziś żadnych konsekwencji nie poniosła dyrektor szpitala Agata Kurkowska za to, że przez dwa lata od tragicznej akcji wciąż zatrudniała medyków, którzy dopuścili się tak karygodnych zachowań, a w przypadku lekarzy - popełnili krytyczne błędy, które wykazali biegli.

Prezydent Grudziądza, by ratować wizerunek, zlecił kontrolę w szpitalu. - Dalsze działania, także dotyczące ewentualnych kwestii personalnych, podjęte zostaną niezwłocznie po jej przeprowadzeniu - wyjaśnia Karol Piernicki, rzecznik prezydenta.

Kontrola ma objąć zakresem przestrzeganie obowiązujących procedur i przepisów prawa przy udzielaniu pomocy przez zespoły ratownicze. Wykonują ją dwie urzędniczki z ratusza.

W szpitalu z kolei powołano pełnomocnika ds. praw pacjentów. Została nim Magda Rohde, pielęgniarka. Będzie otrzymywała dodatek do wynagrodzenia. Powstał też zespół do spraw etyki, którego szefem został dyrektor ds. lecznictwa. W jego skład wchodzi jeszcze osiem osób. Członkowie zespołu dodatkowego wynagrodzenia nie będą pobierać.

Pełną kontrolę w zakresie prowadzonej akcji ratunkowej Olka zarządził też wojewoda.

Prokuratura badała też zachowanie policjantów podczas interwencji. Umorzyła postępowanie. Zażalenie na tę decyzję latem ub. roku złożyła mama Olka. 27 stycznia br. Sąd Rejonowy w Toruniu zdecydował, że właściwym do rozpoznania będzie Sąd Rejonowy w Grudziądzu.

W internecie trwa zbiórka na pomoc prawną dla rodziny Olka. Bliscy dążą do tego, aby nie tylko lekarz, ale też ratownicy z karetki usłyszeli zarzuty. Kilka dni temu zatrudnili adwokata.

- Najważniejsze w życiu to być dobrym, potrafić sobie podać rękę, a nie noże. Myślę, że jak Olek patrzy na nas, to jest szczęśliwy, bo widzi, że sprawiedliwości staje się zadość - mówi Lidka, siostra Olka. ©©

JEDENASTOLATKI NA INSTAGRAMIE. AFERA W SZKOLE, RODZICE W KROPCE

W szkole w Toruniu klasowa afera. Ktoś podszył się na Instagramie pod 11-letnią uczennicę i porzysłał innym 11-latkom erotyczne fotki i treści o seksie. W akcji już są: wychowawczyni, pedagog i policja. A rodzice w szoku: – Jak to możliwe, skoro konta na Insta w tym wieku mieć nie można, a tak w ogóle to „moje dziecko ma w telefonie kontrolę rodzicielską?!“

Małgorzata Oberlan

Ponieważ niektóre posty obrażały koleżanki, najpierw zrobiła się afera między dziewczynkami. Potem do akcji wkroczyli rodzice. Rzekoma sprawczyni tego zamieszania - 11-letnia Marysia - dziwnym trafem postuje z Instagrama nawet wtedy, gdy mama zabiera jej na długo telefon.

- Ewidentnie ktoś podszył się pod nią na tym Instagramie, zhakował jej konto. Mam nawet podejrzenia, która z koleżanek. Zrobiłam rzuty, byłam 19 stycznia na komisariacie policji - relacjonuje pani Monika. Jej córka bardzo przeżyła ataki ze strony koleżanek i wszystko, co się później wydarzyło.

Matki w szoku. „Przecież jest kontrola w telefonie“

Szkoła zareagowała. Były spotkania z pedagogiem, psychologiem, zaangażowana jest doświadczona wychowawczyni. 19 stycznia odbyło się w szkole zebranie z matkami dziewczynek. Celem było wyjaśnienie sytuacji i próba dojścia do tego, co i kto te „seks-treści“ z konta Marysi rozpowszechnił.

- Niektóre mamy były w szoku. Niektóre chyba nie wiedziały, że ich dziewczynki są takie aktywne w mediach społecznościowych. Mówiły, że mają „kontrolę rodzicielską“ założoną, że ich dzieci „tam nie zaglądały“ i tak dalej. O tym samym zapewniała mama tej dziewczynki, którą osobiście podejrzewam o rozsyłanie tych treści - opowiada pani Monika.

Ona swojej córce wierzy i wraz z mężem od początku całej afery starają się Marysię wspierać. Rozmawiają, tłumaczą, ograniczają do minimum korzystanie z netu i telefonu („żeby żyła normalnym trybem teraz”); zabezpieczyli krytyczne treści pod kątem ewentualnej pracy policji. Ewentualnej, bo najpierw wyglądało na to, że mundurowi do akcji nie wkroczą.

- 19 stycznia na komisariacie w Toruniu spotkałam się z policjantką, która takimi sprawami się właśnie zajmuje. Radziła, by dać czas jeszcze szkole na działanie, bo jak formalnie sprawa zostanie zgłoszona, to uruchomiona zostanie w przyszłości cała machina: sąd rodzinny, kurator itd. Wtedy zatem zawiadomienia ostatecznie nie złożyłam. Ale teraz już wiem, że sprawę policji zgłosi sama szkoła - mówiła pani Monika 27 stycznia, dodając, że jej Marysia policji się nie obawia - nie zareagowała źle np. na oddanie telefonu do badania, co pewnie nastąpi.

Do szkoły pani Monika pretenzji nie ma. Nie było zamiatania problemu pod dywan. Po spotkaniu z samymi rodzicami odbyło się kolejne - już z udziałem dziewczynek. Sprawy wyjaśnić dalej się nie udało, ale z pewnością zaangażowanie wychowawczyni, pedagoga i szkolnego psychologa uczyliło dzieciaki na wiele kwestii i - daj Boże - czegoś na przyszłość je nauczyło. Rodziców zresztą chyba też.

Kontrola rodzicielska nie działa? „Wszystko da się ominąć“

Jedno pani Monika przyznaje, bijąc się w piersi: podobnie jak inni rodzice do wybuchu tej afery nie do końca zdawała sobie sprawę, co jedenastolatki potrafią robić w sieci. Aby zmierzyć się z problemem, musiała „wgrzyźć się w tego Instagrama”. W tajniki takie jak odczytywanie historii całej aktywności i omijanie różnych blokad wtajemniczyła ją siostrzenica, starsza nastolatka.

Formalnie konto na Instagramie mogą mieć „dopiero” trzynastolatki. Jak się jednak okazuje, tak samo jak przy kontaktach na innych platformowych społecznościowych, tak i tutaj dzieciaki potrafią tę granicę wieku ominąć. Potem natomiast wiele z nich też szybko uczy się omijać „kontrolę rodzicielską” czy inne rodzicielskie „blokady”.

- Jak? Chyba nie ma sensu podawać wskazówek w artykule. Zresztą, dzieciaki potrafią je same znaleźć, jak się uprą. Gdzie? W internecie. Przecież tam jest wszystko - mówi Paweł, doświadczony pracownik działu IT w dużej korporacji. - Wystarczy wpisać w wyszukiwarce „jak zdjąć kontrolę rodzicielską”, „jak ominąć weryfikację wieku” itp. Potem nastolatki szybko uczą się też radzić sobie z kontami zablokowanymi - niektóre zakładają po kilka nowych i korzystają. Dlaczego rodzice tego nie wiedzą? Cóż, przecież najczęściej jeśli sami



Jedenastolatki formalnie konta na Instagramie mieć nie powinny, ale nierządkiem mają. I więcej z tego wynika złego niż dobrego. „Kontrola rodzicielska” w smartfonie dziecka też sprawy nie rozwiązuje - dzieciaki potrafią to obejść/zdjęcie ilustracyjne

mają problem cyfrowy, to o pomoc proszą własne dzieci, bo sami nie ogarniają.

Regulaminy mediów społecznościowych są jasne: wstęp od 13. roku życia. A jak wygląda rzeczywistość? Średni wiek debiutu to 11 lat, a niemal 20 procent dzieci zakłada konta jeszcze przed dziesiątymi urodzinami.

Raport Centralnego Ośrodka Informatyki (COI) pokazuje się, że w cyfrowym świecie nasze dzieci często są pozostawione same sobie. W 40 proc. polskich domów nie obowiązują żadne zasady dotyczące korzystania z internetu. I tylko jedna trzecia nastolatków przyznaje, że rodzice realnie monitorują to, co robią w sieci.

Choć większość platform (poza wersjami Kids) wymaga ukończenia 13 lat, aż 74 proc. dzieci zakłada tam konta wcześniej. Średnia to 11 lat, ale spora grupa (18 proc.) wchodzi w ten świat, nie mając nawet 9 lat (za: Radio Proste Rozmowy).

Z kolei jak wynika z raportu „Internet dzieci”, współtworzonego m.in. przez Monikę Rosę we współpracy z Państwową Komisją do spraw Przeciwdziałania Wykorzystaniu Seksualnemu Małoletnich Poniżej Lat 15 (PKDP), Gemius, PBI i Uniwersytetem Warszawskim, z mediów społecznościowych korzysta 1,4 mln dzieci w wieku od 7 do 12 lat. Młodsze grupy wiekowe nie zostały objęte badaniem. (za: natemat.pl)

Jak zatem widać, historia ze szkoły w Toruniu nie jest żadnym wyjątkiem. Bo tam, gdzie jest dostęp dziecka do mediów społecznościowych, tam automatycznie pojawiają się problemy. Bywa, że jeszcze poważniejsze niż ten opisany i kończące się wielkimi dramatami.

Social Media w Polsce od 15 lat? Eksperci: będą trudności z wyegzekwowaniem

Do końca lutego br. klub Koalicji Obywatelskiej ma przedstawić projekt ustawy ograniczającej dostęp do mediów społecznościowych dla osób poniżej 15. roku życia.

Inicjatorami tego projektu poselskiego są były minister edukacji Roman Giertych, obecna szefowa resortu Barbara Nowacka i przewodnicząca sejmowej komisji ds. dzieci i młodzieży Monika Rosa. Projekt ma opierać na rozwiązaniach wdrożonych w Australii, gdzie ograniczenia wiekowe dla użytkowników mediów społecznościowych już obowiązują. Podobne inicjatywy zapowiedziały już m.in. władze Francji i Danii.

Tyle że, po pierwsze, nie wiadomo, czy nawet koalicjanci KO w przyszłości - gdyby doszło do głosowania - ten projekt by poparli. Od początku wątpliwości co do jego sensu zgłaszają choćby niektórzy posłowie Konfederacji. Po drugie zaś - nawet gdyby takie prawo w przyszłości obowiązywało (niezależnie od zastosowanych konkretnych w nim rozwiązań), to nad sensem jego dumają też eksperci.

Na przykład cytowana przez portal „Gazety Prawnej” Dominika Bucholc, rzeczniczka prasowa KidsAlert, ma wątpliwości czy zakaz rzeczywiście da się egzekwować. - Technicznie to bardzo trudne. Istnieją VPN-y, konta zakładane na rodziców, aplikacje-kłony czy zamknięte grupy na Discordzie, Telegramie i WhatsAppie, które de facto pełnią funkcję mediów społecznościowych. Dlatego sedno sprawy nie leży w samym zakazie, lecz w modelu

weryfikacji wieku - mówi dla portalu.

Bucholc wskazuje też na dwa główne kierunki, które można by zastosować, decydując się jednak na nowe prawo. Każdy jednak wiąże się od razu z pewnym politycznym wyborem. Pierwszy to przerzucenie odpowiedzialności za weryfikację wieku na platformy. Tutaj pytanie jednak brzmi, czy to globalne koncerty winny gromadzić wiedzę o obywatelach i decydować, jak ją weryfikować. Drugi oddaje sprawę weryfikacji wieku w ręce państwa, np. za pomocą aplikacji mObywatel. Zdaniem ekspertki jednak takie rozwiązanie miałyby sens jedynie przy spójnym zastosowaniu go przez wszystkie państwa w UE.

U pani Moniki w domu w Toruniu - stan oczekiwania. Niby wszyscy starają się żyć normalnie, ale jednak rodzice chcieliby wiedzieć, co z kontem Marysi na Instagramie wydarzyło się naprawdę. Może wyjaśni to policja.

- Świat, w którym teraz dorastają nasze dzieci, to istne szaleństwo - podsumowuje Torunianka. Przy okazji sprawy jej Marysi dowiedziała się w szkole, że należy uważać bardzo na rosyjskojęzyczne media społecznościowe: dzieje się tam podobno o wiele gorzej, niż w tych dostępnych polskim nastolatkom, dzieciaki już i tam weszły. W szkole znają problem, bo mają sporo uczniów z Ukrainy...

Pani Monika podejrzewa zatem jedno: ciąg dalszy rozmaitych problemów „z tymi socjami” to pewnie dopiero nastąpi.

PS Imiona matki i córki zostały w tekście zmienione.

Księżę Kardynał, skąd ten tytuł książki: „Idź i czyń dobro”?

To jest przesłanie ewangeliczne. Może nie wypowiedziane bezpośrednio, ale kiedy czytamy Ewangelię, to tam przede wszystkim istnieje „dzisiaj”. Mówi się o czasie, który jest nam dany. Dzisiaj nam jest dane, natomiast jutro dla nikogo z nas nie jest pewne. Więc jeżeli mam być dobry, to mam być dobry dzisiaj. I dlatego, nie zwlekając, trzeba czynić dobro dzisiaj, bo jutro już może nas nie być. Tu pobrzmiewają też słowa księdza Twardowskiego: Kochajmy dzisiaj ludzi, bo jutro ich może nie być. A kochać mamy wszystkich ludzi.

Z książki dowiadujemy się najwięcej o miłości do osób ubogich, bezdomnych, potrzebujących, dziś odrzuconych.

Ja staram się żyć logiką Ewangelii. To jest bardzo trudne - żyć Ewangelią bez komentarza, który na ogół ją rozwadnia. Mówi się w ten sposób: „Jezus powiedział, ale dzisiaj żyjemy w innym świecie, w innych okolicznościach”, i tak dalej, i tak dalej. Nie, Ewangelia jest dzisiaj aktualna i jest na dzisiaj. Czytamy Marka - jak się zaczęła publiczna działalność Pana Jezusa? Tak, że spotyka trędowatego, spotyka sparaliżowanego, a następnie spotyka Mateusza, znieawidzonego celnika, i mówi: „Idź za mną”. Najpierw spotyka się więc z tymi, którzy potrzebują pomocy, którzy są opuszczeni, zanurzeni w grzechu, zanurzeni w cierpieniu. Tak jest. Jezus idzie. On idzie jako lekarz. Lekarza potrzebują ci, którzy się źle mają. Więc idzie najpierw do nich. I tak próbowałem to realizować jako jałmużnik i staram się nadal - dopóki jestem jałmużnikiem w imieniu Ojca Świętego - że to my biegniemy do tych, którzy się źle mają, i to my im pomagamy. Papież Franciszek mówił: „Zostaw to biuro, zostaw biurko, wyjdź na ulicę i szukaj Jezusa zranionego”. I to jest Ewangelia. To robił Jezus każdego dnia. Sam fakt, że to ludzie mają przychodzić po pomoc do nas, do urzędów, fundacji, to jeszcze nie Ewangelia w pełni. Ewangelia w pełni jest wtedy, kiedy my wychodzimy i szukamy. Myślę, że trafnie naszą Dykasterię określił papież Franciszek jako Pronto Soccorso, czyli Pogotowie Ratunkowe Miłosierdzia. To znaczy, że na wieść o tym, że coś się dzieje, biegniemy i szukamy, aby pomóc tym ludziom.

Ale czy musimy być w tym tak radykalni? Bo z Księdza książki wynika, jeśli ktoś ją tak na poważnie weźmie do siebie, że wręcz należałoby zmienić swoje życie.

Ale taka jest dokładnie Ewangelia. Jest bardzo radykalna. Do tego stopnia, że ta radykalność stawia wszystko na głowie, tak jak miłość. Proszę za-

– Jako jałmużnik Ojca Świętego staram się biec do tych, którzy się źle mają, i im pomagać. To nie oni mają przyjść do nas, ale my do nich. Tak robił Jezus, to jest Ewangelia, a ja staram się żyć logiką Ewangelii – mówi kardynał Konrad Krajewski. Przyznaje, że funkcja jałmużnika papieskiego całkowicie zmieniła jego życie. Niedawno za pomoc Ukrainie otrzymał medal od prezydenta Zełenskiego. Wydał też książkę-przesłanie: „Idź i czyń dobro”. W rozmowie z Vatican News opowiada m.in. o tym, co powiedział mu Leon XIV, o nocy spędzonej z bezdomnymi, wydawaniu ogromnych kwot na pomoc potrzebującym i mądrych wskazówkach papieża Franciszka

Wojciech Rogacin, Vatican News



Kardynał Krajewski: Zło jest krzykliwe, ale dobro jest zaraźliwe. Jeśli ludzie wiedzą, co my czynimy, włączają się

KARDYNAŁ KONRAD KRAJEWSKI: MIŁOŚĆ JEST „STUKNIĘTA”

uważyć: miłość nie tylko jest radykalna, ale „stuknięta”. Jeśli miłość nie jest „stuknięta”, to nie jest miłością, ponieważ ona kieruje się zupełnie innym prawem niż to, które my sobie

ustalamy. Matka będzie kochać swoje dziecko, nawet jeśli ono jest w więzieniu. Taka jest miłość i Ewangelia, która wszystko stawia odwrotnie niż świat. Dlatego Jezus nam ciągle

przypomina, że nie jesteśmy z tego świata, że nie można stać okrakiem - i w świecie, i w Ewangelii. Jeśli jesteśmy w Ewangelii, to na pewno jesteśmy też w świecie. Jeśli jeste-

śmy w świecie, to nie znaczy, że jesteśmy w środku Ewangelii.

Papież Franciszek, jak czytam w książce, powiedział na początku Księdza posługi jako jał-

mużnika: „Jeśli chcesz wiedzieć, czego potrzebują bezdomni, idź do nich, spędź z nimi nocy wtedy będziesz wiedział”. Tak to wyglądało?
To wyglądało dokładnie tak, bo wszystkie te inicjatywy, które powstały, zostały sprovokowane przez papieża Franciszka. Ale papież tylko nadał kierunek, natomiast nie mówił, co to ma być i jak to ma być. Nam się może wydawać, że jak ja kupię bułkę i zaniosę ubogiemu na ulicę, to już jest pełne szczęście. Ale ja go nie zapytam, czy ma zęby, czy on tą bułkę może w ogóle zjeść. Czy on nie jest cukrzykiem. Czy on może jeść to, co ja mu daję. Natomiast gdy się usiądzie z bezdomnymi, nie trzeba wcale dużo mówić. To oni mówią, bo na ogół nikt ich nie słucha. To jest pierwsza rzecz. A druga, że dowiadujemy się rzeczy, o których byśmy nie myśleli. Na przykład na samym początku, kiedy zostałem jałmużnikiem i zacząłem ich słuchać, ci biedni mówili: „My nie mamy się gdzie załatwić”. Nie ma w Rzymie otwartych ubikacji. Turyści, kiedy przyjeżdżają do Rzymu, idą do baru i - kupując kawę - mogą iść do łazienki. A oni do baru czy do restauracji nie mogą wejść. A publicznych toalet nie ma. Więc utworzyliśmy toalety dla nich. Nie mieli się gdzie wykapać, więc otworzyliśmy natychmiast na Placu Świętego Piotra prysznic, gdzie 200 osób dziennie się kąpie. Jeśli już są umyć, to potrzebują bielizny świeżej. Jeśli już są umyć, przebrani, to dlaczego ich nie zbadać? Stąd powstał pomysł ambulatorium. Jeśli już są u nas umyć i zbadać, to dlaczego mieliby nie pójść do fryzjera? Bo najwięcej mają problemów właśnie z chorobami skóry, z włosami. Więc powstał od razu zakład fryzjerski dla nich. I w ten sposób, słuchając ich, wiedziliśmy, co mamy robić.

Ale do tego też potrzeba ludzi chętnych, fryzjerów chociażby, czy lekarzy, którzy badają w ambulatorium. Skąd oni się biorą?

Więc tak: zło jest krzykliwe, ale dobro jest zaraźliwe. Jeśli ludzie wiedzą, co my czynimy, włączają się. Podam przykład. Pojechałem do jednego z marketów i wziętem od razu 60 kg bananów - dwa olbrzymie pudła. Podszedłem do kasy z wózkiem i wtedy podchodzi do mnie jedna pani i mówi: „Ja wiem, dla kogo ksiądz te banany kupuje”. Wyciągnęła kartę płatniczą i zapłaciła. To jest odpowiedź na pana pytanie. Takie jest dobro. Jeżeli ludzie wiedzą, co my robimy, to bardzo chętnie pomagają. Często chcą pomagać, a nie wiedzą jak. A my wiemy. Robimy dokładnie to, co robiłby Jezus, więc leczymy ludzi z bezdomności, próbujemy im przywrócić godność, a jednocześnie da-

jemy im też posługę duchową, która jest bardzo ważna.

W jaki sposób?

Proszę zobaczyć, jak Jezus zareagował na paralytyka spuszczonego przez dach do pomieszczenia, w którym przebywał. Zapytał, co jest łatwiej powiedzieć: „Wstań, idź, jesteś uzdrowiony”, czy „Odpuszczają się twoje grzechy?”. Łatwo jest powiedzieć „wstań, idź”, bo przecież mamy pełne szpitale, tam się idzie po to, żeby odzyskać zdrowie. A konfesjonały wcale nie są takie pełne. Czyli o wiele trudniej jest przywracać godność człowieka, który ją otrzymał od Boga, niż wyleczyć człowieka. A te dwie rzeczy muszą iść w parze. Papież Franciszek bardzo często mnie pytał o to, czy zaspokajamy wszystkie potrzeby naszych biednych. To nie chodziło tylko o prysznic, o umycie się, dokumenty, ale pytał przede wszystkim, czy za pewniamy im pomoc duchową. Po pierwsze, czy ich słuchamy. Czy jesteśmy z nimi. Czy opowiadamy im o Jezusie.

Rozumiem, że opowiadacie.

Wie pan, kiedy jesteśmy z nimi, to oni sami pytają: „A dlaczego ty jesteś taki dobry dla nas?”. Ja wtedy najczęściej odpowiadałem to, co mi przychodziło zupełnie spontanicznie. Robię to, co by zrobił Jezus. I to jest właśnie odpowiedź na tytuł tej książki: „Idź i czyni dobro”. I jakiegokolwiek by nie były pobudki czynienia dobra, dobro jest dobrem.

Mówi Ksiądz Kardynał kilkakrotnie na łamach książki:

„Najpierw czyni, potem słowa”. Dlaczego?

Jezus szedł i dotykał ludzi, uzdrawiał. Czyny są bardzo ważne. W dniu, w którym rozmawiam z panem, czytana jest Ewangelia o powołaniu Mateusza. Ta Ewangelia mówi, że nie ma świętego, który nie ma swojej kiepskiej przeszłości. Mateusz miał fatalną przeszłość. Znienawidzony był, żył z grzechu, z poboru pieniędzy. Ale każdy grzesznik ma swoją przyszłość. I to daje Jezus. Jeżeli idę i uklęknię przy kratkach konfesjonału i powiem Jezusowi o swojej przeszłości, to już jej nie ma. Grzechy są odpuszczone. On nie tylko przebacza grzechy, ale obdarza mnie pokojem i mówi: „Idź i bądź święty”. To jest dzisiejsza Ewangelia. I jeżeli ją, wychodząc na ulicę, wprowadzę ją w czyn, wiedząc, że każdy z tych ludzi ma swoją przeszłość - ale Jezus nie męczy się Jego grzechami - to mój czyn pomaga temu człowiekowi przywracać godność.

Jesteście zawsze przygotowani, by pomagać?

Kiedyś była powódź w Rzymie i w jednej z dzielnic zalało bardzo dużą ilość domów. To się stało w sobotę i papież Franciszek

szek do mnie zadzwonił. Mówi: „Weź pieniądze i jedź natychmiast i tym rodzinom zapłać za hotel, żeby miały gdzie przemocować”. Ja mówię: „Ojciec Święty, ale jest sobota i banki są pozamykane”. On na to: „To ty jesteś jałmużnikiem i nie masz pieniędzy do dyspozycji na miejscu? Jak to jest możliwe? To jest tak, jakby ktoś miał łódź, a wiosła by były zamknięte na sobotę i na niedzielę”. Wtedy zrozumiałem, że nasza pomoc musi być zupełnie inna. Musimy być zawsze gotowi. Stąd zrodziło się to pojęcie pogotowia ratunkowego, które zawsze jest czynne.

Ksiądz Kardynał w książce bardzo często wspomina o wskazówkach, nawet ostrych przytykach papieża Franciszka...

Papież Franciszek był bardzo konkretny. To był człowiek, który w momencie, kiedy już dostał papieżem, miał ogromne doświadczenie życiowe i z tego skarbca swojego życia wyciągał rzeczy tylko istotne. Nie zajmował się narracją, tylko dawał konkretne rozwiązania. Pamiętam, jak pierwszy raz wysłał mnie na Lampedusę, kiedy przewrócił się statek i ponad 300 osób zginęło. Jak wychodziłem, to papież mnie jeszcze zawałał: „Konrad, Konrad, wróć. Najpierw idź do proboszcza i wszystkie swoje decyzje konsultuj z proboszczem”. I tak było. Jak zajechałem na Lampedusę, to proboszcza zapytałem, czego ci ludzie najbardziej potrzebują. Ci, którzy ocaleli, potrzebowali zadzwonić do swoich domów, żeby im powiedzieć, że przeżyli. Więc we wszystkich barach wykupiliśmy karty telefoniczne i rozdaliśmy tym biednym ludziom. Oni w kolejkach stali do telefonów, żeby zadzwonić na chwilę i powiedzieć: „Żyje. Brat nie żyje, ale ja żyję”. A mądrość papieża polegała na tym, że to nie ja robiłem zgodnie ze swoją logiką i myśleniem człowieka z Łodzi i z Polski, tylko zgodnie z jego wskazówkami. Jest słowo, które zawsze towarzyszy jezuitom: „rozeznanie”. Najpierw rozeznanie, jaką jest rzeczywistość i dopiero decydowanie.

Co jeszcze papież mówił Księdzu Kardynałowi?

Kiedyś przyjechałem bardzo zmęczony wieczorem po całym dniu. Papież mnie wezwał telefonicznie, żebyśmy przyszedł do niego. Mówię, że padam ze zmęczenia. On mówi: „To bardzo dobrze. Bardzo dobrze, że nie wiesz, jak dojść do łóżka. Tylko czy byłeś dzisiaj na adoracji Najświętszego Sakramentu? Bo jeśli nie byłeś na adoracji, to jesteś pracownikiem socjalnym, a jeśli byłeś na adoracji, to reprezentujesz Jezusa”. To były takie wskazówki papieża Franciszka i mógłbym ich przytaczać tysiące. Nigdy od papieża nie

wyszedłem, żeby mi udzielił mi jakichś rad.

Czy rzeczywiście, zgodnie ze wskazówkami Franciszka, spędzał Ksiądz noce z bezdomnymi?

Spałem oczywiście w noclegowniach. Nawet w Polsce. Kiedyś spałem u braci albertynów w jednym pokoju z trzema bezdomnymi. Była taka śmieszna sytuacja, którą też potem opowiadałem papieżowi, że kiedy poszedłem się umyć, wracam - wszyscy siedzą na łóżkach, mimo że światło było zgaszone. Jakby się bali, że kardynał będzie spał z nimi. No i położyliśmy się. Była tylko lampa krakowska, która oświetlała okno, okratowane zresztą. W pewnym momencie wstał jeden, który nie spał w piżamie, a był cały w tatuażach. Usiadł na tym łóżku i mówi: „Muszę coś powiedzieć księdzu”. „Niech pan mówi”. „Ja jeszcze nigdy w życiu z żadnym kardynałem nie spałem”. Ja mu odpowiedziałem: „Ja też nie”.

Czytam w książce, że nie wszystkim działalność Księdza Kardynała tutaj, w Rzymie, się podoba.

Ale nie musi się wszystkim podobać. Proszę zauważyć, że działalność Jezusa do tego stopnia się nie podobała, że właściwie po każdym jego przemówieniu wyprowadzano go za miasto lub za wieś i chciano go ukamienować. I to jest zrozumiałe. Nie wszystkim się podobało, że papież Franciszek zorganizował prysznic pod kolumnadą Berniniego przy Placu Świętego Piotra, gdzie od tyłu wieków gwoźdźcia wbicie wolno, bo to jest tak szacowane miejsce kultury. Wtedy jeden z kardynałów mówił mi: „Zabieracie miejsce pielgrzymom. Dlaczego nie zrobicie tego na wzgórzu, tutaj niedaleko, gdzie są dość duże parki? W Watykanie jest tak ciasno. Nie ma miejsca”. Wtedy mnie coś natchnęło i odpowiedziałem temu kardynałowi: „To w takim razie dlaczego ksiądz kardynał mieszka w Watykanie, skoro tam jest tyle miejsca?”. Potem ten kardynał się zdenerwował i już na odchodne, kiedy zobaczył, jak wychodzi ktoś spod prysznicza z kanapką, mówi: „Jeszcze tylko kawy tutaj brakuje”. A ja na to: „Naprawdę! Tak!”. I poszedłem od razu kupić ciśnieńniowy zaparacz do kawy. I od tej pory przez tyle lat wszyscy biedni mają cafe latte i jaką chcą. My też rano po kąpieli chętnie zjemy ciastko, może usiądziemy przy kawie w szlafroku. Dlaczego bezdomni nie mają tego nie mieć? To nas może wkurzać, to nas może denerwować, ale takie jest przywracanie godności.

Ale te osoby, którym się pomaga, zwłaszcza bezdomne, one dalej prowadzą ten tryb ży-

cia. Pomagamy im, a jednak ich życie się nie zmienia. Jak to rozumieć, jak do tego podejść?

Ja się chyba z tysiąc razy już spowiadałem i bardzo często przychodzę z tymi samymi grzechami na nowo. I Pan Jezus moimi grzechami się nie męczy. Ja mam Go naśladować. Dlaczego mam się męczyć drugim człowiekiem, który na przykład nie może wyjść z bezdomności? Bo bezdomność staje się uzależnieniem i chorobą. My im pozwalamy spać pod kolumnadą Świętego Piotra. Mało tego, kupujemy im - co denerwuje niektórych - namioty. W tym miesiącu około 400 namiotów rozdaliśmy, aby zapewnić im jakąś intymność. Dlaczego mają spać zupełnie odsłonięci? My kiedy idziemy do sypialni, też zamykamy swoje drzwi. Więc przynajmniej tyle. Ale oni rano te wszystkie namioty składają i kolumnada jest dostępna dla turystów. To nie jest tak, że my ich zapraszamy do Watykanu, tylko oni tu czują się bezpiecznie. I myślę, że to dobrze o nas świadczy. Natomiast wszystkim proponujemy możliwość powrotu, choć nie robimy tego nachalnie. Oni zawsze wiedzą, że jeśli chcą wrócić do swojego kraju, do rodziny czy w inne miejsce, gdzie wydaje im się, że będzie lepiej, to my jesteśmy w stanie tego samego dnia wyrobić każdemu paszport. Mało tego - ubierzemy go, zdążymy pójść do fryzjera i tego samego dnia możemy go zawieźć na samolot. I na tym się nie kończy. Powiadomimy rodzinę albo miejscową pomoc charytatywną, żeby go odebrano z lotniska. Bardzo często są jednak tu tak długo, że już nie mają do kogo wrócić. Ich żony, dzieci się od nich odwróciły. Wiemy o tym, bo kiedy umierają, nikt nie chce odebrać ich ciała - tak daleko już zaszły sprawy. A one zachodzą daleko wtedy, kiedy nie ma przebaczenia. To jest to, o czym papież Franciszek mówił małżonkom, rodzinom, że możecie się kłócić cały dzień, nawet talerzami możecie rzucać, ale nie połóżcie się spać, jeśli sobie nie przebacycie, bo potem wykopiecie tak wielki dół, że nie będziecie w stanie już żyć, pojednać się.

A jak Ksiądz Kardynał odpowiada na krytykę, że Kościół nie powinien być organizacją charytatywną?

To już słyszałem. My nie jesteśmy organizacją charytatywną. My czynimy to, co robiłby Jezus. A Jezus jest chyba najbardziej krytykowany na świecie i niechciany. Kiedy więc mam podjąć jakąkolwiek decyzję, to nie zastanawiam się, co napiszą w prasie, co będą mówili, tylko co by zrobił Jezus na moim miejscu - i to robię. A jeśli za to dostanę jakieś baty, to tylko potwierdza, że zrobiłem coś dobrego. Ojciec Święty Franciszek powiedział kiedyś:

„Uważaj, jak wszyscy będą klaskali, bo jest to strasznie niebezpieczne dla ciebie. Lepiej niech o tobie mówią źle, a ty rób to, co robiłby Jezus”.

Ksiądz Kardynał spotkał się z Leonem XIV. Na co zwrócił uwagę obecny papież?

Dotychczas był to okres Roku Jubileuszowego i Ojciec Święty wszedł w celebrację wydarzeń zaplanowanych przez papieża Franciszka. I właściwie teraz dopiero, sądzę, Ojciec Święty przedstawi nam własne akcenty i na to czekamy. Mnie Ojciec Święty powiedział, że kontynuujemy to, co było robione. Ale sądzę, że z czasem też nada temu jakiś własny charakter. Obrazowo przedstawię to tak. Mielśmy niedawno konkurs muzyki Chopina i właściwie wszyscy grali te same utwory, ale każdy grał inaczej. Natomiast wszyscy musieli trzymać się nut. Więc my wszyscy trzymamy się Ewangelii. Ale ta interpretacja Ewangelii, kolory Ewangelii mogą być różne i czekamy właśnie na te kolory papieża Leona XIV.

Książka „Idź i czyni dobro” mnie się kojarzy z przewodnikiem duchowym. Ona wymaga pewnej zmiany podejścia, może zmiany życia. Czy kiedy Ksiądz Kardynał został jałmużnikiem, to również wymagało zmiany życia?

Zmieniło się bardzo to życie. Papież cały czas mówił, że musi być wszystko zgodne z logiką Ewangelii, że jak nie wiesz, co zrobić, a do twojej polskiej głowy (papież bardzo lubił ten zwrot, mówił go zawsze, uśmiechając się) nie przychodzi żadne rozwiązanie, to szukaj w Ewangelii sytuacji podobnej, w której jesteś, i zobacz, co by zrobił Jezus. Papież mnie nauczył żyć codzienną Ewangelia i rozwiązywać wszystkie swoje sprawy za pomocą logiki Ewangelii, nie logiki świata. Wiele razy mówił: „Idź przed Najświętszy Sakrament i pomódł się. Idź i pokaż się Panu Jezusowi, czy ty Mu się podobasz”. To zmieniło wszystko. Papież Franciszek miał takie bardzo proste przesłanie. Mówił: „Będziesz zarządzał wielką ilością pieniędzy”. To są dziesiątki milionów euro, nieraz wydawane miesięcznie. I dodawał: „Nasze konto jest dobre, kiedy jest puste. A jeśli nie jest puste, to znaczy, że jesteś najbardziej leniwym Polakiem, jakiego znam”. I to wystarczyło. Wiedziałem, że mam robić wszystko, żeby te pieniądze pomagały innym, a nie żeby te pieniądze były.

Działania jałmużnika i Dykasterii ds. Posługi Miłosierdzia są zakrojone na szeroką skalę, także poza Rzym. Pomoc płynie do Afryki, Azji, do Ukrainy i wielu innych krajów...

To wielka pomoc z inspiracji Ojca Świętego.

To oznacza dysponowanie ogromnymi kwotami, które trzeba umiejętnie wydawać. W jaki sposób pomoc na tak wielką skalę się organizuje?

Jakby przyszło myśleć o tym, to byśmy nie dali rady. Natomiast życie przynosi wiele rozwiązań. Chociażby obecnie w kilku krajach azjatyckich przeszedł tajfun, niszcząc wielką liczbę domów i statków. Rodziny rybackie nie mają z czego żyć. Takie sytuacje zgłaszają nam nuncjusze. A jeśli sami się dowiadujemy, to pytamy, czy możemy pomóc i w jakiś sposób. Nuncjusz mówi, że zostało zniszczonych sześćdziesiąt łodzi rybackich, potrzeba nowych silników. Silniki kosztują tyle i tyle. I my drogą dyplomatyczną jesteśmy w stanie w ciągu jednego, dwóch dni te pieniądze przesłać i uratować życie tylu rodzinom. To jest kropla w morzu, ale morze stworzone jest z kropel, więc im więcej tych kropel, tym bardziej to morze jest zachwycające.

A te pieniądze skąd pochodzą?

One pochodzą z ofiar za pergaminu, których dziesiątki tysięcy wysyłamy po całym świecie jako błogosławieństwa, i wszystko, co za nie przychodzi, jest rozdawane potrzebującym. Ludzie też widzą, co robimy, i dlatego wpłacają pieniądze. Zostawiają Ojcu Świętemu w testamencie lub przekazują za życia. Papież mi dawał do sprzedania samochody, które otrzymywał. Sprzedawaliśmy je za pięć-krotnie większą wartość niż miały. Dlatego, że ludzie wiedzieli, że te pieniądze pójdą do Gazy, na Ukrainę, na kartki, na leki, na szpitale w Afryce. Jedna z rodzin nam przekazała za życia papieża Franciszka 3 miliony euro na rzeczy sanitarne w najuboższych krajach Afryki, czyli np. na Madagaskar. I tam, za sprawą nuncjusza, powstało ambulatorium z tych pieniędzy. Jest to pomoc cały czas czyniona zgodnie z Ewangelia. Papież mi kilka razy powtarzał: „Pamiętaj, że gdzie są pieniądze, jest też diabeł, który tańczy. Jeśli będziesz robił to zgodnie z Ewangelia, to dobrze. Jeśli nie, to może się skończyć to więzieniem”. Papież nie bał się takich stwierdzeń.

Czy mógłby Ksiądz Kardynał przekazać także poradę praktyczną, właśnie jak papież Franciszek, dla tych, którzy chcieliby coś zrobić dla innych?

Jako człowiek wierzący, jako chrześcijanin, jak nie wiesz, co zrobić, to pytaj się, co by zrobił Jezus na Twoim miejscu. A jak Ci do głowy nie przychodzi, co by zrobił Jezus, to poszukaj w Ewangelii podobnej sytuacji, a zobaczysz, że to będzie sytuacja najpiękniejsza - najpiękniejsze rozwiązanie w Twoim życiu.

BĘDZIE REMONT GROTY NARODZENIA W BETLEJEM. PIERWSZY OD 600 LAT

Zapowiedź remontu – pod auspicjami prezydenta Palestyny – ogłosiły wspólnie Grecko-Prawosławny Patriarchat Jerozolimy oraz Kustodia Ziemi Świętej. Pomoc zgłosił Apostolski Patriarchat Ormiańsko-Prawosławny

Mariusz Grabowski

Pierwsze informacje o przygotowywanym remoncie świętego miejsca pojawiły się w listopadzie 2025 r., kiedy to palestyński przywódca Mahmud Abbas przebywał w Rzymie. Spotkał się z Leonem XIV, otworzył wystawę „Bethlehem Reborn” w kompleksie San Salvatore in Lauro i zapowiedział wznowienie prac w miejscu – jak to określono – narodzin „Księcia Pokoju”.

Srebrna Gwiazda

Więcej szczegółów pojawiło się w obecnym komunikacie Kustodii Ziemi Świętej, wydanym w Jerozolimie, a opublikowanym w Vaticannews.va/pl. Renowację przeprowadzi włoska firma Piacenti SpA z Prato, ta sama, która dwa lata temu remontowała betlejemską Bazylikę Narodzenia Pańskiego. Wybór ten – czytamy – „podyktowany jest potrzebą zapewnienia ciągłości metodologii, mistrzostwa rzemieślniczego oraz wrażliwości artystycznej wobec miejsca o bezprecedensowej wartości sakralnej”.

Jak informuje strona internetowa Kustodii Ziemi Świętej, prace przygotowawcze zostały już zakończone, a właściwe roboty mają się wkrótce rozpocząć. Poszanowany będzie „prezydencki dekret dotyczący renowacji tego miejsca”, wydany w 2024 r., oraz historyczne status quo regulujące miejsca święte.

Rozpoczęcie prac zaplanowano na przełom stycznia i lutego. Obejmą one cały obszar Groty Narodzenia – od nagiej skały, marmurowych posadzek przez kolumny, mozaiki, aż po srebrną gwiazdę, która ukazuje konkretne miejsce narodzin. Renowację przejdzie również ołtarz. Remont przeprowadzi włoska firma zajmująca się już wcześniej konserwacją samej bazyliki.

Włosi w bazylice

Jak wyjaśnia dla Vaticannews Giammarco Piacenti ze Piacenti SpA, na placu budowy będzie pracowało na zmianę od sześciu do ośmiu osób, także miejscowych. „Wielu robotników – dodaje – szkoliśmy od 2013 r., odkąd pracujemy w Ziemi Świętej”. Oprócz prac w samej grocie projekt obejmuje również działania techniczne wzmacniające w przyległych częściach.

Remont jest trudny, ale nie aż tak spektakularny, jak remont bazyliki sprzed pięciu lat. „Wtedy stan dachu powodował, że „kiedy padał deszcz, woda przeciekała do środka po ścianach i mozaikach, co groziło nawet jej zawaleniem – tłumaczył w 2020 r. w Radiu Watykańskim Giuseppe Alessandro Fichera z Uniwersytetu w Sienie. I dodawał: „Interwencji wymagała również fasada bazyliki. Musieliśmy sobie poradzić z niebezpiecznym pochyleniem się fasady. Dzięki temu można było usunąć struktury zabezpieczające zamontowane

wane jeszcze przez Brytyjczyków w latach 30. ubiegłego wieku, które zasłaniały wspinające drewniane drzwi do bazyliki”.

W ostatnim etapie odrestaurowano mozaiki na posadzkę, które pochodziły jeszcze z czasów pierwszej bazyliki wybudowanej za cesarza Konstantyna. Przy tej okazji przeprowadzono też badania archeologiczne, by lepiej poznać historię tej świątyni i odsłonić zakryte dotąd mozaiki.

Duch ekumenizmu

Remont Świętej Groty ma silny wymiar ekumeniczny – ma być znakiem współpracy greko-prawosławnych i franciszkanów, kustosz Groty Narodzenia. „Projekt ten – czytamy w komunikacie – ucieleśnia wspólne chrześcijańskie zaangażowanie na rzecz ochrony duchowego, historycznego i kulturowego dziedzictwa dla przyszłych pokoleń oraz na rzecz poszanowania godności miejsca, w którym orędzie chrześcijańskie przybrało widzialną formę i gdzie na przestrzeni wieków gromadziły się wierni wszystkich narodów”.

To właśnie tutaj tajemnica Wcielenia weszła w historię, a wyznaczenie chrześcijańskie otrzymało swój ziemski początek. „Renowacja tego świętego miejsca oznacza ochronę ciągłości wiary, pamięci i pobożności w ziemi Bożego Narodzenia. Dzięki temu wspólnemu wysiłkowi Kościoły Jerozolimy strzegą powierzonych im dziedzictwa ewangelicznego i zapewniają, że wierni wszystkich tradycji będą mogli nadal z czcią nawiedzać miejsce narodzin Chrystusa. Z Betlejem światło Narodzenia nieustannie oświeca świat, dając świadectwo trwałej obecności chrześcijan w Ziemi Świętej oraz nadziei, która promieniuje ze Świętej Groty, w której narodził się Zbawiciel” – czytamy w komunikacie.

Remont a polityka

Przy ekumenii pojawił się też aspekt polityczny: renowacja ma przynieść wymierne finansowe



O tym, że zarówno bazylika, jak i Grota wymagają remontu, poinformowali już w 2008 roku duchowni z Ziemi Świętej

wsparcie wielu rodzinom pracowników zaangażowanych w ten projekt, a tym samym lokalnej gospodarce Betlejem, dotkniętej kryzysem na skutek konfliktu między Izraelem a Hamasem oraz wstrzymaniem pielgrzymek wiernych.

Od kiedy w 2015 r. UNESCO wpisało bazylikę na listę dziedzictwa kulturowego jako „pierwszy palestyński obiekt”, stała się ona ważnym symbolem palestyńskiej walki o niepodległość. Cztery lata wcześniej UNESCO – jako pierwsza oengetowska agencja – uznała też Palestynę za państwo członkowskie. Betlejem znajduje się na palestyńskich terytoriach, okupowanych przez Izrael od 1967 r., na których palestyński rząd sprawuje ograniczoną władzę.

Remont trzeba zatem widzieć na tle obecnej sytuacji politycznej Ziemi Świętej. „Sytuacja chrześcijan w Ziemi Świętej jest dramatyczna” – alarmuje konstytucjonalista dr Bartłomiej Wróblewski w wywiadzie dla RadioMaryja.pl. „Dwa tysiące lat obecności chrześcijan w Ziemi Świętej jest teraz pod wielkim znakiem zapytania. Podobne procesy – to też trzeba uczciwie powiedzieć –

przebiegają po stronie palestyńskiej” – mówi.

I dodaje: „Jeszcze 100 lat temu w Betlejem 80 proc. mieszkańców to byli chrześcijanie. Dzisiaj to jest ok. 10 proc. Obecność chrześcijan, także w tej części palestyńskiej, jest coraz mniejsza. Naszym obowiązkiem jako chrześcijan jest po pierwsze ujmowanie się za naszymi siostrami i braćmi w wierze, a po drugie oczekiwanie cywilizacyjnego standardu związanego z zapewnieniem wolności religijnej dla wszystkich”.

Trzy Kościoły

O tym, że zarówno bazylika, jak i Grota wymagają remontu, poinformowali już w 2008 r. duchowni z Ziemi Świętej. Władze Autonomii Palestyńskiej powołały wówczas specjalny komitet, który miał „zająć się remontem” – mówił w 2026 r. zarządzający projektem palestyński inż. Afif Tweme.

Ale remont wydawał się niemożliwy: Grotę odwiedzało w tamtym czasie od 1 do 1,5 mln pielgrzymów. Poza tym funkcjonował układ z poł. XIX w., szczegółowo rozdzielający jurysdykcję nad bazyliką między

trzy Kościoły: katolicki, ormiański i grecko-prawosławny.

O. Dżamal Chader, rektor seminarium Łacińskiego Patriarchatu z Bet Dżala, tak tłumaczył to w rozmowie z PAP: „Edykt z czasów otomańskich, wydany w 1852 roku przez sułtana, w pewnym sensie zatrzymał historię bazyliki. Nic od tego czasu nie mogło się zmienić. Stąd problem z remontem – bo wszystkie trzy Kościoły muszą się zgodzić. Częścią umowy z trzema Kościołami była gwarancja, że nic się nie zmieni w status quo w związku z obecnym remontem”.

„Znak nadziei”

Bazylika i Grota Narodzenia przechodziły w swej historii wiele dramatycznych momentów. Np. w 1009 r. kalif Hakim nakazał ich zburzenie i tylko cudem uniknęły ruiny. Z kolei w okresie wypraw krzyżowych (XII-XIII w.) ozdobił ją mozaikami i malowidłami w stylu bizantyjskim, położono również nowy dach.

– Był to wynik – czytamy w opracowaniu „Tu narodził się Jezus Chrystus”, napisanym przez ks. prof. Waldemara Chrostowskiego dla tygodnika „Wszystko, co najważniejsze” –

współpracy konstantynopolskiego cesarza Manuela Komnena (1143-1180) i jerozolimskiego króla Amalryka I (1162-1174). Wspólne przedsięwzięcie zapowiadało zjednoczenie Kościołów Wschodu i Zachodu, podzielenych schizmą w 1054 r., ale niestety, nigdy do tego nie doszło. Przebudowano wtedy wejście do Groty Narodzenia, a jej wnętrze wyłożono marmurem”.

To był ostatni remont świętego miejsca przed obecnym. Stąd decyzja Mahmuda Abbasa o renowacji przedstawiona jako słusznie „znak nadziei i odrodzenia dla Ziemi Świętej”.

„Stajnia bez siana”

Nowożytnie dzieje bazyliki i Groty to ciągła konfrontacja z muzułmanami, a do tego napięcia wewnątrzchrześcijańskie – między katolikami a prawosławnymi. Wyznawcy islamu oszczędzali bazylikę, przede wszystkim ze względu na miejsce, jakie Jezus i Maryja, Jego Matka, zajmują w ich religii.

Co się zaś tyczy podziałów w obrębie chrześcijaństwa, bazylika i Grota Narodzenia przechodziły z rąk do rąk, co skutkowało coraz większym bałaganem. Feliks Fabri, pielgrzymując w XV w., opisał wnętrze bazyliki jako „stajnię bez siana, sklepik aptekarza bez aromatycznych garuszków, księgarnię bez książek”. Wkrótce Turcy przejęli panowanie nad Bliskim Wschodem, a wykorzystując podziały w obrębie chrześcijaństwa, przyznawali prawo własności Bazyliki Narodzenia raz franciszkanom, a kiedy indziej prawosławnym Grekom.

„W 1717 r. franciszkanie umieścili w Grocie Narodzenia nową srebrną gwiazdę z napisem w języku łacińskim, która mimo ciężkich perturbacji jest tam do dzisiaj. Jednak 40 lat później Grecy znowu przejęli bazylikę, a w grocie również ołtarz Narodzenia. Trzęsienie ziemi w 1834 r. i pożar w 1869 r. zniszczyły część wyposażenia świątyni, lecz Grota Narodzenia przetrwała” – dodaje ks. prof. Chrostowski.

O Nowej Hucie, betonie i... czułości

Płot pojawił się nagle i z dnia na dzień przeciął codzienną trasę między domem a przedszkolem. Dla dorosłych był utrudnieniem, dla dzieci – katastrofą. „Beton, mama, beton!” – krzyczały, trzymając się metalowych prętów ogrodzenia, jakby chciały powstrzymać znikanie świata, który znały. Tak zaczęła się jedna z najczulszych i najbardziej konsekwentnych fotograficznych opowieści o Nowej Hucie ostatnich lat. Opowieść Katarzyny Laskus-Stwory – nowohuckiej fotografki, matki, obserwatorki, archiwistki codzienności. I opowieść o Alei Róż

Jolanta Tęcza-Ćwierz

Wystawa artystki to coś znacznie więcej niż dokument remontu. To reporterska kronika przejścia od znanej, betonowej codzienności ku nowej formie życia miejskiego. Ale też intymny pamiętnik matki, mieszkanki Nowej Huty, fotografki, która przez rok – dzień po dniu – obserwowała, jak znika i rodzi się na nowo jedna z najważniejszych przestrzeni dzielnicy.

Impulsem była złość

Nie planowała tego projektu. Ale on „sam do niej przyszedł”. – Postawili nam płot. Byliśmy zaskoczeni i źli – wspomina artystka.

Jej dzieci miały wtedy dwa (bliźniaki) i pięć lat. Aleja Róż była dla nich „betonem” – miejscem zabaw, spotkań, jazdy na rowerze i obietnicą: „Widzimy się na betonie”. I kiedy beton zniknął, dzieci krzyczały: „Beton, mama, beton! Ukradli nam beton!”.

Ten dziecięcy okrzyk stał się później tytułem publikacji towarzyszącej projektowi: „Beton, mama, beton”. I kluczem do całej opowieści. Bo w tej historii beton nie jest wrogiem, ale przyzwyczajaniem i oswojeną przestrzenią.

Złość była pierwszym impulsem. A reakcją na nią były zdjęcia. Katarzyna Laskus-Stwora zaczęła fotografować remont codziennie, idąc z dziećmi do przedszkola. Z czasem złość



Katarzyna nie planowała tego projektu. Sam przyszedł

zaczęła się rozszepiać na ciekawość, uważność, potrzebę zrozumienia. Pomogło spotkanie z Gosią Szymczyk-Karnasiewicz z Domu Utopii, która wprowadziła ją w kulisy przedsięwzięcia i zachęciła do kontynuowania dokumentacji. Rok fotografowania. 365 zdjęć. Codziennik.

Aleja Róż bez pomnika

Aleja Róż to miejsce szczególne. Obciążone historią, symbolami, narracjami narosłymi przez dekady. Wchodząc w ten projekt, artystka nie próbowała ich ilustrować ani burzyć. Raczej uważnie je obserwowała. Jej wystawa „Jestem z Huty” to tysiące fotografii, szkicowniki, dźwięki remontu, fragmenty mozaiki, stereoskopia, multimedia, autoportrety i zdjęcia rodzinne – a wszystko to układa się w wielowarstwowy zapis transformacji.

Każda fotografia jest świadectwem pracy, napięcia i wreszcie adaptacji.

Są tu ludzie, którzy „ruszyli beton”: budowlancy, projektanci, ideowcy. Portretowani z uwagą i szacunkiem we współpracy z Kubą Ociepą. Zostali wpisani w historię miejsca.

Są momenty, które dla artystki miały ogromną wagę: sadzenie pierwszych róż, układanie mozaiki, powrót do pierwotnej koncepcji Alei Róż. Jednego dnia wzięła nawet wolne w pracy, żeby nie przegapić chwili, gdy pierwszy krzaczek róży trafia do ziemi.

– Chciałam, żeby ci ludzie poczuli się ważni – mówi Katarzyna Laskus-Stwora. I tak się stało. Gdy wręczała im książkę dokumentującą projekt, widziała ich radość. Zostali zauważeni, nazwani, zapamiętani.



Reportaż Katarzyny nie kończy się wraz z oddaniem Alei Róż do użytku

Nowa Huta jako dom

W tle miejskiej narracji pulsuje osobisty wątek. Rodzina i Nowa Huta funkcjonują tu jak światy równoległe, splecione w codzienności. Autoportrety i zdjęcia dzieci nie są dodatkiem, ale opowieścią o czasie, który płynie, o dorastaniu, o oswojaniu zmian.

Wystawa Katarzyny Laskus-Stwory jest ciepła, choć mówi o dyskomforcie. Surowa, choć pełna czułości. Pokazuje Nową Hutę nie jako muzeum idei ani betonowy mit, lecz jako żywy organizm.

To także refleksja nad pamięcią. Fotografia – pozornie trwała – zmienia swoje znaczenia wraz z kolejnymi zdarzeniami. Artystka wraca do tych obrazów i odkrywa je na nowo. W innym świetle. Z innym ładunkiem emocjonalnym.

Po rocznym remoncie Alei Róż wróciła. Inna, odmieniona, bardziej zielona. Beton ustąpił miejsca nowym formom życia miejskiego. Ale w opowieści pani Katarzyny nic nie zostało stracone. Wszystko zostało uwiecznione – z uwagą i miłością do miejsca, które dla wielu jest po prostu domem.

Jednak reportaż Katarzyny Laskus-Stwory nie kończy się wraz z oddaniem Alei Róż do użytku. To ważne, bo w tej historii nic nie jest ostateczne. Remont się skończył, płoty zniknęły, róże zakwitły i zrzuciły płatki, ale opowieść trwa dalej, zapisywana w tym samym kadrze, do którego artystka wraca dziś dwa-trzy razy w miesiącu. Już nie po drodze do przedszkola. Teraz trzeba się tam wybrać specjalnie. Podążać wysiłkiem.

– Dzieciaki mi urosły – mówi. – To już nie jest moja codzienna trasa. Ale wracam.

Ten gest powrotu jest kluczowy. Bo fotografia w tym projekcie nie służy zamknięciu procesu, lecz jego ciągłemu sprawdzaniu. Czy to miejsce nadal mówi? Czy zmiana się ustabilizowała? Jak pamiętamy to, co było?

Z tysięcy zdjęć trzeba było dokonać selekcji tych, które po-

każe na wystawie. Katarzyna Laskus-Stwora nie ukrywa, że wybierała „te najlepsze”, ale „najlepsze” nie znaczy tu efektowne. Raczej: najbardziej nosne, najbardziej prawdziwe. Publikacja i wystawa układają się w rozdziały: Ludzie, którzy ruszyli beton, ...którzy sadzili lipy, ...którzy kładli mozaikę, ...którzy sadzili róże. Ten porządek jest niemal rytualny, jakby artystka nadawała sens temu, co z zewnątrz wydawało się tylko chaosem remontu.

Bo chaos był realny. Hałas, kurz, zmęczenie, konieczność chodzenia „naokoło”, uczenia się nowych ścieżek. Fotografie pokazują płoty, maszyny, nieprzebyte przejścia – wizualny zapis dyskomfortu.

Ale Katarzyna Laskus-Stwora idzie dalej. W ostatnich minutach remontu orientuje się, że czegoś brakuje. Dźwięku. Biegnie, by go uchwycić. Wystarczyły cztery minuty spaceru wokół gotowej Alei Róż, by nagrać kroki, rozmowy, szum miasta, ostatnie odgłosy maszyn. Gdy kończy nagranie, robotnicy pakują sprzęt i odjeżdżają. Remont też się kończy, ale dźwięk zostaje.

Na wystawie można go usłyszeć.

Zmiana

Można też zobaczyć multimedialny „Codziennik” – roczny zapis zmiany, dzień po dniu. Dzięki temu odbiorca nie tylko patrzy, ale doświadcza. Zatrzymuje się. Dotyka. Słucha. To wystawa o pracy, dlatego wymaga pracy od widza.

Z czasem złość ustępuje oswojaniu. To widać na fotografiach. Zaskoczenie przechodzi w ciekawość, chaos w porządek, opór w akceptację.

– Przyzwyczajamy się do zmian. To ludzkie – mówi artystka.

Ale właśnie dlatego potrzebny jest dowód. Pamiętnik. Archiwum. Bo po kilku latach nikt już nie będzie pamiętał hałasu, płotów i złości. A fotografia jest dowodem, że to się wydarzyło. Było trudne. Było prawdziwe. „Mógł nadpisać prze-

szłość, a ja chciałam autentyczności” – mówi artystka.

Jej projekt zaczyna się 11 września 2022 roku i kończy dokładnie rok później. Ale jego sens wykracza poza daty. Urbanistyka splata się tu z psychologią zmiany – z lękiem, utratą kontroli, wychodzeniem poza strefę komfortu. I z czasem. Z nieodwracalnością. Z poczuciem straty. Fotografia staje się narzędziem oporu wobec zapomnienia, ale też próbą oswojenia nieuchronności.

Ten opór z czasem zmienia się niemal w obsesję – kolekcjonowanie kadrów, wymyślanie kolejnych rozdziałów, poczucie, że projekt nie może się skończyć, bo jeszcze „czegoś brakuje”.

Wystawa zawiera także bardzo osobisty cykl „Dość”. To zapis traumy, bólu, czasu granicznego. „Autoportret ku przyszłości” – zapis codzienności dla dzieci – zostaje nagle naznaczona śmiercią męża artystki.

– Wtedy zrozumiałam wagę tego wszystkiego – mówi pani Katarzyna. – Mąż zostawił mi robotę na życie.

I rzeczywiście: to, co oglądamy, nie jest tylko opowieścią o Alei Róż. To praca na całe życie. Kolekcjonowanie śladów. Miasta, ludzi, chwil. W książkowych szkicownikach pojawiają się fotografie sprzed dwudziestu lat, spacer z wózkiem, psem i aparatem, osiedle Centrum C w momencie przeobrażeń, destrukcja fotografowana tydzień po tygodniu – i wreszcie najnowszy projekt – półtorakilometrowy spacer od Placu Centralnego do Bulwarowej, rytmiczny zapis Alei Róż wyznaczony przez latarnie.

– Moja praca jest dla ludzi, którzy nie mogą przyjechać do Huty. Ale ja z Huta mogę przyjechać do nich.

Jeśli więc spotkacie na Alei Róż kobietę, która stoi i fotografuje ten sam kadr – zatrzymajcie się na chwilę. Może traficie do jej opowieści. Bo – jak mówi artystka – jesteście istotni. A Nowa Huta, zapisana z taką czułością, okazuje się nie tylko miejscem, lecz wspólną pamięcią, która wciąż się pisze.

SZCZERA SPOWIEDŹ NORBIEGO: WYGRAŁEM ŻYCIE, ALE NAJPIERW PRZEGRAŁEM SIEBIE

– To nie do wiary, jak można kłamać: że matka w szpitalu, ojciec nie żyje, byle tylko pojechać grać. Hazard bazuje na oszustwie. Na kłamstwie. Na niestworzonych historiach – mówi Norbi, wokalista i prezenter telewizyjny, który historię swojego uzależnienia właśnie opisał w książce

Anita Czupryń

Kiedy ludzie słyszą „Norbi”, od razu odpowiadają: „Kobiety są gorące. Aha, aha”. Jak dziś patrzysz na to, że cały kraj śpiewał Twój refren? Śpiewa do tej pory! Wciąż gramy koncerty, i to sporo. W ubiegłym roku zagraliśmy ich 80. Kiedyś było powyżej 100, ale te 80 koncertów to też jest świetny wynik. Dziś na moje koncerty przychodzi 18-19-letnie dzieciaki i śpiewają te stare kawałki, bo pewnie mamusia z tatą mówili im: „Słuchaj, w latach 90. to był bardzo popularny koleś”. Od dwóch czy trzech sezonów obserwujemy taką tendencję, że ten target się powiększył. Nie dość, że przychodzą nasi ludzie, 35 i 40 plus, to również młodzi. Ciekawe zjawisko.

Tylko że wtedy, w latach 90., gdy cały kraj śpiewał, że „kobiety są gorące”, to Twoje prywatne życie zaczynało się sypać. Co wtedy czułeś? Nic nie czułem. Zagłuszały mnie alkohol, imprezy, bardzo duża liczba występów i cały ten show-biznes. Żyłem w swojej bańce. Bardzo późno wyciągnąłem wnioski.

Dziś wracasz z książką „Wygrałem życie, ale najpierw przegrałem siebie”. To Twoja spowiedź, bez filtra. Rzeczywiście jest tak, że aby wygrać własne życie, trzeba coś zapłacić jakąś cenę? Tak uważam, bo tak było w moim przypadku. Chociaż pewnie są ludzie, którzy przegrywają, podnoszą się, znowu upadają. U mnie było tak, że uderzenie o głębię nie było ostateczne. Nawet jak przegrywałem w kasynie

duże pieniądze, to one po chwili wracały; cały czas też dzwonił telefon, cały czas miałem kontrakty; grałem koncerty, zapraszali mnie na eventy i diabli wiedzą, co jeszcze. To jest jeszcze gorsza sytuacja niż naprawdę upaść raz, a kompletnie, leżeć i kwiczeć. Bo tu niby leżysz, niby jest „ojej, ojej”, a po miesiącu znowu jest super. Na terapii, na którą chodziłem później przez dwa lata, usłyszałem: „U ciebie to właśnie było najgorsze, że zawsze był dopływ gotówki”. Dopływ gotówki jest cały czas. A ja poruszałem się jak ten chomiczek w kołowrotku. Albo jak ten Syzyf szedłem pod tę górę, spadałem i znowu się wspinałem.

Jak pamiętasz ten moment, w którym powiedziałeś sobie: „Koniec z hazardem”? Opisałem to w książce. Moja żona Marzenka zobaczyła, że z naszego konta zniknęło 100 tysięcy złotych. Akurat wróciłem z koncertu. Zapytała: „Stary, gdzie jest 100 tysięcy? Sto koła nagle wyparowało?!” To była konkretna rozmowa. Teraz mówię o tym spokojnie, bez żadnych emocji, ale w tamtym momencie działo się jak na wojennym filmie, jakbym stanął przed plutonem egzekucyjnym. Żarty się skończyły. Marzenka powiedziała: „Zapraszam na terapię”. „No, dobrze” – odpowiedziałem. Ale jej to nie wystarczyło. „Ale co dobrze? Masz telefon, szukaj, dzwoń, umawiaj się”. Zabrała wszystkie moje dokumenty. Poblakowała konta. Nie poszedłem na prywatną terapię, tylko najpierw musiałem stanąć w kolejce z innymi

do psychiatry i powiedzieć, co jest grane. Dopiero wtedy skierował mnie na terapię, Marzenkę również, bo była współuzależniona. I tak przez dwa lata śmigałem. Ludzie, widząc mnie w ogólnej przychodni dla uzależnionych, bo nie jest wydzielone, czy to dla alkoholików, narkomanów, seksoholików czy hazardzistów, śmiali się: „Norbas jest alkoholikiem”. Bo ludziom taka przychodnia kojarzyła się głównie z tym problemem, który w Polsce zdarza się najczęściej.

Zakaz grania, odcięcie od pieniędzy – jak to wtedy odbierałeś? Jako drogę do wolności czy przeciwnie, że nałożono Ci kajdany? Po pierwsze zdecydowałem, że to jest moja pokuta za te wszystkie lata. Po drugie, ucieszyłem się, że nie mam żadnych pieniędzy. Nareszcie. Poczułem się wolnym człowiekiem.

Od tamtej pory Twoja noga w kasynie już nie powstała? Nie. W ogóle nie ma takiej możliwości. Minęło już parę ładnych lat. Odbudowałem się i dziś wszystko pięknie się toczy, wspaniale mi się układa.

Ile pieniędzy przepuściłeś w kasynie?

UMIAŁEM GRAĆ NA SKRZYPCACH, BYŁEM NAWET NIEZŁY, JAK MÓWIONO, ALE NA SCENIE CZUŁEM SIĘ TAK, JAKBY MI KTOŚ WSADZIŁ DO ŚRODKA KOŁEK

Nie da się tego do końca precyzyjnie obliczyć. Przyjmuję, że rocznie w kasynie wygrywałem 500 tysięcy złotych. Następnie, w trakcie tego samego roku, przegrywałem to, co wygrałem, i dorzucałem jeszcze swoje 500 tysięcy. Obrót roczny wynosił więc półtora miliona, a przegrana to 500 tysięcy rocznie. No to policz. Jeśli tak na dobre zacząłem grać na początku lat 2000, z różnymi przerwami, a przestałem gdzieś w 2017, to przez te kilkanaście lat poszło parę ładnych milionów.

Siedem milionów złotych. Daleko mi do Michała Wiśniewskiego, który twierdzi, że w kasynie przegrał 40 milionów. Ale dziś to nieważne. Już nie ma znaczenia, czy miałem milion, czy 100 tysięcy, czy 10 tysięcy. Jeżeli w tym się jest, a miałem i takie momenty, że wygrywałem co miesiąc przez pół roku. Co poszedłem do kasyna, to wygrałem. W mojej chorej wtedy głowie pojawiły się wtedy takie myśli: „Po co mi te koncerty, te eventy, ten show-biznes? Przecież ja będę żył z hazardu”. Po czym mijano parę miesięcy, wygrywałem 500 tysięcy złotych, a za trzy, cztery dni przegrywałem wszystko i jeszcze dokładałem swoje. Tak to działało.

Show-biznes w tamtym czasie sprzedawał chodzenie do kasyna jako coś eleganckiego. Traktowałeś to jak do palacz, styl życia?

Pierwszy raz poszedłem do kasyna w 1999 roku. Kręciliśmy wtedy program w Gdańsku, dla telewizji. Ale ten mój złoty wiek kasynowy – jak to brzmi, swoją drogą – to są lata 2000. Wtedy już do kasyna chodzili różni ludzie, też nie bardzo bogaci, i uwierz mi, chodzili i zupełni biedacy. Tylko że w moim przypadku była jeszcze trzecia strona tego medalu: jak przegrywałeś w kasynie, to musisz cały czas pracować. Musisz dawać te koncerty, musisz o to zabiegać. Oczywiście, telefony wciąż dzwoniły, ale to był taki czas, że grałem wszędzie i za każdą stawkę, bo cały czas potrzebowałem dopływu gotówki, potrzebowałem hajsu. To było błędne koło.

W książce pojawia się zdanie, że grałeś w kasynie „żeby nie bolało”. Co Cię miało nie boleć: dzieciństwo, samotność, lęki, poczucie, że jesteś niewystarczający?

To jest tak: masz tych koncertów mnóstwo, więc wygląda na to, że ludzie cię lubią, chcą cię słuchać. Ale jest też grupa ludzi, która cię nie lubi, pokazuje ci fucka. Czyli z tej swojej bańki nagle wychodzisz gdzieś w Polsce i dowiadujesz się, że nie wszyscy cię kochają. Mnie to osobście bardzo wtedy dotykało. Przecież jestem takim fajnym gościem, takim wesołym koleśkiem.

Norbi, swój chłopak – mówili. Tak, właśnie. Ale jednak, jak widzisz, nie do końca. Hip-hopowcy mieli mnie za szmarciarza. Teraz patrzę na to z perspektywy czasu i to jest dość śmieszne, ale dwadzieścia parę lat temu zupełnie inaczej to wyglądało. Więc czułem się trochę jak alkoholik, który topi smutki w butelce. W kasynie nie tyle topiłem smutki, co kasyno było moją odskocznią. Oczywiście tam też podawali alkohol, więc chlało się na umór i jeszcze do tego grałem. I wszyscy mnie kochali. Każdy mnie akceptował, bo miałem pieniądze. Klepali mnie po plecach, kłaniali się w pas. Ale ja też byłem miły do krupierów. Nie było tak, że oto przychodzi Norbi, on ma hajs, to bądźcie dla niego mili. Sam też nie udawałem kogoś, kim nie byłem; potrafiłem rozśmieszyć towarzystwo, sprawić, że było wesoło. Nawet kiedy przegrywałem, to zawsze z klasą. Co za sformułowanie, swoją drogą, w takiej sytuacji.

W książce ujawniasz, że już w dzieciństwie pociągał Cię hazard. Skąd się u Ciebie wzięło się ten gen hazardzisty?

W rodzinie takich klimatów nie było. Ani matka, ani ojciec, ani kuzyni, nikt nie był zamieszany w ten proceder; tylko ja, i to od małego. Grałem na monety z chłopakami, wszystkie oszczędności ze Szkolnej Kasy Oszczędności przewaliłem w Krynicy Morskiej. W Olsztynie bywałem w salonach gier. Zawsze mnie do tego ciągnęło. Dlaczego? Diabli wiedzą.

Wygrana daje chwilową euforię, wyrzut hormonów szczęścia i to uzależnia. W Tobie wyzwalalo się poczucie, że jesteś szczęściarzem?

Kiedy wygrywałem, to, tak jak mówisz, była euforia, był ten substytut szczęścia, ale kiedy przegrywałem, to chciałem się odegrać. Ileż to razy obiecywałem sobie w trakcie tych lat, że idę ostatni raz, tylko się odegram. Minał miesiąc, dwa, czasami nawet przez pół roku nie zaglądałem do kasyna. Ale uzbierało się trochę grosza i... Jest takie ładne słowo: „delikatnie”. Używają go ci, co biorą narkotyki, i ci, co piją alkohol. Mówią: „Dziś delikatnie, tylko jednego drinka”, a kończą na 25 drinkach. Tak samo było tutaj: mówiłem sobie, że zagram delikatnie za 1000 złotych. Kończyło się na przegraniu 50 tysięcy czy 120 tysięcy.

7 milionów zostawić w kasynie to brzmi szokująco, ale też, jak mówią, pieniądze rzecz nabyta. Jaka jest prawdziwa zapłata za chodzenie do kasyna?

Prawdziwa zapłata jest straszna. Zaczniemy od zdrowia, bo to jest coś, co każdy ceni, choć, jak się okazuje, różnie z tym bywa. W moim wypadku była to nerwica. Nabawiłem się jej już wcześniej, a początku kariery. Trzy lata po moim wielkim sukcesie schudłem do 50 kg i nie wiedziałem, co jest grane. Neurolog w Olsztynie postawił diagnozę: nerwica wegetatywna somatyczna. Czyli kumulacja stresu z dzieciństwa, kiedy bardzo przeżywałem swoje występy ze skrzypcami i to, że pokazują mnie palcami. Wyobraź sobie, szedłem przez olsztyńskie Zatorze ze skrzypcami, kryjąc się, bo to był obciach. No, ale mimo wszystko chciałem grać na tych skrzypcach. Tylko że to się wiązało z publicznymi występami, życiem na świeczniku i z tremą. Umiałem grać na skrzypcach, byłem nawet niezły, jak mówiono, ale na scenie czułem się tak, jakby mi ktoś wsadził do środka kołek. Trema mnie kompletnie rozwalala. I to się kumulowało. Kiedy już zacząłem występować jako Norbi, miałem jedną pio-



Norbi: Kiedyś potrzebowałem dawać koncerty, żeby mieć pieniądze na hazard. Teraz moja adrenaliną jest to, aby mieć zapelniony kalendarz koncertami i artystycznie być lepszym

senkę, która stała się hicio-rem, a musiałem zagrać godzinny koncert. Czasem bywało, że te „Kobiety są gorące” śpiewałem pięć razy. No, ale to były inne czasy. Odblokowałem się po drugiej czy trzeciej płycie, kiedy tych piosenek było już więcej. Natomiast to wszystko tak mnie sieknęło, że pojawiła się nerwica. Dostałem leki, po roku z 55 kg przybrałem do 85 kg i można powiedzieć, że było okej. Ale nigdy już nie było okej. Były nawroty, pojawiały się objawy takie jak przy padaczce. Jadę samochodem i nagle skaczą

pod sufit. Tych objawów jest zresztą cała masa: a to są lęki, a to skacze mi ciśnienie. Żeby była jasność, ja to wszystko mam do tej pory, mimo że nie gram w kasynie, że od 10 lat nie piję alkoholu. Najgorzszemu wrogowi nie życzę tych stanów, których doświadczam. Na szczęście nie są tak silne jak kiedyś, pojawiają się głównie przy zmęczeniu. Wiesz, nadal jestem wesołym człowiekiem, optymistycznie patrzę na świat, uważam, że jestem pod szczęśliwą gwiazdą urodzony, a odkąd jestem w show-biznesie, nigdy nie

miałem kryzysu ekonomicznego w tym sensie, że cały czas miałem robotę, cały czas telefon dzwonił i cały czas coś się działo. A przy muzyce popowej rzadko się to zdarza, zwłaszcza że mnie pogrzebali już po pierwszej płycie, w pierwszym roku kariery. Tymczasem w tym roku minie 29 lat, od kiedy gramy non stop koncerty i to jest to, z czego żyję. Przegrywałem w kasynie, ale, jak to mówimy w branży, job był cały czas. To dlatego ciężko jest się luzdźmiem wokół zorientować, że mają do czynienia z hazard-

dzistą. No, bo wiesz, jest samochód jeden, drugi, jest mieszkanie w Warszawie, mieszkanie w Olsztynie, wakacje we Francji czy Hiszpanii, miejsca może nie prestiżowe, ale też i nie takie, na które stać by było zwykłego Kowalskiego. Na pozór więc wszystko się zgadza. Oprócz pieniędzy (śmiech).

Zdrowie to jedno, ale co z innymi wartościami, jak rodzina, jak miłość?

Pierwszy rozwód nastąpił szybko, tylko że ja teraz patrzę na to w ten sposób, że kiedy się pierwszy raz ożeniłem, miałem 21 lat. Z córką, mimo hazardu, miałem dobry kontakt, potem się trochę popsulo, ale dziś relacje znowu mamy dobre.

Tylko jak wygląda małżeństwo i miłość w takim domu, gdzie jedna osoba jest hazardzistą?

Jeżeli grasz w kasynie, to bazujesz na kłamstwie, na oszustwie. Dla hazardu zrobisz wszystko. Wymyślisz niestworzone rzeczy. Po koncercie, zamiast wracać do domu, wymyślałem, dlaczego nie wracam od razu: bo w samochodzie pękły mi przewody od oleju i muszę zostać. A tak naprawdę wszystko jest okej, a ja tym samochodem jadę do Wrocławia czy Warszawy, żeby zagrać. Albo opowiadałem, że matka w szpitalu, że ojciec nie żyje. To były kłamstwa, które szły w mocno już skrajne opcje. Naprawdę, to nie do wiary, jak można kłamać.

W książce wypowiada się Twoja żona, ale też terapeuta, krupierka z kasyna. Której z tych osób najbardziej się obawiałeś, że oceni Cię najbardziej surowo?

No, Marzenki mojej. Mojej żony. Długi czas ukrywałem przed nią, że jestem hazardzistą, ona nie wiedziała, co się dzieje. Mówiła czasem: „Norbas, ja czuję, że u ciebie jest jakaś tajemnica”. Zapewniałem ją, że nie, mówiłem, że co ty, Marzenko. Nie mogła wyzłazić, co jest grane. Ale jak już zaczęła, to wybuch był potężny. Tylko widzisz, miłość to nie jest jakiś sloganik, który pisze się na okładce książki, bo to ładnie wygląda, że miłość wygrała. Tak, miłość wygrała, bo gdybym nie kochał tej dziewczyny i gdyby nie było tej miłości między nami, to teraz pewnie byśmy już ze sobą nie rozmawiali. Pewnie bym się już stoczył totalnie, albo bym grał w kasynie dalej. Ona mnie uratowała, ta dziewczyna. A mówi, że nic nie zrobiła. Wiadomo, gdybym ja też nie chciał, to nic by z tego nie było. Żaden terapeuta najlepszy nie pomoże, nie ma bata, jeżeli ty sam nie będziesz

chciał. Ale ja wtedy, dzięki Marzence, powiedziałem sobie: „Norbas, to jest twoja prawdziwa ostatnia szansa”. No i wykorzystałem ją.

Twoi znajomi, członkowie zespołu, nie wiedzieli o Twoim uzależnieniu od hazardu?

Koleżdy, koleżanki z zespołu – oni wiedzieli. No ale powiedz, co mogli zrobić? Mieli powiedzieć: „Norbas, nie graj”? Oczywiście, były rozmowy, ale nie działały. Mówiłem swoje i robiłem swoje. Nałóg to jest rzecz straszna. Uwierzyć, jestem dumny, że to po tylu latach się skończyło. Lepiej późno niż wcale – to przysłowie w moim przypadku ma sens i nie jest żadnym banałem.

Czy sam podczas terapii przeżywałeś jakiś bunt, czuleś bóle odstawienia?

Sluchaj, ja jestem dziwolągiem. Ale też każdy jest inny. We mnie ani przez sekundę nie było żadnego buntu. Uważałem, że wspaniale, że tak się stało, że to wyszło na jaw, że mleko się rozlało. Przez wiele lat grania czułem na klatce piersiowej ciężki głaz i kiedy to się wydało, to poczucie ze mnie zeszło, ten głaz spadł. To uratowało mi życie. Jakieś parę miesięcy przed końcem terapii pojechaliliśmy do Holandii, do siostry Marzenki, do miejscowości Roermond. To bardzo znana miejscowość z miasteczkiem outletowym. Marzenka z siostrą poszły na zakupy, umówiliśmy się, że spotkamy się za godzinę. Miałem czas, żeby samemu pochodzić po mieście. Poszedłem do jednego z food court, bo bardzo lubię frytki z majonezem i z cebulą, kupiłem, odchodzę i nagle przed moimi oczami pojawia się ogromny budynek, wielkości Galerii Mokotów, z ogromnym napisem: Kasyno. W Holandii nie miałem żadnych zakazów, zakazy miałem tylko w Polsce, a tu mogłem wejść i zrobić swoje. Ale słuchaj. Wziąłem frytki, odwróciłem się na pięcie i odszedłem. Byłem z siebie bardzo dumny. Żadnych emocji. Zobaczyłam napis i poszedłem w drugą stronę.

Ze swojej depresji też swego czasu uczyniłeś tabu. Nikt się nie domyślał, że cierpisz, bo byłeś postrzegany jako człowiek zabawny i wesoły.

A w głębi duszy byłem roztrzęsiony. Próbowałem kiedyś mówić o tym w różnych programach, na przykład u Kuby Wojewódzkiego, ale zawsze były z tego heheszki, no bo wesoły gość, ma super-życie.

Kasyna kiedyś wydawały się takim ekscytującym życiem.

Jak wygląda Twoja obecna codzienność? Chyba nie ma nudy? Rozmawiamy przez kamerę, bo właśnie jesteś w Tajlandii.

I jutro lecę do Malezji. Kiedyś potrzebowałem dawać koncerty, żeby mieć pieniądze na hazard. Teraz moją adrenaliną jest to, aby mieć zapelniony kalendarz koncertami i artystycznie być lepszym od konkurencji. Lubię koncerty, jaram się nimi. A z drugiej strony, nie biorę już wszystkiego, jak leci, tylko sobie wybieram. I to jest też dla mnie fajna sprawa. Jak i to, że polecimy na fajne wakacje. To są rzeczy, na które kiedyś nie zwracałem uwagi, bo bardzo skupiałem się na tym, żeby grać jak najwięcej koncertów za nieważne jakie stawki. Teraz patrzę na to wszystko z zupełnie innego pułapu.

Dlaczego postanowiłeś opowiedzieć o swoim uzależnieniu od hazardu w książce?

O hazardzie zacząłem napomykać kilka lat temu; pierwszy raz opowiedziałem o tym w podcaście u Mateusza Jędrasia, wtedy zrobiłem coming out. Potem u Wojewódzkiego i u Kędziora, u Żurnalisty. Dostałem fajny feedback od ludzi, którzy pisali do mnie z prośbą, czy mogę im pomóc, co mogę im poradzić. Co ja mogłem w paru zdaniach na Instagramie poradzić? Ale przynajmniej nie zostawiałem ich bez odpowiedzi. Dużo ludzi się do mnie zgłosiło w tym temacie. Wtedy pomyślałem, że fajnie byłoby opowiedzieć o tym szerzej, skoro jest taki odbiór i zgłaszają się do mnie ludzie, którzy mają z tym problem. A ja akurat jestem wiarygodny w tym temacie, bo spędziłem w kasynie masę czasu. Ucieszyłem się, że książkę zdecydowało się wydać wydawnictwo Luna. Nie patrzę za bardzo na apanażę; zależy mi, żeby tę książkę czytali. Ja opowiadam, ale świetnie spisała to Sylwia Borowska. Tak mówią też ci, którzy tę książkę już czytali, i ja w to wierzę.

KSIĄŻKA



Sylwia Borowska, Norbi, „Wygrałem życie, ale najpierw przegrałem siebie”

Wydawnictwo Luna, Warszawa 2026

WERONIKA KSIĄŻKIEWICZ: BYŁAM W TRUDNEJ SYTUACJI ŻYCIOWEJ I STWIERDZIŁAM, ŻE NIE CHCĘ TAK DALEJ

Znaliśmy ją do niedawna przede wszystkim z komedii. Ostatnio pojawia się jednak w dramatycznych rolach. Tak dzieje się choćby w drugim sezonie serialu „Klangor”, który oglądamy w serwisie Canal+. W naszej rozmowie Weronika Książkiewicz zdradza, co sprawiło, że przeszła aktorską przemianę

Patryk Gzyl

Jagoda Zawisza z serialu „Klangor 2” to nieduża rola - ale znacząca. Lubi pani od czasu do czasu pojawić się na drugim planie?

To było tak: byłam najpierw na zdjęciach próbnych do głównej roli, ale niestety jej nie dostałam. Finalnie została wybrana inna aktorka. W tej sytuacji zaproponowano mi inną rolę. A że jestem dużą fanką tego serialu, nie uniosłam się dumą, długo się nie zastanawiałam i przyjąłam tę propozycję.

Kiedyś powiedziała pani: „Lubię filmy, w których są prawdziwe emocje i życie”. Taki jest serial „Klangor 2”?

Niestety tak. Mówię niestety, ponieważ serial ten opowiada o toksycznej męskości. Tacy ludzie i takie sytuacje często się zdarzają. Oczywiście w serialu pokazane są skrajne sytuacje. To ciemność bez tego przysłowiowego światła w tunelu. Każdy z nas ma jednak w sobie takie „czarne” obszary, możemy się więc w jakimś stopniu do tego odnosić.

Pani bohaterka doświadcza przemocy psychicznej w swym małżeństwie. Co

sprawia, że zgadza się na taki układ?

Jagoda jest symbolem wielu kobiet, które znajdują się w takiej sytuacji. Tkwią one w niej, ponieważ tak je życie ulepiło i nie mają siły, by zawalczyć o swoje. To nie znaczy, że są gorsze czy słabsze, tylko po prostu różne sytuacje z przeszłości, z dzieciństwa, czy powielane pokoleniowe schematy sprawiły, że nie znajdują w sobie mocy do tego, aby wyrazić swoje zdanie. Ba - często nawet nie wiedzą, jakie ono jest.

W jednej ze scen Jagoda opowiada o zjawisku zwanym „gaslighting”, które i ją dotknęło. Zna pani takie toksyczne związki z życia?

One są nagminne. Początki naszego dorosłego życia są wręcz ulepione z takich nieudanych i toksycznych związków. Cała sztuka polega na tym, żeby najpierw zobaczyć, że to są takie relacje, bo czasem niektórzy nawet nie zdają sobie sprawy z tego, że w nich tkwią, a potem - żeby wyciągnąć z tego wnioski, czegoś się nauczyć i zbudować siebie na nowo, aby kolejny związek taki już nie był. Po prostu musimy się uczyć na błędach.

Z tego, co wokół mnie się dzieje, to widzę, że takich pierwszych miłości, które przetrwały do grobowej deski, praktycznie nie ma. To zdarza się bardzo rzadko. Nie mam takiego przykładu wśród swoich znajomych. A nawet jeśli kiedyś wydawało się, że jakiś związek jest taką idyllą, to już w tej chwili jest po rozwodzie.

Jagoda ucieka od despotycznego męża w leki, których niebezpiecznie nadużywa. To chyba nigdy nie jest rozwiązaniem?

Na pewno. Zażywanie jakichkolwiek substancji odurzających jest próbą odciążenia się od siebie, wywołaną strachem przed zmierzeniem się z rzeczywistością. Czasem wolimy czegoś nie widzieć, bo wydaje nam się, że nie będziemy mieli siły do pokonania takiego problemu. Tak jest w przypadku Jagody.

Ostatecznie pani bohaterka traci męża w wyniku zabójstwa - i z jednej strony przeżywa żalobę, ale z drugiej widać, że czuje ulgę. Trudno było zagrać tak zniuansowaną postać?

Takie niuansy są dużo ciekawsze dla aktora do zagrania niż

stworzenie jednoznacznie złej czy dobrej postaci. Niejednoznaczni bohaterowie są po prostu bliżsi prawdziwego życia. Kiedy jesteśmy w jakiejś trudnej czy bolesnej sytuacji, to nasze reakcje są bardzo różne: czasem zaśmiejemy się czy zrobimy coś głupiego, nie jesteśmy tylko smutni czy przybici. Dlatego Jagoda była dla mnie bardzo ciekawym wyzwaniem do zagrania. Tym bardziej że jest ona postacią pomocniczą. Są w serialu sceny, w których nie ma jej fizycznie, ale wyjaśniają one jej sytuację i zachowanie.

Jagoda z „Klangora 2” to kolejna pani dramatyczna rola w ostatnich latach. Dobrze się pani w nich czuje?

Bardzo dobrze. I mam nadzieję, że takie role jeszcze przede mną.

Co jest takiego w tych dramatycznych rolach, że zechciała pani się z nimi zmierzyć?

To było moje wielkie marzenie. Chyba każdy aktor chce próbować grać różne rzeczy i mierzyć się z różnym repertuarem. Ciekawie jest penetrować zakamarki swej duszy w poszukiwaniu raz takich, a kiedy indziej innych emocji.

U nas jest tak, że kiedy zagrało się kilka ról komediowych, to nie znaczy, że nagle w pewnym momencie same zaczynają spadać z nieba role dramatyczne. Ja bardzo tego chciałam, ale na tym chceniu to się u mnie nie skończyło. Musiałam wykonać dużo wewnętrznej pracy sama z sobą, aby ten repertuar zaczął się zmieniać. Dlatego przez pewien czas odrzucałam propozycje zagrania ról podobnych do tych, które grałam już wcześniej. Czyli tych komediowych.

To chyba musiało być trudne?

Byłam tak pochłonięta pracą nad sobą, że nie skupiałam się na tym. W pewnym momencie uznałam, że to nie jest tak, że życie mi się przydarza i tylko występuję w tym, co jakieś zbiegi okoliczności mi przynoszą, ale to ja sama tworzę swe życie i kreuję je. Dlatego, kiedy parę lat temu nie grałam przez dłuższy czas, to wiedziałam, że mam swój cel do osiągnięcia i wiedziałam po co idę. Nie było to na pewno przyjemne, ale nie było to bez sensu. Wiedziałam bowiem, że to swego rodzaju narzędzie do zwrócenia się w tym kierunku, w którym bym chciała.

Co dało pani impuls, by zacząć taką pracę nad sobą?

To zawsze są w każdym przypadku trudne sytuacje życiowe. W tym jest źródło i siła. Nie chcę tu wchodzić w szczegóły, ale myślę, że zawsze reguła jest ta sama. Kiedy stajemy przed ścianą i nie widzimy sensu w tym, co nas spotyka, chcemy to zmienić. Wtedy jest możliwość największej odmiany naszego losu. Ja też byłam w dosyć trudnej sytuacji życiowej i stwierdziłam, że nie chcę tak dalej. Że chcę żyć inaczej.

Ta przemiana najczęściej dziś odbywa się w gabinecie terapeuty. W pani przypadku też tak było?

Nie. U mnie to była bardziej duchowa przemiana. I w moim przypadku okazało się to bardzo skuteczne. Oczywiście nie chcę tu powiedzieć, że zostałam Dalaj Lamą. (Śmiech) Mam poczucie, że cały czas jestem w procesie. I wiadomo, jak to u każdego, raz są lepsze, a raz gorsze dni. Mam jednak przed oczyma to, jakbym chciała żyć - i do tego cały czas zmierzam.

Wszystko zaczęło się pięć lat temu od „Furiozy”, która okazała się przełomem w pani karierze. Trudno było przekonać twórców tego filmu, że potrafi pani wcielić się w Dziką? Bardzo. Zająłoby nam to dużo czasu. Tak się złożyło, że mam te same agentki, co Mateusz Banasiuk. Kiedy zaangażowano go do „Furiozy” i reżyser szukał aktorki do roli Dzikiej,

podsunęły mu pomysł spotkania się ze mną. Początkowo w ogóle nie chciał o tym słyszeć, ale kiedy odpadły inne kandydatki, zgodził się ze mną spotkać. Musiał na to wyrazić zgodę również reżyser obsady. Wymagało to więc od nas bardzo dużej wytrwałości, aby się dostać na te zdjęcia próbne. No a potem - pokazania się na tym castingu tak, żeby się udało. Była to więc można powiedzieć praca zespołowa. (Śmiech)

Do roli Dzikiej musiała pani zmienić swój wygląd - choćby obciąć włosy. Trzeba było przełamać jakąś emocjonalną barierę, żeby to zrobić?

Kiedy zaczęliśmy przygotowania do realizacji „Furiozy”, ustaliliśmy z reżyserem, że Dzika powinna mieć krótkie włosy. Wszystko to trwało ponad pół roku - były to rozmowy z aktorami, próby siedzące nad scenariuszem, jego nieustanne zmiany i bardzo dużo fizycznych treningów. Po upływie kilku miesięcy przyszedł czas na próby kamerowe. W „Furiozy” są sceny retrospekcyjne, kiedy Dzika ma kilkanaście lat i ginie jej brat. Ona ma wtedy jeszcze długie włosy. I właśnie od tych scen zaczęliśmy kręcenie filmu. Dlatego wiedzieliśmy, że to obcięcie włosów będzie na sam koniec. Tymczasem po tych próbach kamerowych reżyser przyszedł do mnie i powiedział: „Boję się, że bez tych długich włosów będziesz źle wyglądała. Nie obcinajmy ich. Zostań w długich”. Wtedy zaprotestowałam, bo bardzo chciałam tej fizycznej przemiany. Obcięcie włosów miało być taką wisienką na torcie tych długich przygotowań i ich dopełnieniem.

Mówi się, że zmiana fryzury przez kobietę to otwarcie nowego etapu w jej życiu. I tu chyba też tak było?

Samo obcięcie czy zmiana koloru włosów może nie ma aż tak symbolicznego znaczenia. Chyba że idzie w parze z pracą wewnętrzną. A u mnie tak było.

A jak się pani poczuła po tym obcięciu włosów?

Jakbym była naga. Długie włosy są czymś takim, że można się za nimi trochę schować czy nimi zasłonić, choćby spuszczać na twarz. Kiedy miałam jakies wystawy sklepowe i widziałam swe odbicie w szybach, ze zdziwieniem konstatowałam: „O rany, to przecież ja!”. (Śmiech) Początkowo nie mogłam siebie rozpoznać, bo zapomniałam, że mam krótkie włosy. Po tygodniu przyzwyczaiłam się jednak i uznałam, że po prostu tak wyglądam i koniec kropka.

A jak sobie pani poradziła z wejściem w świat trudnych

emocji, przeżywanych przez Dziką?

To było niełatwe, ale ciekawe doświadczenie. Zagrałam tę postać na sto procent swych ówczesnych możliwości. Dzisiaj, zagrałabym ją jednak inaczej. Teraz bardziej bym się „puściła” w tej postaci. Co ciekawe przed wejściem na plan miałam zajęcia z choreografem ruchu. Nie miało to jednak nic wspólnego z tańcem, tylko polegało na znalezieniu właściwego sposobu poruszania się dla granej przeze mnie postaci. To było fascynujące: jak emocje i doświadczenia Dzikiej przenoszą się na jej ruchy. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie próbowałam. Oczywiście wykonałam też pracę psychologiczną wspólnie z reżyserem i innymi aktorami.

Przy „Drugiej Furiozie” łatwiej było pani już wejść w świat Dzikiej?

Nie do końca. „Druga Furioza” to opowieść stricte o Goldenie, którego gra Mateusz Damięcki. Reszta to tylko postaci pomocnicze. Wiedziałam więc, że muszę zrobić to samo, co przy jedynce - tymczasem ja byłam już zupełnie inna, bo rozpoczęłam tę swoją wewnętrzną przemianę. Trudno było mi powtórzyć to, co zagrałam kilka lat wcześniej, a było to konieczne, aby została zachowana jakaś spójność tej mojej postaci. Tym bardziej że akcja dwójki toczy się równoległe z jedynką, tylko jest inny punkt widzenia. Nie było to więc do końca łatwe.

Zupełnie inną osobę zagrała pani w „Powrocie do tamtych dni”. Postać żony alkoholika to najtrudniejsza rola w pani karierze?

Praca nad tym filmem była niezwykła. Opowiadana w nim historia została bowiem zainspirowana dzieciństwem reżysera - Konrada Aksinowicza. Kręciliśmy w mieszkaniu wybudowanym na hali zdjęciowej, które było niemal idealnym odwzorowaniem jego prawdziwego mieszkania z lat 90., w którym się wychowywał. Tam były wniesione jego pamiątki, stały dokładnie takie same meble, jak ten pamiątkowy segment z wbudowanym łóżkiem. W efekcie wydawały się rzeczy niezwykle. Wie pan co to są ustawienia hellingerowskie?

Tak. To metoda terapeutyczna, polegająca na sesjach, podczas których ich uczestnicy wcielają się w role członków rodziny pacjenta, co pozwala na odkrycie przyczyn zaburzeń i ich uzdrowienie, często poprzez pojednanie z przodkami.

No właśnie. Coś podobnego działo się na tym planie. W pewnym momencie każdy z aktorów wiedział dokładnie co i jak ma grać. Konrad miał



Weronika Książkiewicz: Chyba każdy aktor chce próbować grać różne rzeczy i mierzyć się z różnym repertuarem. Ciekawie jest penetrować zakamarki swej duszy w poszukiwaniu raz takich, a kiedy indziej innych emocji

ze sobą podczas zdjęć coś, co nazywał swoją „biblią” - album z powklejanymi zdjęciami z dzieciństwa, odpowiadającymi konkretnym scenom ze scenariusza filmu. Pewnego dnia miałam zagrać z Mackiem Stuhrem, który gra alkoholika. On leży na łóżku nieprzytomny, sikając pod siebie, a ja wchodzę i przyglądam się temu. Miałam w tej scenie „kostium bez kontynuacji” - czyli nienawiązujący do poprzednich scen. Poszłam więc do garderobianych i wybrałam sobie czarny golf i czarne legginsy. Wchodzę na halę, żeby zagrać tę scenę - a tu Konrad mnie zatrzymuje, otwierając tę swoją „biblię” i mówiąc: „Popatrz!”. A tam na zdjęciu jest jego mama dokładnie w takim samym ubraniu, jakie mam na sobie. A ja wcześniej tego nie wiedziałam. Te ustawienia hellingerowskie bardzo nam pomogły w budowaniu tych postaci.

Czuła pani wyjątkową odpowiedzialność, wcielając się w mamę reżysera?

Oczywiście. Kiedy kręciliśmy, mama Konrada jeszcze żyła. Spotykałam się z nią i rozmawiałam. Czułam więc odpowiedzialność, ale również presję, że ona to zobaczy. Bo przecież co innego jest być w centrum jakichś wydarzeń, a co innego potem obejrzeć to na ekranie. Moja bohaterka z „Powrotu” przypomina mi dziś tę z „Klangora 2”. To też

krucha i kryształowo czysta kobieta, która nie potrafi być inna. Nie ma w sobie tej niezbędnej siły, żeby coś zmienić w swym życiu.

Za partnera miała pani młodego chłopca - Teodora Kozia. Jakie to było doświadczenie grać z dzieckiem?

Teodor to bardzo zdolny chłopiec. Kiedy rozpoczynaliśmy zdjęcia, wszyscy byliśmy zdenerwowani i spięci, bez względu na to, czy chodzi o dorosłego czy dziecko. Tak też było z Teodorem - ale potem pięknie się rozwinął i świetnie w to poszedł. Był tak autentyczny w swych scenach, że wymagało to od nas nieco innego grania, aby nie wypaść przy nim zbyt teatralnie. Teodor był więc wspaniałym i wymagającym partnerem.

I powstał wyjątkowy film, w którym wielu Polaków może się odnaleźć.

To prawda. Po premierze mieliśmy dużo spotkań z widzami. Wiele osób zabierało głos, dziękując za ten film. To było wspaniałe - bo w takich sytuacjach wraca człowiekowi wiara w sens i misyjność aktorstwa. Ktoś powiedział: „To jestem ja. Ale nie wiedziałem co robię. Dopiero ten film mi to uświadomił”. A ktoś inny: „Widziałem coś takiego u moich sąsiadów”. Te rozmowy miały bardzo emocjonalny ton, momen-

tami nawet łały się łzy. To było dla mnie wspaniałe doświadczenie. Bardzo bym chciała, aby powstało więcej takich projektów.

Jednoznacznie negatywną bohaterkę zagrała pani niedawno w drugim sezonie „Gliny”. Trudno było wejść w postać Luizy, która zabija z zimną krwią?

Nikt się taki nie rodzi. Niestety, życie czasem lepi takie charaktery. Dla mnie zawsze jest ważne, aby nie oceniać postaci, w którą się wcielam. Czasem nie jest to jednak takie proste. Tak było przy wspomnianym „Powrocie do tamtych dni”. Kiedy przeczytałam scenariusz, byłam wzburzona i myślałam: „Jak matka może tak postępować? Jak może być taka dla swojego dziecka?”. Ale kiedy ochłonęłam, spróbowałam zrozumieć tę bohaterkę. Co sprawiło, że zachowywała się tak, a nie inaczej. I to była dobra droga.

W ten sposób aktorzy próbują „bronić” swą postać. Nie wiem czy „bronić”. Może raczej zrozumieć.

Luiza jest okrutna, ale też bardzo kobieca, wręcz kokieteryjna. To był dla pani ciekawy kontrast do zagrania?

Tak. Tam był cały wachlarz różnych emocji do pokazania.

I do tego widowiskowe sceny: pościg czy strzelanina.

Ja uwielbiam takie sceny! Jestem osobą bardzo aktywną fizycznie i jest to mocno wpisane w moje życie. Dlatego, jeśli mam okazję zagrania w scenach jakichś bójek czy pościgów, to zawsze jestem do nich pierwsza.

Nie korzysta pani z usług kaskaderki?

Czasem tak. W przypadku „Gliny” sama prowadziłam auto,jechałam nim do tyłu i strzelałam do przodu. To była wspaniała zabawa! Kiedy trafiam na plan takiego projektu, w moim przypadku nie wymaga to wyjątkowych przygotowań fizycznych. Jestem z miejsca na to gotowa, ponieważ ostro trenuję na co dzień.

Tak naprawdę nie zrezygnowała pani do końca z komedii. Bo przecież oglądaliśmy panią ostatnio w „Planecie singli 4”, „Zabij mnie kochanie” czy „Szczęścia chodzą parami”. Trudno się pani rozstać z tym gatunkiem?

Uważam, że ludzie powinni się jak najczęściej śmiać. Śmiech jest najlepszym lekarstwem na wszystkie kłopoty, ponieważ doskonale rozładowuje emocje. Dlatego komedie są potrzebne. Nie mam więc zamiaru zupełnie z nich zrezygnować. Mówiłam tak wcześniej, bo miałam taki moment, że na chwilę musiałam je odstawić. Teraz mogę jednak kręcić również komedie - i mam takie w planach.

Takie filmy są okazją dla aktorki, aby pokazać się na ekranie od bardziej kobiecej strony.

(śmiech) Na pewno. Teraz jestem w takim momencie życia, że cenię sobie najbardziej komfort i wygodę, więc nie do końca przykładam uwagę do tych wszystkich kobiecych detali. Ale może powinnam trochę bardziej? Nie wiem. Jestem jednak w tej chwili skupiona na innych rzeczach. Dlatego kiedy pojawia się taki projekt, na planie którego trzeba się ładnie ubrać i umalować, to mi zupełnie wystarcza.

W każdym z tych filmów ma pani innego partnera. Raz jest to Tomasz Karolak, kiedy indziej Mateusz Banasiuk czy Michał Żurawski. Z którym czuła się pani najlepiej w parze?

Nie mogę nikogo wyróżnić, bo pozostali by się obrazili. (śmiech) Najwięcej filmów zrobiłam z Tomkiem Karolakiem i bardzo lubię z nim pracować, bo prywatnie się przyjaźnimy. A to pomaga w użytkowaniu tej przyszłowiowej „chemii” na ekranie.

Niebawem zobaczymy panią po raz trzeci jako kurator Irene Sochę w „Piep***ć Mickiewicza”. Skąd taki sukces tego filmu?

Jego zaletą jest to, że młodzi widzowie widzą w nim siebie. Główni bohaterowie to niedoskonałe i nieperfekcyjne postaci. I żywi ludzie z prawdziwymi problemami dzisiejszych nastolatków. Każdy z nich ukrywa swe słabsze strony, przywdziewając jakieś groźne pozy czy miny. A pod nimi kryją się ciepłe i dobre osoby.

Jak się pani pracowało w otoczeniu aktorskiej młodzieży?

Cudownie. Są pełni pasji i energii, zawsze przygotowani i skupieni. Uwielbiają spędzać czas na planie. To wielka przyjemność pracować z taką młodzieżą.

Dużo pani gra, a przecież wyszła pani dwa lata temu za mąż. Jak godzi pani rodzinne życie z takim nawałem pracy?

Staram się jak mogę. I chyba daję radę. (śmiech)

Syn Borys ma już 16 lat - czyli jest w wieku burzy i naporu. Jakie ma pani z nim relacje?

Bardzo dobre. Więcej nie mogę powiedzieć, bo zabrania mi mówić o nim w wywiadach. Bardzo ceni sobie prywatność.

Interesuje się aktorstwem?

Zupełnie nie. Ma inne zainteresowania niż ja.

Nie żałuje pani tego?

Nie. On ma swoje pasje, a ja staram się pomagać mu je realizować.

FOT. JAROSŁAW SOSIŃSKI/CANAL +

TU ZACZEŁA SIĘ KARIERA SKANDALISTY

– Katowice śnią mi się co noc – powiedział Hans Bellmer do Henryka Wańka, kiedy spotkali się w Paryżu. Wybitny surrealista, autor instalacji Lalki, rysownik, malarz, fotografik, teoretyk i praktyk anagramu urodził się w Katowicach w 1902 roku i spędził tu 20 lat

Magdalena Nowacka-Goik



Ulica Mickiewicza 10 w Katowicach. W tej kamienicy urodził się Hans Bellmer



Kościół ewangelicki, gdzie ochrzczono artystę



Wydział Biologii i Ochrony Środowiska (kiedyś gimnazjum)

Po wyjeździe ze Śląska mieszkał w Berlinie, który opuścił na znak protestu wobec polityki nazistowskiej. W 2025 roku minęło 50 lat od jego śmierci.

Na pewno kontrowersyjny ze względu na tematykę swoich prac, mocno awangardowy. W ubiegłym roku jego dzieła można było oglądać w jednym z najważniejszych muzeów sztuki współczesnej na świecie – Centre Pompidou w Paryżu (nie pierwszy raz zresztą – wystawiano je tutaj na wystawach indywidualnych już w 1971, 1983 i 2006 roku, a sama lalka przez długi czas była ozdobą stałej ekspozycji).

Muzeum Historii Katowic natomiast dysponuje jedyną kolekcją jego prac w Polsce. Dwa obrazy olejne, dwie autorskie fotografie słynnej lalki, cztery rysunki, trzy książki artystyczne zawierające 27 grafik, 31 pojedynczych grafik, odręczny list – to wszystko znajdziemy w zbiorach katowickiej placówki.

W 125. rocznicę urodzin artysty (2027 rok) planowana jest wielka wystawa związana z Bellmerem. Przygotowania do niej już się rozpoczęły.

Pierwsze ślady rodziny Bellmerów w Katowitz

Wzmianka o ojcu Hansa (Johann Bellmer, ale czasem wy-

stępował też pod imieniem, które nosił jego syn) a propos Katowic pojawia się w piśmie branżowym metalurgów – „Stahl und Eisen”. W spisie nowych członków stowarzyszenia metalurgów na liście widnieje następująca informacja: „inżynier Bellmer Hans, Katowitz, Oberschlesien”. Piśmo ukazało się w lutym 1902 roku (miesiąc później urodził się jego syn Hans), zapewne już więc przynajmniej od kilku lat musiał przebywać w Katowicach, skoro już podawał to miasto jako miejsce zamieszkania. To jednocześnie pierwsza zachowana informacja o rodzinie Hansa Bellmera w Katowicach.

Czy wiesz, że w twoim mieszkaniu urodził się znany artysta? No właśnie...

Hans Bellmer urodził się w Katowicach i nawet wiemy dość dokładnie, gdzie konkretnie.

– Wszystko dzięki aktowi urodzenia, który zachował się w miejskich archiwach. Ojciec przyszłego artysty, Johann Bellmer (co ciekawe, zwany też czasem Hansem, bo bywało, że tak się podpisywał), zgłosił w urzędzie, że jego żona Maria z Donnerstagów Bellmer w ich własnym mieszkaniu przy ulicy Mickiewicza 10 (wtedy August-Schneider-Straße) 13 marca 1902 roku o godzinie 12.45 uro-

dziła syna – mówi Natalia Kruszyna, znawczyni twórczości Bellmera, historyczka sztuki z Muzeum Historii Katowic. Od lat podąża katowickimi (i nie tylko) tropami artysty.

Kamienica, w której przyszedł na świat, istnieje do dzisiaj.

Niestety, nie wiadomo, jaki numer mieszkania był tym, który zajmowała rodzina Bellmerów. Zachowały się wprawdzie księgi adresowe z tamtego okresu, ale zawierają one tylko spis lokatorów kamienicy bez numerów mieszkań.

Dopiero później pojawiały się informacje bardziej szczegółowe, podające jeśli nie numer mieszkania, to chociaż piętro.

Budynek jest zamieszkały i jego lokatorzy mogą tylko zgadywać, czy to akurat w ich mieszkaniu urodził się i spędził pierwsze lata znany malarz i rzeźbiarz.

Zdaniem Natalii Kruszyny można spekulować, iż były to raczej niższe piętra.

Sześć lat później, kiedy rodzi się Fritz, brat Hansa, rodzina zajmuje już inne mieszkanie – po drugiej stronie katowickiego rynku, przy ulicy Teatralnej (wtedy Ratuszowa 6). Od kiedy dokładnie tam mieszkali? Zapis pojawia się w księdze adresowej z roku 1906, można więc przypuszczać, że przeprowadzili się tu już rok wcześniej z trzyletnim wtedy Hansem. I chociaż w tym

Y HANSA BELLMERA. ŚLADAMI ARTYSTY

przypadku też nie mamy szczegółowych danych dotyczących lokalu, to również było to raczej pierwsze, najwyżej drugie piętro.

Decyzja o przeprowadzce była podyktowana prawdopodobnie faktem, że rodzina się rozrastała, a nowe mieszkanie było większe, bardziej wygodne, sam budynek też bardziej dekoracyjny. Ojciec Hansa, inżynier, z pewnością był na tyle zamożny, aby było go stać na zapewnienie rodzinie dobrych warunków do życia. I ten budynek również zachował się do dzisiaj.

Niedaleko, przy ulicy Warszawskiej 18, mieści się kościół ewangelicki pw. Zmartwychwstania Pańskiego. Państwo Bellmerowie byli wyznania ewangelicko-augsburskiego i tu właśnie ochrzczili swoich dwóch synów. Z dokumentów wynika, że Hans ochrzczony został w czerwcu 1902 roku, czyli jako trzymiesięczne niemowlę. Nie był to jednak koniec przeprowadzek rodziny, która mieszkała przy Ratuszowej do około 1911 roku.

Chłopiec z chóru. Czy zdjęcie zdradza nam tajemnicę?

O ile kwestie zamieszkania czy przynależności do danej parafii są udokumentowane, te dotyczące wczesnej edukacji Hansa w Katowicach pozostają już w sferze domysłów i przypuszczeń. Miasto zmieniało swoją przynależność państwową, wiele dokumentów więc nie zachowało się - zostały (przypadkiem lub celowo) zniszczone.

- Dość długo szukaliśmy i typowaliśmy szkoły, a przynajmniej budynki, w których się kiedyś mieściły, a do których mógł chodzić mały Hans. Nie było to proste, bo w tamtych czasach dość często zmieniały się zarówno same lokalizacje placówek, jak i systemy edukacyjne - wyjaśnia Natalia Kruszyna. Istniały szkoły wyznaniowe, z których zostały wyodrębnione szkoły powszechne. Nie było koedukacji.

Ostatecznie jako najbardziej prawdopodobną szkołę, do której mógł chodzić Hans Bellmer wytypowano szkołę podstawową dla chłopców nr 3, która mieściła się tuż obok Muzeum Historii Katowic. Obecnie jest tam wydział wokalny Akademii Muzycznej. Ale jak doszło do takich ustaleń? Pomógł przypadek.

- Kiedy szukałam informacji na temat tej szkoły, trafiłam na pocztówkę wydaną prawdopodobnie przy okazji cyklu koncertów Pasji wg św. Mateusza Jana Sebastiana Bacha, które

wykonywała orkiestra Oskara Meistersa, słynnego katowickiego muzyka. W ramach tych koncertów występował także chór chłopięcy działający przy wspomnianej szkole nr 3, prowadzony przez równie znaną postać - Stanisława Rzadkowskiego. To on w 1901 roku witał w Katowicach mistrza Paderewskiego - na jego osobiste życzenie w języku polskim. Rzadkowski był śpiewakiem, ale też prowadził właśnie chór szkolny.

Pocztówka przedstawia zdjęcie chóru i wśród sfotografowanych tam dzieci jest chłopiec, który z rysów jest bardzo podobny do Hansa Bellmera. Nie mam oczywiście pewności stuprocentowej, ale wszystko wskazuje na to, że to on. I to potwierdzałoby teorię, że był uczniem wytypowanej szkoły - mówi Natalia Kruszyna.

A jakim był uczniem? Można przypuszczać, że od najmłodszych lat bardzo dobrym.

Pochodził z rodziny inteligentnej, inżynierskiej, i sam od małego miał skłonności do analitycznego, rozumowego myślenia. Ale nie był typem naukowca - cechowała go ogromna wrażliwość, dzięki której mógł rozwinąć swój talent artystyczny.

Szkoła średnia? Nie, to nie było liceum Mickiewicza. Obalamy tę informację

Co z kontynuacją nauki w szkole średniej? Tu również nie ma jednoznacznych potwierdzeń, ale dociekliwość historyków pozwala przypuszczać, do której szkoły uczęszczał nastoletni Hans.

Początkowo, w różnych publikacjach na temat artysty, można było natrafić na sugestię, że uczył się w miejskim gimnazjum, które dziś jest najstarszą istniejącą szkołą w Katowicach - obecnie mieści się w niej Liceum im. Adama Mickiewicza. Skąd te przypuszczenia? Prawdopodobnie z przekonania, że skoro urodził się w domu przy ul. Mickiewicza, to ta szkoła była najbliższą (choć, jak wiemy, rodzina przeprowadziła się w inne miejsca, jeszcze zanim mały Hans zaczął się uczyć). Informacje przedrukowywano i utarło się, że jest to fakt. Jak się jednak okazuje, nie ma to potwierdzenia.

- Śmiem podważyć te przypuszczenia. W archiwach miejskich zachowała się pełna dokumentacja dotycząca uczniów i nauczycieli tej szkoły od końca XIX wieku. Kiedy postanowiłam odszukać świadectwo maturalne Hansa Bellmera i zaczęłam ją przeglądać, okazało się, że nie ma go na żadnej liście

uczniów. Tak samo jego brata - zapewnia Natalia Kruszyna.

Bardziej prawdopodobne jest natomiast, że uczęszczał do Realschule (potem Oberalschule), szkoły równie prestiżowej co wspomniane gimnazjum, i w tamtych czasach z nią rywalizującej o prestiż. O ile jednak gimnazjum miejskie miało charakter typowo humanistyczny, klasyczny, jeśli chodzi o wykształcenie, druga szkoła, działająca początkowo przy ulicy Szkolnej, a potem (od 1907 roku) przeniesiona do nowego budynku przy ul. Jagiellońskiej (wtedy Prinz Heinrich Strasse), w którym mieści się dziś Wydział Biologii UŚ, miała zupełnie inny charakter.

W tej szkole od początku kładziono nacisk na nauki ścisłe i przyrodnicze, uczono też języków współczesnych: francuskiego, angielskiego i rosyjskiego. Nauka tego ostatniego była szczególnie uzasadniona ze względów biznesowych - wszak blisko mieściła się granica rosyjska. Brano więc pod uwagę, że uczniowie, którzy skończą tę szkołę, założą firmy i będą prowadzili wymianę handlową, znajomość tego języka przyda się więc w kontaktach zawodowych. Szkoła była placówką bardzo nowoczesną. Co ciekawe, udało się znaleźć informację, że taki typ szkoły - tylko jeszcze w Stuttgarcie, w Niemczech - ukończył ojciec Hansa. Jest więc bardzo prawdopodobne, że chciał, aby jego syn też ukończył taką szkołę i poszedł w jego ślady inżynierskie. I nie tylko w jego - tradycja rodzinna pod tym względem jest dłuższa, bo inżynierem był prawdopodobnie także dziadek Hansa.

Wśród przedmiotów wykładanych w szkole kładziono też nacisk na rysunek - uczniowie mieli cztery godziny takich lekcji w tygodniu, w tym dwie rysunku perspektywicznego, czyli technicznego, potrzebnego przyszłym architektom czy właśnie inżynierom. Do tego nauka rysunku z wolnej ręki.

- Ta szkoła mogła więc dać Hansowi znakomitą bazę co do zawodowej przyszłości. Z jednej strony takiej, o jakiej marzył dla niego ojciec, z drugiej znajomości anatomii, umiejętności patrzania perspektywicznego, co wykorzystał potem

**HANS ZAINTERESOWAŁ SIĘ
SZTUKĄ OK. 15.-16. ROKU ŻYCIA,
NAJPIERW SYMBOLIZMEM.
OD POCZĄTKU MIAŁ ZNAKOMITĄ
RĘKĘ I ZMYŚŁ OBSERWACYJNY**

w swoich artystycznych pracach - opowiada Kruszyna.

Potwierdzały to historia o tym, że kiedy młody Hans wyjechał do Berlina studiować w Wyższej Szkole Technicznej i zaprzyjaźnił się tam z Georgiem Groszem, udzielał mu lekcji perspektywy. Szkoła dbała o swoją markę, wydawała coroczne informatory, w których zamieszczano m.in. informacje o uczniach, spisy roczników. Niestety, kiedy (jak przypuszczamy) Hans Bellmer zaczął tu naukę, wybuchła I wojna światowa i zaprzestano wydawania informatorów. Gdyby tak się nie stało, mielibyśmy już stuprocentowy dowód.

Ale jest jeszcze jedna przesłanka. Otóż, zgodnie z przepisami pruskimi, absolwenci tego typu szkoły, którzy chcieli studiować, mieli obowiązek pracować rok w zakładzie pracy zgodnym z wybranym kierunkiem ich studiów. I tak też stało się w przypadku Hansa, który został wręcz zmuszony przez ojca do pracy w kopalni lub hucie - właśnie przed rozpoczęciem studiów (już w Berlinie). Gdzie? Tego dokładnie nie wiemy, ale poza Katowicami.

Ta praca wpłynęła zapewne na ukształtowanie jego poglądów, zetknięcie się z myślą socjalistyczną. Oczywiście z pewnością nie pracował fizycznie, ale na pewno miał kontakt z górnikami czy hutnikami. Od początku jego spojrzenie na świat było lewicowe, chociaż nie był typem aktywisty.

Fascynacja sztuką już od czasów nastoletnich zaprowadziła go do... aresztu

Hans zainteresował się sztuką ok. 15.-16. roku życia, najpierw symbolizmem. Od początku miał znakomitą rękę i zmysł obserwacyjny - świadczą o tym m.in. kopie niezwykle skomplikowanych kompozycji mitologicznych Arnolda Böcklina. Potem impresjonizmem oraz ze zdumieniem odkrył skandalizującą sztukę Toulouse-Lautreca, Aubrey'a Beardsley'a czy Felicjena Ropsa. To jest prawdopodobnie zbieżne z czasem, kiedy jego ojciec został powołany na front I wojny światowej i przez trzy lata nie było go w domu. Nie

mógł już tak wpływać na karierę syna, a wiadomo, że chciał, aby ten poszedł w jego ślady. Po maturze, podczas wyjazdu na praktyki, Hans miał kontakt ze sztuką najnowszą - ekspresjonizmem i dadaizmem.

Kiedy przystępował do matury, był czas powstań śląskich i plebiscytu, głębokich przemian społecznych, politycznych i gospodarczych. Hans Bellmer stał się świadkiem zamieszek związanych z przejmowaniem władzy, wojną domową. Pokłosiem tych doświadczeń była cała seria kompozycji, które stworzył. Widział okaleczonych po I wojnie światowej żołnierzy, osamotnione wdowy, które nie mając środków do życia, trafiały na ulice. - Mocno uderzały go kontrasty, to, że w pewnych kręgach ludzie się bogacą, powstają ogromne przedsiębiorstwa, a w innych żyją w skrajnej nędzy.

W 1922 roku w lecie powraca z praktyki pod koniec tego roku w Katowicach odbyła się jego pierwsza wystawa.

Gdzie? - Tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że prace zostały uznane za wywrotowe i niemoralne. Do tego stopnia, że artysta trafił do aresztu, o czym pisał we wspomnieniach - opowiada Natalia Kruszyna.

Wyjazd do Berlina, protest wobec nazizmu i emigracja do Paryża

Zapewne dzięki wpływom ojca młody artysta jednak szybko areszt opuścił i wyjechał do Berlina. Tam zaczął studia w Wyższej Szkole Technicznej, ale przerwał je już po roku. Zajął się projektowaniem graficznym, ilustracjami do książek, projektowaniem okładek. Założył własną firmę reklamową. Jedną z zaprojektowanych przez niego książek z roku 1925 jest w zbiorach katowickiego muzeum.

- Udało mi się także znaleźć relację literata, Maxa Hermana-Neisse, który pisze, że widział i zrobiły na nim wielkie wrażenie prace Bellmera, które przedstawiały pejzaże i typy ludzkie, mroczny półświatek - dodaje Natalia Kruszyna.

W Berlinie Bellmer żył i tworzył do 1938 r. Wcześniej jednak, już w 1933 roku, w proteście wobec nazistowskiego totalitaryzmu odsuwa się od działalności praktycznej i buduje swoją pierwszą Lalkę.

W latach następnych często przebywa na Śląsku w domu letnim swoich rodziców w Bad Carlsruhe, czyli w miejscowości Pokój, trzydzieści kilometrów od Opola. Od roku 1935 Bellmer

bierze udział w wystawach surrealistów, m.in. w Londynie, Paryżu, Tokio i Nowym Jorku. Jednocześnie, wraz ze swoim bratem Fritzem, buduje drugą udoskonaloną wersję Lalki. Po śmierci swojej pierwszej żony, w 1938 roku, emigruje do Paryża.

Ciało jako zbiór anagramów

Około roku 1944 Bellmer pracuje nad książką poświęconą idei ciała jako zbioru anagramów. W ten sposób powstaje „Anatomia obrazu”, wydana po wojnie.

W 1947 roku w Galerie du Luxembourg ma miejsce pierwsza indywidualna wystawa Bellmera. W tym samym roku zostaje opublikowana „Historia oka” George'a Bataille'a z ilustracjami artysty. Bellmer ilustruje również inną nowelę Bataille'a pt. „Madame Edwarda”.

Szersza publiczność miała okazję poznać jego twórczość dopiero dzięki ilustracjom do książki Luisa Aragona, Jeana Cocteau, Lautréamonta czy Markiza de Sade. Przełomem w szerszej recepcji jego dzieła było otrzymanie nagrody William i Norma Coley Foundation w roku 1958, a następnie monograficzna wystawa dzieł artysty, którą zorganizowano w 1971 roku w paryskim Centre Georges Pompidou.

A jak doszło do spotkania z innym katowickim artystą, znanym malarzem i pisarzem Henrykiem Wańkiem, współzałożycielem Towarzystwa Bellmer?

- To ciekawa historia, bo kiedy doszło do tego spotkania, wiele lat temu, Henryk Wańki nie znał jeszcze historii Bellmera i jego związków z Katowicami. Podczas pobytu w Paryżu któryś z jego znajomych zorganizował spotkanie z Maksem Ernstem, również znanym artystą. Kiedy Maks dowiedział się, że będzie u niego mieszkaniem Katowic, od razu postanowił zaprosić swojego przyjaciela Hansa (w czasie wojny byli razem uwięzieni w Camp des Milles na południu Francji).

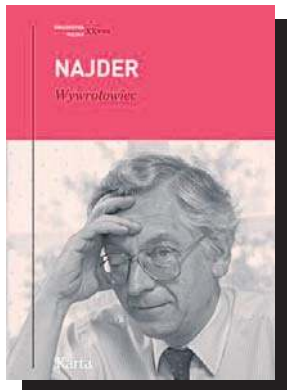
Hans był wtedy w złym stanie zdrowia, po udarze. Henryk Wańki zapamiętał jednak, że powiedział mu, iż Katowice śnią mu się co noc. To dowód na to, jak bardzo w ostatnich latach odzywała się w nim tęsknota za latami dzieciństwa i młodości, łączność z dawnym światem, miejscem, gdzie się urodził i dorastał.

Hans Bellmer zmarł 23 lutego 1975 roku i został pochowany w Paryżu na cmentarzu Père-Lachaise.



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Agaton Koziński



Zdzisław Najder. Miał w sobie kod DNA II Rzeczypospolitej

Spotkałem kiedyś Zdzisława Najdera u siebie, niemalże na moim podwórku. Wszedłem do kawiarni, przy której mieszkam na warszawskim Powiślu, by dostrzec jego zaskoczone spojrzenie. Przywitaliśmy się (wcześniej przeprowadziłem z nim kilka wywiadów, wymienialiśmy korespondencję, więc się znaliśmy), a ja zaskoczony spytałem, co on tutaj robi. I wtedy moje zaskoczenie stało się jeszcze większe. Okazało się bowiem, że Najder jest blisko związany z Powiślem, gdyż mieszkał na nim przed wojną. Więcej. Słowo do słowa i wyszło, że jego przedwojenny dom stał niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym stoi obecnie mój blok zbudowany tam w latach 60. Międzypokoleniowe sąsiedztwo.

Ale nie cenilem prof. Najdera za to, że podobnie jak ja lubił Powiśle. Ceniłem go przede wszystkim za niezwykłą erudycję. Był wybitnym, jednym z najlepszych na świecie znawcą literatury Josepha Conrada. Ale ja jeszcze wyżej cenilem jego znajomość II Rzeczypospolitej. W każdej rozmowie postrzegałem go jako swoistego łącznika między II i III RP. Pięknie pokazała to choćby jego publikacja „Węzły pamięci”, w której zebrał kluczowe dla istnienia Polski fakty i daty. Chodzący kod DNA, przypominający, że Polska Ludowa nie była rzeczywistością dwóch pokoleń Polaków, tylko epizodem w dziejach naszego kraju. „Od II Rzeczypospolitej powinniśmy się nauczyć, po pierwsze, świadomości historycznej, po drugie, szacunku dla państwa, a po trzecie, braku kompleksu wobec innych” – opowiadał mi w wywiadzie w 2016 r. W sumie mógłby to opowiedzieć także dziś – dalej brzmiałoby szalenie aktualnie.

Ośrodek Karta – z typową dla siebie wrażliwością – zebrał w jednym tomie materiały źródłowe dotyczące Zdzisława Najdera. Dostajemy opowieść o pełni jego życia – od wyjazdu z kraju w latach 60., przez jego życie na emigracji, pracę w Radiu Wolna Europa, po powrót do Polski po przełomie 1989 r. i próbach wejścia w krajową politykę. Dużo relacji źródłowych – z jego pamiętnika, z wywiadów, z opowieści osób, które go znały. Wszystkie pokazują jedno: jak szeroko i nieszablonowo on myślał. Choćby ta myśl z 2003 r.: „Polska polityka zagraniczna jest zachowawcza, dziecinnie optymistyczna (...), a tymczasem ziemia Europy Środkowo-Wschodniej usuwa się spod naszych stóp”. Brzmi jak napisane tydzień temu.

Zdzisław Najder „Wywrotowiec”, wyd. Ośrodek Karta, Warszawa 2026, cena 89,90 zł



Zasady dowodzenia w armii amerykańskiej
Książka bardzo na czasie. Ten podręcznik stosuje się w armii USA przy szkoleniu potencjalnych dowódców. Zestaw jasnych zasad lidera. **Department of the Army Stanów Zjednoczonych „Przywództwo. Oficjalna instrukcja Armii Amerykańskiej”, wyd. Znak, Kraków 2026, cena 69,99 zł**



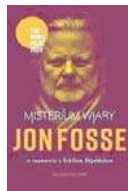
Wszystko, co dziwne w muzyce klasycznej
Brytyjski historyk w jednym tomie zebrał wszystkie kurioza muzyki klasycznej. Zaczyna od „symfonii umywalkowej”, a dalej opisuje, czym były „kocie organy” i jak brzmiała „świńska filharmonia”. **Edward Brooke-Hitching „Orkiestra szaleńca”, wyd. Rebis, Poznań 2026, cena 99 zł**



Kobiety, które tworzyły średniowiecze
Nietypowa historia średniowiecza. Nietypowa, bo pisana przez pryzmat kobiet. Autorka wskazuje, że nie brakowało kobiet, które ją kształtowały. **Daisy Dunn „Zagubiony wątek. Historia starożytności oraz kobiet, które ją tworzyły”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 99,90 zł**



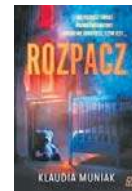
Matka polskiego designu współczesnego
Biografia Wandy Telakowskiej – kobiety, która tuż po wojnie tworzyła polski standard wzornictwa. Matka polskiego designu. **Katarzyna Rzehak „Piękno dla wszystkich, czyli jak powstało polskie wzornictwo powojenne”, wyd. Marginesy, Warszawa 2026, cena 74,90 zł**



Duchowa droga laureata Nobla
Rozmowa z laureatem literackiej Nagrody Nobla. Jon Fosse opowiada w niej o swojej duchowej drodze, o relacjach z Bogiem, o znaczeniu wiary w pracy twórczej. **Jon Fosse, Eskil Skjeldal „Misterium wiary”, wyd. WAM, Kraków 2025, cena 49,90 zł**



Co się dzieje po tym, jak wybierzesz „112”
Ratownik medyczny opisuje specyfikę swojego zawodu. Ze szczegółami relacjonuje to wszystko, co się dzieje po zarejestrowaniu zgłoszenia pod numerem 112. **Yanek Switała „Pędź do Ciebie na sygnale”, wyd. Mando, Kraków 2026, cena 59,90 zł**



Rodzinne sytuacje
Dwie pozornie niezależne od siebie sytuacje rodzinne. W jednej mamy do czynienia z idealnym życiem w luksusie, w drugiej z dramatem. Szybko okazuje się, że wszystko ze wszystkim się przeplata. **Klaudia Muniak „Rozpacz”, wyd. IV Strona, Poznań 2026, cena 49,90 zł**



Jak kiedyś żyli palestyńscy uchodźcy
Ta książka sięga korzeni niekończącego się konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Jest rok 1948. Opowieść o życiu w obozie dla palestyńskich uchodźców w Dżeninie. **Susan Abulhawa „Poranki w Dżeninie”, wyd. Sonia Draga, Katowice 2025, cena 59,90 zł**



Gdy Ameryką rządzą fanatycy religijni
Napisana w latach 90. XX wieku dystopia o świecie w 2032 r. Wizja USA, w której górę wzięli fanatyzm religijny. Zostało siedem lat, by przekonać się, na ile autorka rozminęła się z rzeczywistością. **Octavia E. Butler „Przypowieść o talentach”, wyd. W.A.B., Warszawa 2026, cena 59,99 zł**



Nowy Jork widziany od strony marginesu
Jedna z najważniejszych książek jednego z najważniejszych pisarzy ery bitników i rewolucji kulturowej lat 60. tamtego wieku. Burroughs brutalnie przełamuje stereotypy tamtej epoki. **William S. Burroughs „Ćpun”, wyd. Filia, Warszawa 2026, cena 59,99 zł**



Galowie nie wiedzą, co zrobić z wróżbitą
Wznowienie kolejnego tomu przygód Asteriksa i Obeliksa. Tym razem Galowie stają przed dziwnym wyzwaniem: muszą uporać się z dziwnym gościem, który mieszkańcom ich wioski wróży. **René Goscinny „Asteriks, Wróżbita”, wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 59,99 zł**



Dramat życia w piekle obozu w Auschwitz
Oparta na faktach zbeletryzowana opowieść o 18-latkę, która trafiła do Auschwitz. Otrzymujemy barwny, przynębiający realny opis życia w obozie koncentracyjnym. **Nechama Birnbaum „Rudowłosa z Auschwitz”, wyd. Poradnia K, Warszawa 2026, cena 49,99 zł**



Dwoje nastolatków ratuje Gdynię
Co się dzieje w Gdyni? Iwo i Amelia, którzy właśnie przyjechali tam na wakacje, nie mogą się nadziwić serii dziwnych zdarzeń, jak latające ryby i wielkie, tajemnicze stwory. Uda im się rozwikłać tę zagadkę? **Artur Gębka „Latające śledzie”, wyd. Widnokrąg, Piaseczno 2026, cena 48 zł**



Wojna domowa w Angoli i mit o smoku
Komiksowa historia, w której brutalna rzeczywistość Angoli przecina się ze światem afrykańskich legend. Młoda dziewczyna została siłą wcielona do wojska. Chce uciec. Pomaga jej w tym... smok. **Nicolas Jarry, Francesca Follini, Paolo Antiga „Wojny i smoki”, wyd. Egmont, Warszawa 2026, cena 49,99 zł**



Co o babci i dziadku powinny wiedzieć wnuki
Czeska psycholog dr Monika Koprivova specjalizuje się w relacjach międzypokoleniowych. Wykorzystując swą wiedzę, stworzyła dwie książki pozwalające wnukom zapisać wspomnienia o dziadkach. **Monika Koprivova „Opowiedz mi, Babciu”, wyd. Pharmdr, Warszawa 2026, cena 129,90 zł**



Wzdłuż i wszerz bieguna południowego
Mateusz Waligóra opowiada w przystępny sposób o swojej wyprawie na Antarktydę. Historia liczącej 1250 km podróży przez bieguna południowy. **Mateusz Waligóra, Dominik Szczepański „Antarktyda. Wyprawa na koniec świata”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, cena 69,90 zł**

Osobowości Roku 2025 mieszkają koło nas

Dobre historie dzieją się obok nas - i zasługują na uwagę. To właśnie dlatego powstał plebiscyt Osobowość Roku. Ta akcja to opowieść o ludziach, którzy zmieniają naszą małą ojczyznę.

Ważne sprawy rozgrywają się nie tylko na wielkich scenach, ale też lokalnie. Wśród ludzi, którzy na co dzień działają w swojej małej ojczyźnie. W niej pracują, pomagają, tworzą, uczą, organizują. To właśnie te działania - często niedostrzegane szerzej przez innych - składają się na sens plebiscytu Osobowość Roku.

To tradycyjna nagroda, która od wielu lat jest co roku przyznawana laureatom wielkiego plebiscytu. Jest on organizowany w całej Polsce przez dzienniki regionalne i serwisy internetowe wydawnictwa Polska Press. To bardzo prestiżowe, ogólnopolskie wydarzenie. Cały plebiscyt zakończy uroczysta gala na Zamku Królewskim w Warszawie, a laureaci zostaną uwiecznieni na kartach wyjątkowego albumu.

Plebiscyt prowadzony jest jednocześnie we wszystkich województwach w kraju, oczywiście w naszym także. To właśnie u nas lokalni bohaterowie

dnia codziennego i ich historie zostają nazwane, opisane i pokazane szerzej - jako zbiór indywidualnych postaw, inicjatyw i wyborów, które realnie wpływają na życie innych. Kandydatów do nagród nominuje kolegium redakcyjne, a także Czytelnicy i Internauci, których głosami prestiżowe tytuły zostaną przyznane w sześciu kategoriach. Dzieje się to najpierw osobno w miastach i powiatach naszego regionu, a następnie na szczeblu województwa. I teraz właśnie jest ten czas, w którym uwaga skupia się na uczestnikach plebiscytu i ich drodze. Na tym, co robią i dla

czego robią to właśnie w ten sposób. - Właśnie zaczął się trzeci tydzień głosowania w akcji. Prowadzone jest w sześciu kategoriach: Kultura; Działalność społeczna i charytatywna; Biznes i Przedsiębiorczość; Polityka, samorządność i społeczność lokalna; Innowacje/Nowe Technologie oraz Nauka - bo Osobowość Roku to nie jest jeden typ działalności. To nie jest jedna definicja sukcesu. To wspaniała różnorodność doświadczeń, różnych środowisk, a także skali działania i motywacji. Łączy je jednak wspólny mianownik: pasja, zaangażowanie, wiara i konsekwencja

w działaniu - wyjaśnia Daria Jankiewicz-Kaczmarek, odpowiedzialna za organizację plebiscytu w całej Polsce.

Dziś prezentujemy kolejne sylwetki osób, których działania zostały zauważone w tegorocznej edycji. Każda z tych historii jest inna, ale wszystkie składają się na opowieść o ludziach, którzy swoim zaangażowaniem nadają sens codzienności i realnie wpływają na swoje otoczenie. To ten moment, w którym historie ludzi mieszkających koło nas wychodzą z codzienności i zostają zauważone. Pokazują, że zmiana zaczyna się blisko.



LIDERZY PLEBISCYTU W SKALI WOJEWÓDZTWA PO DWÓCH TYGODNIACH GŁOSOWANIA

Biznes



● **MARCIN DARCUK**, właściciel Lekki STYL Catering Dietetyczny, Grójec, powiat grójcecki.

Nominacja za innowacyjne podejście do swojego biznesu oraz zdobycia pierwszego miejsca w konkursie Orły Gastronomii 2025.

Działalność społeczna i charytatywna



● **ARTUR KACZOR**, działacz społeczny, właściciel Artsyl, Radom.

Nominacja za bycie bohaterem w niewidzialnej pelerynie. Działanie po cichu z pomocą, jednak skutecznie. Motywując innych do pomocy, poszerzając grono bohaterów.

Innowacje / nowe technologie



● **MGR INŻ. SŁAWOMIR DAŃCZAK**, wykładowca na PJATK Katedra Metod Programowania, Warszawa. Nominacja za aktywność w obszarze innowacji technologicznych i nowoczesnych metod dydaktycznych, konsekwentnym wprowadzaniu do procesu kształcenia najnowszych rozwiązań programistycznych, narzędzi informatycznych i technologii wspierających rozwój kompetencji studentów.

Kultura



● **ANNA DRÓZD**, prezes Orkiestry Dętej Boni Angeli, Jedlnia, powiat radomski.

Nominacja za zaangażowanie, pracę, siłę i determinację, dzięki którym młodzież mogła wziąć udział w zagranicznych festiwalach muzycznych, np. w Macedonii.

Nauka



● **KAROL SADOWSKI**, student, doktorant WUM, Warszawa.

Nominacja za wyróżnienie w III edycji Konkursu „Młody Promotor Polski”.

Polityka, samorządność i społeczność lokalna



● **MARTA ZBROWSKA**, sekretarz powiatu przysuskiego, Przysucha, powiat przysuski.

Nominacja za współpracę ze starostą dla dobra całego powiatu, a także za bycie osobą życzliwą, ciepłą, uśmiechniętą, wspierającą oraz szczególnie otwartą na działalność dzieci w różnych dyscyplinach.

Jeżeli w coś wierzysz, masz dobrą intencję, pomysły, ludzie czy sytuacje pojawiają się szybko

Łukasz Beldycki (właściciel Foto Kręci - Fotobudka 360, Warszawa) nominację do akcji Osobowość Roku 2025 otrzymał za: pomaganie każdemu, kto potrzebuje oraz czynny udział w pomocy przy akcjach charytatywnych.

- Jeżeli mówimy o mojej działalności charytatywnej, to nigdy nie planowałem takich sytuacji. W 2005 roku mój kolega został pobity. Pierwsze lata rehabilitacji, leczenia jego rodzice pokrywali z oszczędności, ale przyszedł moment, że się skończyły się te

oszczędności. Zaczęły się pojawiać różne pomysły. Sprzyjały ku temu sytuacje, nowo poznane osoby - i do dziś tak to wygląda - wspomina.

Jak opisuje, na pewno w tym wszystkim bardzo wierzył w to, co robi - i był w tym konsekwentny.

Co daje Mu dobrą energię do wprowadzania zmian, realizowania planów, które tak pozytywnie wpływają na otoczenie? Czy jest coś, co szczególnie napędza Jego codzienne działania? - Myślę, że samo pomaganie innym daje dobrą energię. Gdy widzisz jak wiele osób idzie za tobą, po-

maga realizować twoje pomysły, to też nakręca to wszystko i człowiek coraz wyżej podnosi poprzeczkę - wyjaśnia.

Wiele osób uważa Go za inspirację do działania. A kto lub co w Jego życiu pełniło podobną rolę - było wzorem, motywacją albo źródłem pomysłów? - Moja Mama zawsze była pomocnym człowiekiem i myślę, że to głównie mojej mamy zasługa, że mam takie podejście do życia. Jeżeli w coś wierzysz, masz dobrą intencję, to pomysły, ludzie czy sytuacje pojawiają się bardzo szybko Nie żyjemy tu sami dla siebie... - mówi.

Pani Agnieszka plany życiowe i zawodowe stara się realizować zgodnie z myślą o drugim człowieku

Nominację otrzymała za: bezcenną oraz bezinteresowną pomoc wszystkim potrzebującym na terenie Grójca i okolic. Oto Agnieszka Czyż-Mańkowska, prezeska Kościelna Fundacja Dobroczynna ks. Piotra Skargi dla Ubogich (Grójec).

Fundacja realizuje misję swojego założyciela, sługi bożego księdza Piotra Skargi. Ten niezwykły kapłan urodził się na terenie gminy Grójec. Znany jest jako wybitna osobowość Rzeczypospolitej Polskiej. Doradca królewski, wybitny mówca, prowadził działalność pomocy

osobom potrzebującym, znajdujących się w trudnej sytuacji życiowej. - Plany życiowe i zawodowe staram się realizować zgodnie z myślą o drugim człowieku. Niestety, jak wiemy, czasem plany trudno realizować ze względu na okoliczności, które nie zależą od nas. Trudno przywołać konkretną, przełomową dla mnie sytuację, jednak z całą pewnością moje liczne podróże i kontakt z ludźmi na całym świecie sprawił, że zauważam podstawowe potrzeby i pragnienia potrzebujących - wyjaśnia nominowana. Motywuje Ją pozytywne nastawienie do świata i drugiego

człowieka, brak jakichkolwiek oczekiwań, wymaganie od siebie, silna wiara. Wzorem są osoby, które konsekwentnie, bez blasku reflektorów realizują ważne sprawy w swojej trudnej codzienności. Osoby, które są wierne swojemu powołaniu i sumieniu. Inspiracją dla Niej założyciel fundacji, którą prowadzi, sługa boży ksiądz Piotr Skarga. Postać wybitna w czasie, w którym żył. Aktualność jego przesłania, głoszonego słowa zaskakuje do dnia dzisiejszego: - Wystarczy realizować jego idee miłości do bliźniego i Ojczyzny, a świat będzie lepszy.

Czytaj więcej o akcji na www.polskanews.pl/osobowosc

TRANSPORT STOLICA DOKŁADA PONAD 4 MILIARDY DO PRZYCHODÓW Z BILETÓW

Ratusz zapewnia, że na razie nie będzie podwyżki cen biletów komunikacji

Kamil Jabłczyński
Warszawa**W 2025 roku wpływy z biletów na komunikację miejską nie przekroczyły miliarda złotych. Obecnie bilety pokrywają zaledwie 25% kosztów.**

W stosunku do 2024 roku spadła nieco zarówno liczba przewiezionych przez transport publiczny w Warszawie pasażerów jak i wpływy w z tego tytułu do budżetu. W mijającym roku, według danych zaprezentowanych przez WTP, przewieziono w Warszawie 932 084 594 pasażerów. T o nieco mniej niż w 2024 roku chociaż Warszawa czeka jeszcze na dokładne dane od Kolei Mazowieckich i WKD.

Wpływy z biletów (a także umów z gminami itd.) wyniosły łącznie 987 506 720 zł natomiast koszty organizacji transportu publicznego w stolicy wyniosły 4 421 090 910 zł. To oznacza, że wpływy do budżetu miasta pokryły 25,64% wydatków. Jest to wynik nieco lepszy niż w zeszłym roku,



FOT. ALEKSY WITWICKI

W stosunku do 2024 roku spadła nieco zarówno liczba przewiezionych przez transport publiczny w Warszawie pasażerów, jak i wpływy w z tego tytułu do budżetu

gdy udało się pokryć zaledwie nieco ponad 23% kosztów, ale gorszy niż w 2023 kiedy jeszcze udawało się pokryć ok. 29%. W przewozowym szczyście ZTM był w stanie zaproponować podróżnym:

- 451 tramwajów w szczycie,
- 52 pociągi metra,
- 31 pociągów SKM,
- 1045 busów MZA, do tego pozostali operatorzy 247 busów i linie lokalne 127.

Nie ma mowy o podwyżce cen biletów

W zasadzie jak co roku pytamy, co to oznacza dla finansów miasta i samego transportu publicznego. Dzisiaj

Warszawa oferuje komunikację miejską na wysokim poziomie. Nikt nie chce obcinania kursów, a przecież przybywa chociażby nowych tras i linii tramwajowych. Jednakże jak zapewnia sekretarz miasta, Maciej Fijałkowski, na 2026 budżet jest zabezpieczony.

- Nie prowadzimy w tej sprawie żadnych oficjalnych rozmów. Mamy zapewnione finansowanie na 2026 rok i jesteśmy w stanie ten system utrzymywać na dobrym poziomie. Tak jest ten budżet skonstruowany. Nic istotnego się nie wydarzyło, żebyśmy musieli na tę chwilę o tym wspominać - tłumaczy Fijałkowski.

A jak skonstruowany jest budżet na 2026 rok? Wydatki na transport publiczny mają sięgnąć aż 5,1 miliarda złotych, z czego zakup usług przewozowych to 4,9 mld zł. Pieniądze trawia do przewoźników: Tramwajów Warszawskich (1,5 mld zł), MZA (1,4 mld zł), Metra Warszawskiego (948,1 mln zł), SKM (353,6 mln zł), inny przewoźników autobusowych (410,5 mln zł) i innych prze-

woźników kolejowych (307,1 mln zł). Co ciekawe, po stronie przychodów zaplanowano 1,5 mld zł. Przekonamy się na ile to realna perspektywa.

Coraz mniej sprzedaży stacjonarnej

Patrząc na strukturę przychodów, widać nadal malejące wpływy z punktów obsługi pasażera, sklepów (np. kiosków), ale też biletomatów stacjonarnych. Przygotowywany nowy system biletowy ma iść z duchem czasu i przenieść większość transakcji do online.

- Nowy system biletowy tym bardziej nie zakłada zmian cen biletów - dodawała także dyrektorka ZTM, Katarzyna Strzegowska. Pierwsze funkcjonalności nowego systemu biletowego mają trafić do podróżujących w 2027 roku. W nowym systemie biletowym prawdopodobnie jednak pozostaną bramki w metrze. Choć większość transakcji ma być już dokonywana cyfrowo. ZTM chce je wymienić docelowo na wszystkie z kodami QR.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzczyński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**

Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Handlowe

AGD

ZABYTKOWY duży ekspres do kawy
POL-EKSPRES Kupię 576-948-827

Motoryzacja

KUPIĘ

KUPIĘ Skodę Octavię Passata B5 Golfa
4 Diesel Tel.666-941-477

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Ożarów
Mazowiecki tel. 668 085 925

SZUKAM kierowcy kat. B., zbiórka
odzieży używanej, ok. Stuttgart.
Zapewniam zakwaterowanie.
Praca co drugi miesiąc na zmianę.
Wynagrodzenie 2200 euro na rękę.
Możliwość pracy po godzinach.
Niemcy, tel. 0049 1778306707

Turystyka

KRAJ - GÓRY

**Beskidy koło Wadowic -
Wielkanoc od 1100 do
1400zł. Możliwość dowozu
501-642-492**

KRAJ - MORZE

USTRONIE MORSKIE Pensjonat DANA
pobyt z wyżywieniem V-VI od 150 doba
601-585-510 www.danaustronie.pl

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie zlecisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe
Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →



Piąta strona świata

stronapodrozy.pl

Polak dał sygnał do ataku. Real i Napoli mają czego żałować

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

LIGA MISTRZÓW. Gol Roberta Lewandowskiego stanowił przełom w meczu Barcelony z FC Kopenhaga, a wygrana zapewniła Katalończykom bezpośredni awans do fazy pucharowej Ligi Mistrzów.

Spotkanie 8. kolejki fazy ligowej Ligi Mistrzów z FC Kopenhagą było dla Barcelony niezwykle istotne. Drużyna z Lewandowskim w wyjściowym składzie i Wojciechem Szczęsnym na ławce nie mogła pozwolić sobie na porażkę, jeśli chciała zachować komfortową sytuację w tabeli.

A jak zaczęła? Najgorzej jak tylko się dało. Już w 4. minucie Duma Katalonii przegrywała po trafieniu Viktora Bjarkiego Dadasona. Szybko stracony gol wprowadził nerwowość, a na odpowiedź kibice musieli czekać do zmiany stron.

Przełom nastąpił tuż po wznowieniu gry. Lewandowski znakomicie odnalazł się w polu karnym po podaniu Lamine'a Yamala i z najbliższej odległości skierował piłkę do pustej bramki, doprowadzając do wyrównania. Dla kapitana reprezentacji Polski było to już 107. trafienie w Lidze Mistrzów oraz gol strzelony 40. różnemu rywalowi w historii jego występów w tych elitarnych rozgrywkach. Lewandowski mógł wpisać się na listę strzelców wcześniej, lecz w pierwszej połowie przegrał pojedynek z bramkarzem Dominikiem Kotarskim.

- W pierwszej połowie na stronę, na którą graliśmy, wiał bardzo silny wiatr. Pewnie w telewizji nie było tego widać, ale piłka strasznie wariowała. Chciałem uderzyć wyżej, ale obawiałem się, że wiatr znieśnie futbolówkę. Pewnie źle to rozwiąza-



Choć nie był to najbardziej efektywny wieczór Roberta, to wycucie przestrzeni i inteligencja pozostają bezcenne...

łem. Gdybym strzelił bliżej słupka, piłka wpadłaby do bramki. Szkoda tej sytuacji, powinienem ją wykorzystać - tłumaczył Lewandowski po meczu w rozmowie z Canal+ Sport.

Hiszpańskie media tradycyjnie uważnie przyjrzały się występowi Polaka. Kataloński „Sport” przyznał mu notę 6 w 10-stopniowej skali, podkreślając, że choć nie był to jego najbardziej efektywny wieczór, to wycucie przestrzeni i inteligencja w polu karnym pozostają bezcenne. „Mundo Deportivo” zwróciło uwagę na historyczny wymiar jego osiągnięć. Dziennik przypomniał, że Lewandowski już wcześniej wyprzedził w klubo-

wych statystykach Cristiano Ronaldo, a teraz zrównał się z Leo Messim pod względem liczby klubów, przeciw którym zdobywał bramki w Lidze Mistrzów.

Srodowy gol pozwolił mu także doskoczyć do Neymara i Patricka Kluiverta w klasyfikacji najlepszych strzelców Barcelony w tych rozgrywkach. „W wieku 37 lat, mając u boku niezwykle utalentowanego Lamine'a Yamala, Lewandowski wciąż śrubuje rekordy zarezerwowane dla legend” - podkreślono.

Barcelona zakończyła fazę ligową na piątym miejscu, zdobywając aż 16 punktów i zapewniając sobie bezpośredni awans do 1/8 finału. Natomiast Real Ma-

dryt będzie musiał walczyć w dodatkowym dwumeczu. Symbolicznym momentem srodowej multigi był gol na 4:2 dla Benfiki Lizbona, gdy bramkarz Anatolij Trubin w ostatniej akcji zdobył bramkę głową, pokonując Thibaut Courtoisa. To trafienie wywołało euforię na Estádio da Luz i zapewniło drużynie José Mourinho fazę play-off.

Benfica o dalszą grę powalczy z jednym z dwóch europejskich potentatów - żadnym rewanżu Realom lub Interem Piotra Zielińskiego, który wraz ze swoją drużyną pokonał Borussia Dortmund.

Z Ligą Mistrzów na etapie fazy ligowej pożegnali się m.in. mistrzowie Włoch z SSC Napoli, którzy przegrali u siebie z Chelsea 2:3. W rozgrywkach pozostają także Polacy: bramkarz Mateusz Kochalski (Karabach) i wadłowy Nicola Zalewski (Atalanta), choć ich ostatnie występy miały różny przebieg. Pierwszy puścił sześć goli przeciwko Liverpoolowi, a drugi przesiedział mecz na ławce.

Losowanie par barażowych o 1/8 finału w piątek od godziny 11. Spotkania tej fazy zaplanowano na 17/18 i 24/25 lutego. Terminy 1/8 finału to 10/11 i 17/18 marca.

© P

LIGA MISTRZÓW UEFA

Wyniki 8. kolejki: Ajax - Olympiakos 1:2, Monaco - Juventus 0:0, Arsenal - Kajrat 3:2, Athletic - Sporting 2:3, Atletico - Bodo 1:2, Barcelona - Kopenhaga 4:1, Bayer - Villarreal 3:0, Benfica - Real 4:2, Borussia - Inter 0:2, Club Brugge - Marsylia 3:0, Eintracht - Tottenham 0:2, Liverpool - Karabach 6:0, City - Galatasaray 2:0, Napoli - Chelsea 2:3, PSV - Bayern 1:2, Pafos - Slavia 4:1, PSG - Newcastle 1:1, USG - Atalanta 1:0.

Rozstawienie przed losowaniem barażów: Real Madryt/Inter Mediolan - Bodo/Benfica, PSG/Newcastle - Monaco/Karabach, Juventus/Atletico - Club Brugge/Galatasaray, Atalanta/Leverkusen - Borussia Dortmund/Olympiakos.

Zieliński nie zagra w finale debla AO, ale zainkasował w Melbourne 354 500 zł

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

TENIS. Jan Zieliński w podłym nastroju opuścił Melbourne. Polak i Brytyjczyk Luke Johnson odpadli w półfinale debla w Australian Open.

W Melbourne polsko-brytyjski duet wyeliminował cztery przeszkody. Piąta okazała się jednak za silna. Po blisko dwugodzinnej batalii na korcie centralnym - Rod Laver Arenie - Jan Zieliński i Luke Johnson ulegli w półfinale Australijczykom Jasonowi Kublerze i Markowi Polmansowi 2:6, 6:3, 3:6.

- Daliśmy przeciwnikom wejść sobie na głowę. Nie wykorzystaliśmy break pointa, który mógł dać nam powrót. Trochę pechowo ułożył się ten punkt - narzekał polski deblista w rozmowie z Eurosportem.

Z Johnsonem pierwszy raz zagrał w turnieju tej rangi i optymistycznie patrzy na następną miesięczną występów w parze z Brytyjczykiem.

- Na pewno nie jest to zły wynik - półfinał wielkoszlemowego turnieju w drugim wspólnym występie - ale dziś boli i będziemy wyjeżdżać, przynajmniej ja będę, bardziej zasmucony niż szczęśliwy w najbliższych kilku dniach - skwitował.

Za dojscie do półfinału Polak i Brytyjczyk otrzymali 190 tysięcy dolarów do podziału, czyli po 95 tysięcy USD na głowę. Zieliński więc zarobił za udział w grze podwójnej męczyzn turnieju w Melbourne niemal 300 tysięcy złotych plus 54,5 tys. zł za występ w pierwszej rundzie miksta z Tajwanką Hsieh Su-wei, z którą wygrał AO w 2024 roku. W pierwszym tegorocznym szlemie zainkasował więc 354 500 złotych brutto.

W deblu największym sukcesem tenisisty z Warszawy pozostaje finał Australian Open 2023, kiedy w parze z Monakijczykiem Hugo Nysem przegrali z Kublerem i jego rodakiem Rinkym Hijikata.

© P



Jan Zieliński (u góry z prawej) i Luke Johnson ulegli w 1/2 finału debla AO Jasonowi Kublerze i Markowi Polmansowi

FOT. EPA/PAP

Prognozy na ekstraklasę, która wraca na boiska. Nie tylko pogodowe

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

Długo wydawało się, że mecze 19. kolejki ekstraklasy nie będą zagrożone, ale zimowa aura skłania do rozważenia nie tylko optymistycznego scenariusza na pierwszy piłkarski weekend w Polsce.

Nadchodzące dni zapowiadają się na bardzo mroźne w całym kraju. Kalendarz futbolowy w roku mundialu jest jednak mocno napięty i nie ma możliwości, aby piłkarze

PKO BP Ekstraklasy nie wybudzili się z zimowego snu już teraz.

Prezes Pogoni Szczecin Alex Haditaghi domagał się odwołania wszystkich meczów, ale dyrektor operacyjny spółki Ekstraklasa Marcin Stefański dał jasną wykładnię obowiązujących przepisów. - Jest ogólne zalecenie, że jeżeli temperatura spadnie poniżej -15 stopni, a odczuwalna poniżej -27 stopni, to mecze co do zasady nie powinny być rozgrywane w takich warunkach - powiedział w „PS”.

Prognozowane temperatury w porach weekendowych meczów 19. kolejki PKO BP Ekstraklasy:

piątek:
Lublin: -1 st. C (odczuwalna -6 st. C),
Radom: -8 (odczuwalna -14).

sobota:
Zabrze: -4 (odczuwalna -12),
Łódź: -10 (odczuwalna -19),
Poznań: -10 (odczuwalna -19).

niedziela:
Lublin: -13 (odczuwalna -18),
Płock: -13 (odczuwalna -19),
Warszawa: -13 (odczuwalna -19).

Zakładając, że wszystkie spotkania odbędą się zgodnie

z planem i ewentualne problemy z terminowym rozegranie zimowych kolejek nie zaburzą rytmu rozgrywek, bukmacherzy - którzy rzadko myślą się przy takich typowaniach - przed startem rundy wiosennej na głównych faworytów do mistrzostwa Polski wskazali broniący tytułu Lech Poznań i wicemistrza z poprzedniego sezonu - Raków Częstochowa.

Według tego grona ekspertów realne szanse na tytuł ma jeszcze białostocka Jagiellonia, nie zaś przewodząca aktualnie

w tabeli Wisła Płock oraz Górnik Zabrze, których notowania na rundę rewanżową są znacznie niższe. Inna sprawa, że przed startem sezonu także (prawie) nikt nie stawiał na „Nafciarzy” i KSG...

W kontekście spadku najmniejszych szans u „buków” ma - wbrew pozorom i oczekiwaniom kibiców jej najgroźniejszych konkurentów - stołeczna Legia, która utknęła na przedostatnim miejscu, lecz Bruk-Betowi Termalicy Nieciecza. A jak będzie na mecie sezonu, przekonamy się 24 maja.

Godzinowy program pierwszej tegorocznej serii spotkań:

piątek, 30 stycznia:
18:00 Zagłębie Lubin - GKS Katowice,
20:30 Radomiak Radom - Arka Gdynia.

sobota, 31 stycznia:
14:45 Górniki Zabrze - Piast Gliwice,
17:30 Widzew Łódź - Jagiellonia Białystok,
20:15 Lech Poznań - Lechia Gdańsk.

niedziela, 1 lutego:
12:15 Motor Lublin - Pogoń Szczecin,
14:45 Wisła Płock - Raków Częstochowa,
17:30 Legia Warszawa - Korona Kielce.

poniedziałek, 2 lutego:
19:00 Bruk-Bet Termalica Nieciecza - Cracovia.

© P

